W CIENIU WOJNY

Unia polsko-ukraińska, czyli niebezpieczne fantazje na prawicy

Warzecha demaskuje niecne plany Brukseli

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 21/477 23–29 MAJA 2022

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

PROCES STULECIA – JOHNNY DEPP KONTRA AMBER HEARD

Wolę mieć kompleks Kasandry – rozmowa „Do Rzeczy" z Witoldem Gadowskim

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

Jak Waszyngton „wykrwawia" Rosję

UKRAIŃSKA ARMIA Z AMERYKAŃSKIM WSPARCIEM

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wywiad z lotnikiem, który zbombardował Hiroszimę!

Jacek Bartosiak – **Atomowe groźby Putina**
David Holloway – **Wielka bomba Stalina**
Grzegorz Janiszewski – **Świat na krawędzi apokalipsy**
Wiktor Suworow – **Zabójczy urok „Tatiany"**
Tymoteusz Pawłowski – **Jak działa bomba atomowa**
Mikołaj Iwanow – **Wielka czystka w Mińsku**
Tomasz Stańczyk – **Nadbałtyckie Zakopane**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Polemika z Mearsheimerem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 340eab0e61

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Czy Polska ma interesy?

Wsłuchując się w głosy polskich publicystów i polityków, odnoszące się do wojny Rosji na Ukrainie, doszedłem do wniosku, że jesteśmy chyba jedynym, a w każdym razie jednym z niewielu państw europejskich, które może sobie pozwolić na to, by nie mieć żadnych interesów. Tak, nie żartuję, nie kpię, mówię całkiem poważnie: w Polsce nie wypada oceniać rozwoju sytuacji na Ukrainie w innych niż czysto moralnych kategoriach. Jest to, jak zewsząd słyszę, starcie dobra i zła, metafizycznych mocy ciemności z mocami światłości i dlatego tak tylko można do tej wojny podchodzić. W gruncie rzeczy dlaczego nie? Występowanie w roli Katona ludzkości, stróża moralności powszechnej, jedynego prawdziwego lidera dobra – czyż nie mieści się właśnie doskonale w naszej tradycji i nie jest tym, czego wszyscy pragną? Nic dziwnego, że w tej sprawie głos rządu niewiele, może wcale, nie różni się od tonu opozycji.

Wszystkie te myśli przyszły mi do głowy, kiedy przeczytałem liczne i dokładnie tak samo brzmiące komentarze do – nie wiem, czy prawdziwych czy rzekomych – propozycji prezydenta Francji, Emanuela Macrona, który to miał nakłaniać prezydenta Wołodymyra Zełenskiego do ustępstw terytorialnych w stosunku do Rosji. Z przekazów medialnych trudno wywnioskować, na czym konkretnie te ustępstwa miałyby polegać, ale pewne jest jedno: każda taka próba jest podła, tchórzliwa i zdradziecka. Jak prezydent Francji śmiał rozumować w kategoriach interesu narodowego Francji i Francuzów, którzy coraz trudniej znoszą społeczne i gospodarcze skutki wojny? Podobnie zresztą polska opinia publiczna ocenia liderów innych państw europejskich, którzy wspominają o konieczności jakiegoś kompromisu lub ustępstw. Nieodmiennie chłopcem do bicia są ze zrozumiałych względów Niemcy kanclerza Olafa Scholza. Chcą kompromisu? Co za zdrajcy!

Cóż, chętnie dołączyłbym się do tego chóru potępień i z przyjemnością – nic przecież nie daje nam większego poczucia satysfakcji niż występowanie po słusznej stronie – gromiłbym niemiecki, francuski, włoski i w ostatnich miesiącach przede wszystkim węgierski egoizm. Jednak czy słusznie? Czy to możliwe, żeby wszyscy się ot tak, po prostu mylili i ot tak, po prostu niczego nie rozumieli? Czy jest tak, że troska o interesy i korzyści własnych społeczeństw i obawa przed rozszerzeniem konfliktu na całą Europę znamionują tchórzostwo i małoduszność?

Wygląda na to, że polscy politycy pytań o koszty, straty i obciążenia życia dla ogółu Polaków w ogóle sobie nie zadają, a nawet jeśli, to dumnie tego rodzaju rozważania odrzucają. Dlatego Warszawa jest najbardziej radykalnym zwolennikiem nałożenia na Rosję maksymalnie dotkliwych sankcji; podobnie też reprezentuje pogląd, że wojna z Rosją musi zakończyć się całkowitym zwycięstwem Kijowa. Niektórzy polscy politycy mówią, że są sługami Ukrainy, inni przedstawiają się jako jej adwokaci i lobbyści.

Jak może się zakończyć zatem wojna? Minimum to odsunięcie Putina i jego kliki od władzy, powrót do granic sprzed agresji oraz osądzenie winnych wojny. Wersja umiarkowana mówi, że po prostu trzeba dążyć do całkowitego wyparcia Rosji również z terenów zajętych przez nią w 2014 r. Wreszcie wersja maksymalistyczna sprowadza się do wsparcia dla wojny tak długo, aż Rosja w ogóle nie zniknie gdzieś w otchłani Dalekiego Wschodu, jako prowincja Chin, a może kondominium Ameryki, Ukrainy i Polski.

W jaki to się jednak sposób może stać, nie wiadomo. Zwolennicy tego scenariusza nie zawracają sobie głowy kosztami społecznymi i gospodarczymi, a także potencjalną groźbą rozlania się konfliktu na Polskę. Dlatego nie padają pytania o to, ile kolejne sankcje będą kosztować Polaków. Rosnąca w zastraszającym tempie inflacja? Powiększający się błyskawicznie dług publiczny? Wzrost wydatków na ukraińskich uchodźców? Strzelające w górę ceny energii? Wreszcie ryzyko wplątania Polski do bezpośredniej walki – Warszawa chlubi się tym, że jest hubem pomocy wojskowej – to wszystko nie ma znaczenia. Liczą się dziejowa szansa odwrócenia wiekowych zależności geopolitycznych i pewność, że tym razem Amerykanie nie odpuszczą. To znaczy oni też sami na wojnę się nie wybiorą, ale będą płacić, ile trzeba, żeby trwała jak najdłużej. A skoro tak, to niech konflikt trwa aż do ostatecznego rozbicia Moskwy.

Nie można wykluczyć, że marzenia o takim obrocie spraw się spełnią. Ale może być odwrotnie. W miarę czasu, kiedy destabilizacja Ukrainy będzie pchać kolejne miliony do ucieczki, ceny energii na rynkach będą szaleć, a gospodarka europejska i w końcu światowa się zapadać, zostaniemy na placu boju ze swymi nadziejami sami. Do porozumienia dojdzie ponad naszymi głowami. Tym, co pozostanie, są społeczne i gospodarcze rachunki do zapłacenia. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

TEMAT TYGODNIA

14 OLIVIER BAULT
ZABAWY Z BRONIĄ
Kulisy wojny na Ukrainie

18 PIOTR ZYCHOWICZ
OD MIŁOŚCI DO NIENAWIŚCI

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
BARSZCZ POLSKO-UKRAIŃSKI
Gdy emocje biorą górę

26 ZUZANNA DĄBROWSKA
PIERWSI DO ODBUDOWY

28 ROZMOWA Z MICHAŁEM WOSIEM
UE PRÓBUJE ZLIKWIDOWAĆ PAŃSTWA NARODOWE

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SUWERENNOŚĆ ALBO KASA

32 TOMASZ ROWIŃSKI
LEKARZE JAKO OFIARY PANDEMII

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CO UKRYWAJĄ POLSKIE MUZEA

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POŻEGNANIE OJCZYZNY
„W stronę Seretu" Wiesława Helaka

60 PIOTR GOCIEK
PRAWDA JEST KOTEM
Autobiograficzny esej japońskiego autora bestsellerów

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43 WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI
OD LAMPY ŁUKASIEWICZA DO ROZKWITU POLSKIEGO ZAGŁĘBIA NAFTOWEGO

OPINIE

66 ŁUKASZ WARZECHA
PROJEKTOWANIE NASZEJ PRZYSZŁOŚCI
Tajemnicze konsultacje podstawą do zmian w UE?

68 JAN FIEDORCZUK
NIEBEZPIECZNE FANTAZJE NA PRAWICY

70 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM
POLSKA NA KRAWĘDZI WYPORNOŚCI

HISTORIA

72 ŁUKASZ CZARNECKI
ANGLIK NA DACHU ŚWIATA
Przygody awanturnika

ŚWIAT

76 MACIEJ PIECZYŃSKI
CAR JEST NAGI. ALBO UMIERA
Koniec ery Putina?

78 WITOLD REPETOWICZ
WOJNY PRZYSZŁOŚCI

80 PIOTR WŁOCZYK
KARA DLA PURPURATA

EKONOMIA

84 TERESA STYLIŃSKA
ŻYCIE Z HIPERINFLACJĄ
Jak kończy się turecki cud gospodarczy

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
URZĘDNICZY INTERES

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
JOHNNY W SŁABEJ ROLI
Pirat w tarapatach

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (11), ZYCHOWICZ, KOPER (75), PRZYBYLSKI (82), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 340eab0e61

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Carolyn Kaster/AP/East News, Martin Harris/Capital Pictures/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Happening na cmentarzu

Entuzjaści i krytycy oblania ambasadora Rosji czerwoną farbą przeoczyli bądź przemilczają fakt, że ów incydent, tak samo jak towarzyszący mu happening z leżeniem grupy Ukraińców przed pomnikiem, miały miejsce na cmentarzu. Przy wejściach do niego, z każdej strony, widnieją tablice (niektóre tego dnia zniszczone!) z napisami „Cmentarz Wojenny" i „Cmentarz Mauzoleum Żołnierzy Armii Radzieckiej" oraz słowami: „Osoby przebywające na terenie cmentarza obowiązane są do zachowania ciszy, spokoju, powagi i szacunku należnego Zmarłym". Ten przepis, bezsporny w całym cywilizowanym świecie, został bezkarnie złamany! Tomasz Rowiński ma rację: państwo polskie nie powinno dopuścić do tej akcji. Aktywistka Iryna Zemlana uciekła z Warszawy, a cmentarz – jak inne, w tym również żołnierzy polskich na obczyźnie – pozostał. Oby to żałosne wydarzenie nie stało się precedensem do kolejnych wybryków, które uczynią z cmentarzy miejsca politycznych manifestacji i happeningów.

ks. prof. Waldemar Chrostowski

Obserwacja z marszu środowisk LGBT

Dzień dobry,
w czasie sobotniego marszu tzw. środowisk LGBT, który przeszedł ulicami Łodzi, zauważyłem na jednej z ulic rozwieszony przez prawicowych działaczy transparent treści: „I Ja Ciebie nie potępiam. – Idź, a od tej chwili już nie grzesz". Chciałbym rozpropagować interesującą i pozytywną formę tej argumentacji, jaką prezentuje to hasło – oparcie się na cytacie z Ewangelii i brak elementów podatnych na zarzut wykluczania przy jednoczesnym wezwaniu do zmiany stylu życia osób, z którymi się nie zgadzamy – warte niewątpliwie rozpowszechnienia.
Dziękuję.

Wyjaśnienie

W związku z opublikowaniem 16 maja 2022 r. wywiadu pt. „Kreatywność i praca u podstaw", przeprowadzonym przez Tomasza Rowińskiego („Do Rzeczy"), Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego informuje, że nie jest ścisła informacja, iż wicepremier Piotr Gliński zainicjował Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa. Minister KiDN rozwinął program zainicjowany w 2015 r.

Anna Pawłowska-Pojawa,
Dyrektor Centrum Informacyjnego, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 340eab0e61

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Don Kichot jednej listy

Nie wiadomo, jaki giez ugryzł Donalda Tuska. Ni z tego, ni z owego znowu wyskoczył z wezwaniem do stworzenia jednej listy opozycji. Wydawało się, że niedawna porażka węgierskiej opozycji występującej w jednym bloku przeciw Fideszowi wskazała wyraźnie, że wspólna lista nie gwarantuje niczego. Tusk uchwycił się sondażu Ipsos, według którego zjednoczona opozycja – startując z jednej listy – uzyskuje 52 proc. Wskazując na sondaż, szef PO podkreślał: „Chyba więcej dowodów już nie trzeba. Wzywam wszystkich, najserdeczniej i z wielkim przekonaniem, tak jak tylko potrafię: poważnie potraktujmy to wskazanie, nie tylko moje apele. Idźmy do wyborów razem".

Natychmiast wytknięto, że Tusk powołał się na sondaż, w którym przyjęto frekwencję 94 proc. Taka jeszcze nigdy się nie ziściła. Trudno więc nie odnieść wrażenia, że metoda badawcza została tak sprokurowana, aby udowodnić tezę lidera PO. To ciekawe, że znany gdański liberał jest przekonany, iż od samego powtarzania hasła jednej listy cokolwiek się zmieni w stanowisku swoich partnerów politycznych.

Hołownia, Kosiniak-Kamysz czy Czarzasty wierzą, że ich ugrupowania mogą jeszcze podbić swe notowania, wygrywając na jakimś korzystnym zbiegu okoliczności. Tusk upierając się przy idei jednej listy, faktycznie udowadnia tylko jedno – że niespecjalnie wierzy w swoją partię.

Szymon Hołownia ustosunkował się do propozycji Tuska z wysłodzoną kąśliwością. Odpowiedział, że „najserdeczniej i z wielkim przekonaniem, tak jak tylko potrafi", zachęca Tuska, by ten poczekał jeszcze do okresu, kiedy wybory się przybliżą.

Jest czymś zaskakującym skala animozji między Tuskiem a liderem Polski 2050. Najwyraźniej różnica wieku ma znaczenie. Polityk znad Motławy musiał gdzieś kiedyś potraktować Hołownię jako politycznego trampkarza.

Na chłód Hołowni zareagował niezawodny sojusznik lidera PO, czyli „Gazeta Wyborcza". Agnieszka Kublik zadała pytanie: „A może Hołownia wcale nie chce w najbliższych wyborach znaleźć się w obozie władzy?". Publicystka argumentuje, że kolejna kadencja Sejmu będzie kadencją ciężkich kryzysów: wojennego, inflacyjnego, popandemicznego. W jej opinii trudno będzie w takiej sytuacji zyskiwać Hołowni nowych wyborców przed następnymi wyborami, a funkcjonowanie w opozycji da mu czas na rozwinięcie skrzydeł. Kublik pisze: „Może Hołowni bardziej opłaca się kolejna kadencja PiS, by samemu w tym czasie urosnąć? A potem może Tusk sam zrezygnuje z polityki".

Warto zapamiętać ten kuriozalny komentarz. „Wyborczej" wydaje się, że jest życzliwym towarzyszem działań opozycji, ale takie teksty jak ten Kublik rozpalają do czerwoności animozje między partiami opozycji. Tak było wcześniej, kiedy gazeta próbowała wylansować lidera KOD Mateusza Kijowskiego, wywołując zaniepokojenie u starych opozycyjnych liderów, a potem próbowała namaścić na nowego lidera opozycji Rafała Trzaskowskiego. Jedynym efektem były wzajemne animozje i brak zaufania. Z takimi sojusznikami opozycja jeszcze długo nie dojdzie do żadnego porozumienia. A Tusk w kółko będzie zachwalał korzyści ze wspólnej listy, bo na razie nie ma nic ciekawszego do zaoferowania. Do wyborów jeszcze tylko 16 miesięcy. ©℗

FOT. MASSIMO INSABATO/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

ŚWIĄTEK FAWORYTKĄ ROLAND GARROS

Najlepsza tenisistka na świecie – Iga Świątek – rozpoczyna grę na turnieju Wielkiego Szlema. Na Roland Garros (startuje 22 maja) zagra rozstawiona z numerem 1, bo aktualnie jest liderką rankingu WTA. Iga Świątek w tym roku wygrała już pięć turniejów – ostatnio triumfowała na kortach ziemnych w Rzymie – i ma za sobą 28 wygranych meczów z rzędu. Tenisowi eksperci i legendy tej dyscypliny uważają, że Polka jest faworytką do zwycięstwa w Paryżu. Ten turniej już raz wygrała – w 2020 r. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

KOSZULKA MĘSKA
PZL 37 ŁOŚ

KOSZULKA MĘSKA
DYWIZJON 303

KOSZULKA MĘSKA
FREEDOM APPAREL

KOSZULKA MĘSKA
RAZ SIERPEM BIAŁA

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa
- **ul. Jagiellońska 88/24**
- **Plac Piotra Szembeka 4**

RED IS BAD™

eprasa.pl 340eab0e61

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Doktryna Neumanna

W starym żydowskim dowcipie (jednym z moich ulubionych zresztą) rada kahału ma problem, bo umarł niejaki Naftuła, o którym nikt nie umie powiedzieć dobrego słowa, a na pogrzebie o zmarłym zawsze trzeba powiedzieć coś dobrego. I w końcu pogrzeb może się odbyć, bo znajduje się jeden człowiek, który ma o Naftule do powiedzenia coś dobrego: to, mianowicie, że jaki był, taki był, ale zostawia takich synalków, przy których on sam mógłby uchodzić za świątobliwego cadyka.

Mam wrażenie, że ten żart jest o Donaldzie Tusku. Jako przywódca opozycji jest fatalny, ale na tle swoich konkurentów, czy kandydatów na konkurentów… Schetyna, który kompletnie zawalił wybory europejskie, bezbarwny Budka, laluś Trzaskowski, który w decydującej chwili zawsze zrejteruje… Problem jest zresztą szerszy, dotyczy nie tylko Platformy, lecz także kolejnych bohaterów „demokratycznej opozycji", kreowanych przez jej media. Skrajnie niepoważny Kijowski, groteskowy Kasprzak, wulgarni i prymitywni zadymiarze w rodzaju Szczurka, Lempart czy „babci" Augustynek.

Jednak ukoronowaniem całej kolekcji kompromitujących opozycję odkryć pozostaje „trzecia osoba w państwie", marszałek czy raczej marszałkissimus „demokratycznego Senatu" Tomasz Grodzki. Jakby mało było groteskowego kabotyństwa, opowieści o ludziach, którzy „podchodzą mi powiedzieć, że odzyskali nadzieję", błazeńskiego spotkania wymuszonego przez „Marshal of Senate" na Nancy Pelosi na krakowskim lotnisku etc. – okazał się jeszcze umoczony w „kopertówki". I to, najwyraźniej, nielicho, skoro przez ponad 400 dni bał się poddać pod głosowanie wniosku o uchylenie immunitetu, mimo powszechnie znanej życzliwości sądów dla PO.

Ostatecznie, po postawieniu poważnych zarzutów byłemu bliskiemu współpracownikowi marszałkissimusa, wniosek został poddany pod głosowanie i… odrzucony. „Demokratyczny Senat" stanął murem za swym szefem, nie pozostawiając Polakom cienia wątpliwości, co o ciążących na nim zarzutach myśleć. Nie bardzo umiem zrozumieć, po co PO ta demonstracja, że „doktryna Naumanna" wciąż obowiązuje. Żeby jeszcze więcej stracić? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Z czym do Ukrainy?

Wojna pewnego dnia się skończy i zacznie się odbudowa Ukrainy, jej powrót do życia w wolności. O związanych z tym materialnych potrzebach mówi się coraz więcej, czas pomyśleć również o stronie społecznej. Do tej pory nie interesowało nas to w dostatecznym stopniu. Choć ani prezydent Poroszenko, ani prezydent Zełenski nie ratyfikowali genderowej konwencji stambulskiej – władze naszego państwa od lat nie chciały stanąć po tej samej stronie.

A zwolennicy antyrodzinnej rewolucji nie próżnują. Za parę tygodni ma w Warszawie odbyć się faktycznie międzynarodowa, a prezentowana jako polsko-ukraińska, defilada homoseksualna. Warto przy tej okazji posłuchać abp. Szewczuka, zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego: „Propagowanie homoseksualizmu jest kolejną formą indoktrynowania ludzi w duchu ideologii gender i niczym więcej. Tak jak kiedyś komunizm zrodził się z bólu, potrzeb i ubóstwa proletariatu, a później przekształcił się w system opresji, tak samo ideologia homoseksualizmu żeruje najzwyczajniej na ludzkim bólu i może przemienić się w nową totalitarną ideologię […], wszystko to prowadzi do zniewolenia: zarówno psychicznego, emocjonalnego, jak i w końcu społecznego. […] A traktowanie »małżeństwa« homoseksualnego na równi z małżeństwem – związkiem kobiety i mężczyzny – przejmuje mnie zgrozą i jest wielkim niebezpieczeństwem dla całego społeczeństwa".

Ktoś zapyta: Czy to temat, gdy toczy się wojna? To pytanie należałoby skierować do organizatorów defilady, mam więc pomysł praktyczny. Tomasz Terlikowski w swej agendzie „nowego konserwatyzmu" proponuje „zawieszenie" w obecnych warunkach sporów moralno-ustrojowych, czy – jakby pewnie wolał to teraz nazwać – „światopoglądowo-obyczajowych". Niech więc jako mediator doprowadzi do zawieszenia planowanej defilady. Może mu się uda, a przy okazji zobaczymy, ile realizmu (więc i odpowiedzialności) było w jego propozycji. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Burkini symbolem postępu

Walczący o prawa człowieka, szczególnie kobiet, w wielu krajach przeforsowali zakaz zakrywania twarzy w niektórych miejscach publicznych. Chodziło o wyzwolenie islamskich kobiet z niewoli religii i patriarchatu, a właściwie mizoginii islamskich brodaczy.

W Grenoble tego lata islamskie niewiasty decyzją władz miejskich będą się mogły kąpać w burkini

Zapewne tymi samymi przesłankami kierowały się władze Grenoble, gdzie, jak w wielu innych francuskich miastach, na basenach i plażach wprowadzono zakaz wstępu dla nosicielek burkini, czyli stroju kąpielowego odsłaniającego tylko stopy i twarz. Ten i inne stroje wymyślono i ubrano w nie kobiety dlatego, że islamiści uważają ciało kobiety za nieczyste, więc należy je ukryć przed pożądliwym wzrokiem mężczyzn.

Teraz z nie do końca jasnych powodów postępowcy w Grenoble, a zwłaszcza reprezentujący Zielonych burmistrz Eric Piolle, zmienili zdanie. Uznali, że zakaz noszenia burkini jest dyskryminacją, a burmistrz wymyślił kretyński, ale chwytliwy bon mot: „Nie można walczyć o emancypację kobiet zakazami". Naturalnie wiele organizacji islamskich wsparło tę inicjatywę pod hasłem: „Kobiety powinny mieć możliwość ubierania się, jak chcą", co można śmiało uznać za akt hipokryzji pomnikowej. Tak czy inaczej, w Grenoble tego lata islamskie niewiasty decyzją władz miejskich będą się mogły kąpać w burkini.

Burmistrz na Twitterze zamieścił filmik, w którym przekonywał, że burkini jest symbolem postępu społecznego. Chyba ma rację. Dawno temu w Berlinie Zachodnim nad Hallensee była plaża, na której nudyści mieszali się z ubranymi. Nie było żadnej niewiasty islamskiej. Za to były setki podglądających Turków. Burmistrz Piolle, zapewne, by zachęcić islamistów do odwiedzania plaż i basenów Grenoble, zezwolił również na topless. To z kolei tłumaczył równouprawnieniem płci – jak mężczyźni, tak kobiety.

I pomyśleć, że w tej samej Francji lata temu Brigitte Bardot w bikini na plaży plaży Saint-Tropez dała początek rewolucji modowo-obyczajowej. Teraz nadszedł czas burkini. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 340eab0e61

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, może słyszeliście, iż Kraków wspólnie z rządem zorganizują tzw. Igrzyska Europejskie. Jest to święto, niestety, sportu, które – na szczęście – nie obchodzi nawet Nowego z Tarnowa, więc istnieje niewielkie ryzyko rozbudzenia postaw nacjonalistycznych i fashystoffskich, a w konsekwencji podniesienia brunatnego łba polskiego patriotyzmu.

Niemniej, skoro takiego rodzaju igrzyska już się mają odbyć, to fajnie byłoby zadbać o to, iżby okazały się świeckiem dla zjednoczonej Europy, a przy okazji może nawet i udałoby się dokuczyć rządowi, podkarpaciu, januszom i wszystkim innym.

Mianowicie: chodzi nam po głowie pomysł, iżby w ramach Igrzysk Europejskich nie organizować takich boomerskich i nudnych konkurencji sportowych, jak jakieś bieganie, pływanie, skakanie czy inne, ale żeby zorganizować konkurencje skupione wokół europejskich wartości, w których wszyscy solidarnie zajmą cztery miejsca (iżby nikogo nie wyróżniać medalami), a ten kraj będzie oczywiście ostatni.

Byłyby to np. konkurencje takie jak:
- przestrzeganie praworządności,
- szanowanie konstytucji,
- tolerancja i poszanowanie wszystkich mniejszości,
- uniezależnienie sądów od władzy wykonawczej i ustawodawczej,
- rozdział Kościoła od państwa,
- wegetarianizm,
- neutralność klimatyczna.

Of kors przedstawiciele tego kraju we wszystkich możliwych konkurencjach zajęliby ostatnie miejsce. I powiemy wam nawet, że takie igrzyska to chętnie sami byśmy pooglądali.

No nareszcie, wreszcie w tym kraju krok w stronę normalności. W niektórych gminach na Warmii i Mazurach będzie bowiem wprowadzony bezwarunkowy dochód podstawowy, a osoby będą dostawały pieniądze za nic, bo im się po prostu należy. Pamiętajcie, kochani, pieniądz prawem – nie towarem.

Jednak oczywiście musi być jakiś zgrzyt, bo w tym kraju nie da się niczego wprowadzić porządnie od początku do końca, no więc taki dochód podstawowy będzie w wysokości 1,3 tys. zł. No powiedzcie sami, czy to nie jest jak splunięcie w twarz? Co za to można obecnie kupić? Pół kilo czereśni?

Kiedy się tak wkurzaliśmy na to na przerwie w korpo, Nowy z Tarnowa zaczął nam cytować Biblię xD i powiedział coś w stylu, że kto nie chce pracować, to niech też nie je xD No bez kitu, nie jeść się nie da, ale nie pracować – jak najbardziej.

W odpowiedzi na jego bezczelną i nielogiczną postawę postanowiliśmy zażądać bezwarunkowej wypłaty podstawowej w cenie 6 tys. zł, którą wyestymowaliśmy na bazie naszych łącznych wydatków na życiowe przyjemności – iż kto powiedział, że dochód podstawowy ma być tylko na obowiązki?

Niestety, Nowy nie dał się porwać wiatrowi zmian i zaproponował nam w zamian rozwiązanie umów o pracę za porozumieniem stron, tak więc nasza rewolucja bardzo szybko się skończyła :(

Wszyscy już pisali o Eurowizji, a więc my też musimy, choć wcale nam się nie chce, bo też sami widzieliście – w sumie niczego ciekawego tam nie było.

Jedna Norwegia wystawiła zespół, co pozakładał psoosobowe maski, no ale sorry, nie, to ma być show, a nie „Domowe przedszkole".

A jeśli ma być show, to czego my oczekujemy, wystawiając białego, pewnie heteroseksualnego młodego chłopa z brodą? Ten wykonawca był idealną personifikacją tego kraju z tym do bólu konserwatywnym i niepostępowym imidżem. Dlatego też niczego się nie spodziewaliśmy i nie jesteśmy teraz rozczarowani. Oby za rok było ciekawiej. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

PiS to moje życie!

Olga, ty naprawdę powiedziałaś u Lubeckiej, że patrzysz w PiS jak w obrazek?
No oczywiście, Mateusz. Dlaczego miałabym kłamać?

Znaczy, mnie to się w sumie podoba, Jarkowi pewnie też, ale Chłopik mi ciągle mówi, żeby z tym nie przesadzać, bo to źle wygląda. Ludzie mogą pomyśleć, że udajemy.
Ale jak to? Że ja udaję?!

Ja nie mówię, że ty akurat udajesz... Choć tam chyba wielu tak... Ale że ludzie tak mogą sobie...
Ja bym nigdy, przenigdy nie kłamała w takiej sprawie! Ja, owszem, robię różne estymacje, ale nie w tej kwestii. PiS to moje życie jest!

Rozumiem, rozumiem... Tylko mnie ten Chłopik męczy... Nie mogłabyś jakoś, bo ja wiem, trochę może być mniej entuzjastyczna jakby?
Ja wiele mogę poświęcić. Ale tego to ty ode mnie wymagać nie możesz. Partia to moja matka! I ojciec! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wpędzimy ich w biedę, na pocieszenie rzucimy jakiś ochłap, nazwiemy to 13-tką i 14-tką i jeszcze nam będą wdzięczni. I tak to działa".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Niektórych jubilatów smucą kolejne urodziny. A innych rozpromieniają. To ostatnie przydarzyło się prezydentowi Andrzejowi Sebastianowi. Jak opowiadają wiewiórki, przed 50. urodzinami był jakiś taki przygaszony, a po – tryska entuzjazmem. Szczerze mówiąc, tryskał nim i w same urodziny, bo na SMS-owe życzenia odpowiadał bardzo kordialnie i wylewnie.

A czy ktoś pamięta, jak Andrzej Sebastian świętował swoje 40. urodziny? My pamiętamy. Był naonczas zwykłym posłem. Na imprezę wynajęto knajpę w Krakowie. A teraz najlepsze – znamy sporo takich, którym się wtedy nie chciało pójść, choć byli zaproszeni. Dzisiaj bardzo, bardzo żałują.

W sprawie świętowania. Mocno rozczarowała nas Partia Razem. Otóż sądziliśmy, że to prawdziwi komuniści. A takich nie sposób sobie wyobrazić bez flaszeczki siwuchy na stole, gdy toczą dysputy o internacjonalizmie i wyzysku mas pracujących przez wielki kapitał. Tymczasem Razem chce ograniczyć dostęp do alkoholu. Czasy się zmieniają, kiedyś prawdziwy komunista, jak Józef Oleksy, wiedział, jak ugościć. Ci dzisiejsi wyjeżdżają najwyżej z koktajlem z jarmużu i chia.

Zabawna historyjka z Warszawy. Niedługo przed 3 maja prezydent Andrzej Sebastian pojechał do pewnej starszej mieszkanki stolicy z orderem. Nie trzeba było wiele czasu, aby wokół limuzyny zgromadził się radosny tłum, który wiwatował w niebogłosy. Biorąc pod uwagę znikomy poziom miłości do PiS i prezydenta w Warszawie, przyjęliśmy tę historyjkę sceptycznie. Ale potem przyszła puenta. – Otóż to wszystko byli Ukraińcy! – zakończyła wiewiórka.

Apropos Ukrainy. Porozumienie ponad podziałami jest możliwe. Co łączy tak różne osoby jak Włodzimierz Cimoszewicz i Patryk Jaki, Małgorzata Gosiewska i Misio Kamiński, Joanna Kluzik-Rostkowska i Rychu Czarnecki, nie wspominając o Szczerbie i Fotydze? Otóż wszyscy należą do grupy U4U – United For Ukraine. Grupa robocza zrzesza eurodepów i zwykłych posłów, lewaków, prawaków, a nawet Islandczyków i Brytyjczyków. Jest w niej i prawdziwy przedstawiciel Ukrainy – jeden z wiceministrów. Grupa ma pewien konkretny cel: weapons. A konkretnie? Dużo weapons.

Polska dyplomacja ma nowego pracownika. Na razie jest skromnym referentem w gmachu przy al. Szucha. A mimo to nie byle jakim. Referenci to zwykle ludzie świeżo po studiach, dopiero zaczynający karierę. Ten studia skończył dawno, zrobił doktorat, habilitację i czeka na tytuł belwederskiego profesora. Referent ów został zatrudniony w komórce organizacyjnej, która nazywa się archiwum. Czas więc chyba na ujawnienie nazwiska tego osobnika. Otóż nazywa się Cenckiewicz. Tak. Ten Cenckiewicz.

Pamiętacie, jak pisaliśmy o „dyscyplinowaniu partii"? W PiS mają na to ładniejszą nazwę: rzeź baronów. Pod tym hasłem trwa reforma struktur przed wyborami. W praktyce oznacza to, że władze w regionach będą musieli oddać np. ministrowie Kamiński, Sasin i Adamczyk. Ale powiedzmy sobie szczerze – nie są to nazwiska brzmiące szczególnie arystokratycznie. I nie jest to przytyk. Wszak ludzie noszący nazwiska Gmyz i Gociek nie mogą się naigrywać z innych chudopachołków i szaraczków.

Apropos arystokratycznych nazwisk. Napisał do nas pewien Radziwiłł (ale nie ten szykowany na ambasadora na Litwie). Skrytykował nas za to, że opisując aferę ziemiańską, wymieniamy nazwiska i używamy liczby mnogiej. Wyjaśniamy więc nasze stanowisko: my generalnie jesteśmy całym sercem za arystokracją i ziemiaństwem. Nie lubimy tylko afer. Co do zarzutu, że zanim postępowanie się nie zakończy, nie ma co ferować wyroków, odpowiemy: Oczywiście, każdy ma prawo do domniemania niewinności. Także piszący o tym dziennikarze.

Ciekawostka z Radomia. Przy ul. Żeromskiego świeżutką sesję zdjęciową urządził sobie Radosław Fogiel, znany jako młoda prawa ręka szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Ten sam, który w każdym możliwym medium dementuje plotki o wcześniejszych wyborach. A jego współpracownik, jak słyszeliśmy, wynajmuje tu i ówdzie billboardy. Także tego.

My tu gadu-gadu, a na świecie dzieją się prawdziwe tragedie. Na przykład w Parlamencie Europejskim. W ramach Zielonego Ładu i walki o zmniejszenie śladu węglowego wywalono starą klimatyzację. Zainstalowano nową. Stara była normalna, można sobie było ustawić tyle stopni, ile człowiek chce. Nowa ma tylko dwa ustawienia: bardzo zimno i bardzo ciepło. W efekcie, choć mamy ciepły maj, wiewiórka, która nam to opowiadała, kichała, łzawiła, kaszlała i mówiła z chrypką. A okna, jak normalny człowiek, to otworzyć nie łaska?

Tymczasem w Eine Totalopposition. Kogo nie spytamy, ten dementuje wieści o tym, że Rafcio Trzaskowski i Zły Donald z Sopotu będą konkurować w wakacje na różne Campusy i inne takie. Wierzymy tylko w zdementowane informacje, zwłaszcza gdy są one dementowane zdaniem: „No, w wakacje to będą się odbywały bardzo różne imprezy, jak to w wakacje".

Zaczęliśmy od życzeń, kończymy życzeniami. Z okazji Dnia Matki wszystkim mamom życzymy zdrowia, szczęścia, pomyślności, pociechy z dzieci (i oby się kopert nie czepiały). Nade wszystko jednak życzymy wszystkim mamom, by nigdy nie zamieniły się w Babcie Kasie. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

Drewno jest z lasu, a leśnicy nie eksportują go do Chin.

Czyli fakty i mity o Lasach Państwowych

Papier nie powstaje w sklepie papierniczym. Dębowego stołu nie wytwarza sklep meblowy. Bez drewna nie byłoby… aut, muzyki, domów, lekarstw. Nawet piłeczek golfowych. Drewno pochodzi z drzewa. Z lasu. Poeta Christoph Wieland powiedział kiedyś, że warto dojrzeć za drzewami las. Zrozumieć, że to dzięki niemu rozwija się cywilizacja. Także Polska dzięki Lasom Państwowym, które gospodarują lasami tak, aby zapewnić rozwój gospodarki, a lasów było coraz więcej. Spójrzmy więc zza drzewa, aby poznać prawdę o pracy leśników. Może wtedy sok z papierowej słomki lepiej zasmakuje…

Drewno już dawno przestało być tylko głównym źródłem energii czy surowcem dla budownictwa. Dziś z materiałów drewnopochodnych wyrabia się już dziesiątki tysięcy produktów. A im bardziej rozwinięta gospodarka, tym więcej drewna potrzebuje. W ciągu ostatnich dwóch dekad zużycie drewna w Polsce wzrosło 2,5-krotnie.

To źródło odnawialne, a dzięki doświadczeniu pokoleń leśników, mimo coraz większego pozyskiwania drewna dla gospodarki, lasów w Polsce z roku na rok przybywa. Zrównoważona gospodarka leśna narusza jednak interesy wielu środowisk, czy to przemysłu drzewnego czy ekologów, ponieważ z jednej strony potrzeba więcej surowca na rynku, a z drugiej istnieją postulaty, aby pozyskiwać coraz mniej drewna. Konstruktywna dyskusja nad tymi zagadnieniami jest potrzebna, ale ma sens jedynie wtedy, gdy strony posługują się rzetelnymi argumentami. A z tym i branża leśna, i ekolodzy mają ostatnio spore problemy, o czym świadczą ich wypowiedzi w mediach, niestety często zawierające manipulacje, a nawet nieprawdy.

JAKA JEST WIĘC PRAWDA O DZIAŁALNOŚCI LASÓW PAŃSTWOWYCH, A JAKIE MITY?

MIT 1. W Polsce prowadzona jest rabunkowa gospodarka drzewna, a polskie drewno jest eksportowane w większej skali, niż podają Lasy Państwowe. Leśnicy celowo podbiją ceny, by więcej zarabiać.

Kilkanaście lat temu poziom pozyskiwania drewna sięgał 30 mln m sześć., obecnie dochodzi do 40 mln. To naukowo zaplanowany wzrost wynikający z nieustannie rosnącego potencjału i zasobności drzewostanów, ponieważ pozyskuje się jedynie ok. 70 proc. tego, co urośnie w ciągu roku. Drewno pozyskuje się w ilościach ściśle określonych w 10-letnich planach, które są opracowywane przez ekspertów i zatwierdzane przez rząd. Na limity zawarte w planach nie mają wpływu zmiany cen i popytu na drewno ani w Polsce, ani za granicą. Lasy Państwowe same nie eksportują i nie mają żadnego wpływu na eksport już sprzedanego drewna. Nie prowadzą także ewidencji eksportu, jest to zadanie izb celno-skarbowych i organów administracji państwowej nadzorującej obrót handlowy. Drewno sprzedawane jest w znaczącej większości stałym odbiorcom na podstawie długoterminowych kontraktów ze stałą ceną. O cenie drewna sprzedawanego na wolnych aukcjach decydują nie leśnicy, tylko kupujący, czyli branża drzewna. To ona jest odpowiedzialna za wielkość eksportu i to ona w ostatnich miesiącach sama wywindowała cenę drewna. Lasy Państwowe dostarczają surowiec na rynek w stałych, przewidzianych w planach 10-letnich wielkościach, zgodnie z zasadami zrównoważonej gospodarki. Zwiększenie podaży, czyli zwiększenie pozyskania drewna, zagroziłoby istnieniu polskich lasów i nigdy nie będzie na to zgody leśników. Las rośnie bowiem w swoim niezmiennym tempie i nie da się go przyspieszyć.

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. ADOBE STOCK

MIT 2. Masowo wycina się podmiejskie lasy, parki krajobrazowe i rezerwaty. Lasy Państwowe tną drzewa nawet w odwiecznych puszczach!

Obszary chronione nigdy nie oznaczały i nie będą oznaczać, że nie może być tam żadnej ingerencji człowieka. Przeciwnie, nawet w puszczach zawsze prowadziło się prace związane z ochroną czy usuwaniem zagrożeń. Rezerwaty objęte są planami czynnej ochrony, a pozyskane tam drewno najczęściej pozostaje do naturalnego rozkładu. Parki krajobrazowe są formą ochrony współistniejącą z racjonalną gospodarką leśną zatwierdzoną ministerialnie w Planach Urządzenia Lasu, będących podstawą prowadzonych cięć pielęgnacyjnych i odnowieniowych.

MIT 3. Leśnicy wycinają pomniki przyrody i drzewa o wymiarach pomnikowych!

Drzewo będące pomnikiem przyrody jest objęte bezwzględną ochroną, a jego wycięcie jest przestępstwem. Żaden leśnik nigdy tego nie zrobi. Wymiary pomnikowe są tylko określonymi w przepisach wartościami warunkującymi uznanie drzewa jako potencjalny pomnik przyrody. Takich drzew są miliony, a tylko pojedyncze przypadki, które muszą mieć dodatkowe wyjątkowe wartości przyrodnicze, są uznawane przez specjalne komisje za pomniki przyrody. Wymiary pomnikowe osiągają drzewa wielu gatunków, które są pozyskiwane w ramach normalnej gospodarki leśnej. Innymi słowy – drzewo musi osiągnąć wielkość, która jest najkorzystniejsza dla przemysłu, i się je dopiero wtedy pozyskuje. Nie zagraża to ani polskim drzewostanom, ani pomnikom przyrody.

MIT 4. Lasy Państwowe zacierają ręce po wichurach – leżące drzewo jest pozyskiwane poza planem jako bonus.

Na terenach dotkniętych kataklizmem pozyskanie drzew przewidzianych do użytkowania w danym 10-leciu zostaje wstrzymane, a ich miejsce zastępuje surowiec z uszkodzonych terenów. To nie są dodatkowe dochody, tylko dodatkowy koszt, ponieważ Lasy Państwowe z własnych środków porządkują te tereny i dokonują interwencyjnych zalesień. To kosztuje wielokrotnie więcej niż planowe pozyskanie.

MIT 5. Ekolodzy opublikowali czerwoną mapę wycinek, która pokazuje prawdziwą ich skalę. Czerwona jest prawie cała Polska.

Mapa rzeczywiście obrazuje obszar cięć pielęgnacyjnych i odnowieniowych, czyli takich, na których będzie wprowadzane nowe pokolenie lasu, ale jest manipulacją. Na czerwono zaznaczona jest bowiem cała powierzchnia każdego wydzielenia, tymczasem w rzeczywistości dokonuje się tam cięć jedynie na nielicznych fragmentach tych powierzchni, a okres przebudowy tych drzewostanów zaplanowany jest często na kilkadziesiąt lat. Równie dobrze można by pokazać mapę z zaznaczonymi na czerwono wszystkimi lasami w Polsce.

MIT 6. Drewno wykorzystywane przez energetykę i wzrost wykorzystania biomasy leśnej do produkcji energii jest jedną z przyczyn zwiększenia wycinki polskich lasów.

Zmiana ustawy o odnawialnych źródłach energii nie ma żadnego wpływu na wielkość pozyskania drewna przez Lasy Państwowe. Nadal obowiązują limity z planów 10-letnich i nie ma możliwości, by pozyskanie drewna wzrosło dlatego, że surowcem będzie zainteresowany akurat sektor energetyczny. Także wielkość biomasy pochodząca bezpośrednio z Lasów Państwowych jest stała i wynosi co roku ok. 1,5 mln m sześc. Sektor energetyczny wykorzystuje zaś biomasę pochodzącą również z przetwórstwa drzewnego, czyli „należącą" do branży leśnej, pochodzącą z gospodarki na terenie lasów prywatnych oraz z importu.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 340eab0e61

Zabawy z bronią

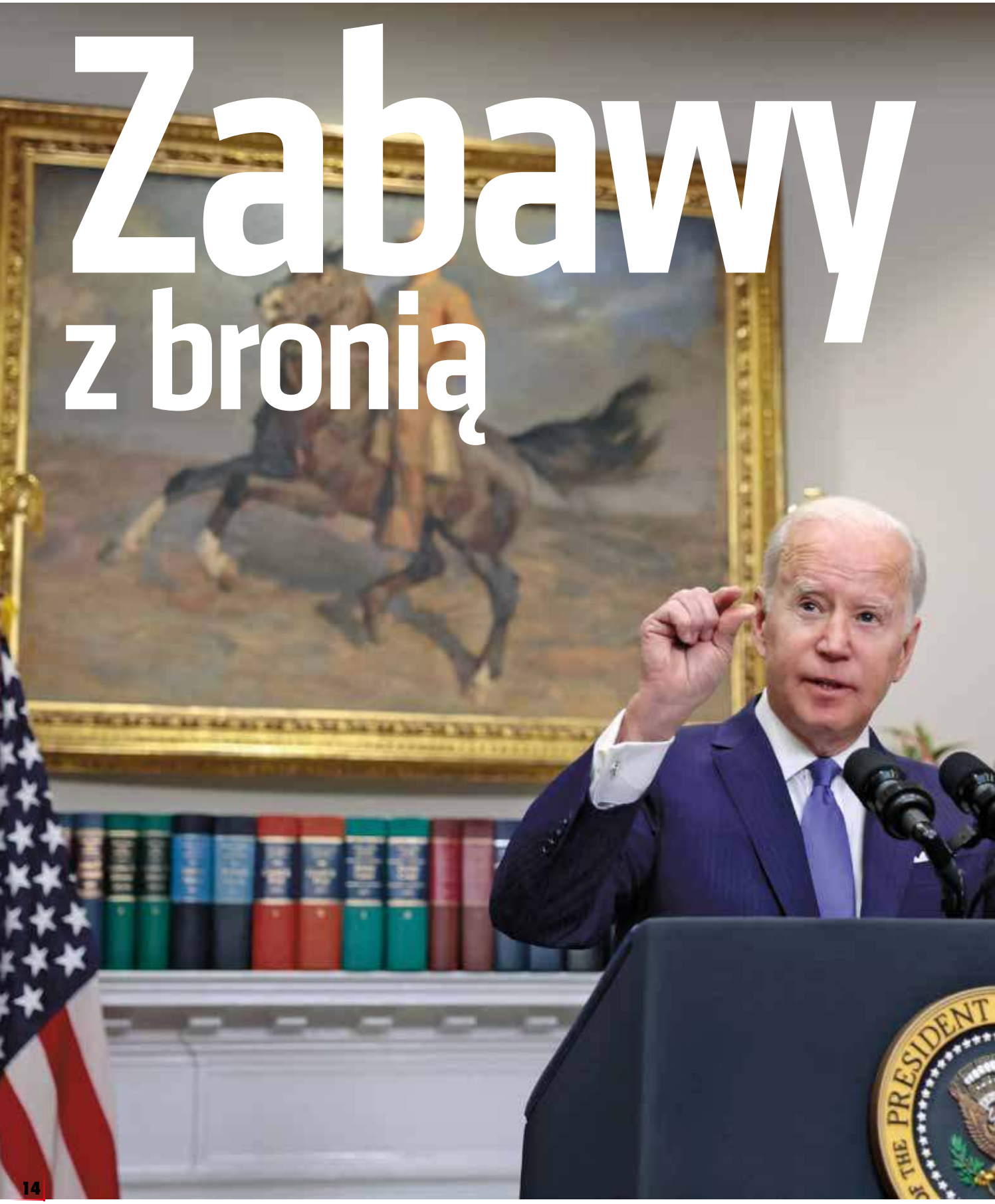

eprasa.pl 340eab0e61

Joe Biden zaproponował nowy pakiet pomocy Ukrainie. Nie wszystkim w USA się to podoba FOT. ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES

Olivier Bault

Stawką wojny na Ukrainie jest osłabienie Rosji. Jednak Europa widzi w tym inny cel niż USA, a nawet różne kraje mają swoje własne cele

Prezydent USA Joe Biden 28 kwietnia zwrócił się do Izby Reprezentantów o przyznanie 33 mld dol. na sfinansowanie nowego pakietu wsparcia dla Ukrainy. Ta 10 maja przyznała na ten cel aż 40 mld dol. Senat miał niezwłocznie przegłosować tekst poddany „szybkiej ścieżce" legislacyjnej i pakiet zostałby przyjęty już w drugim tygodniu maja, jednak na drodze do celu stanął jeden republikański senator – Rand Paul z Kentucky. Warto wysłuchać jego argumentacji, gdyż podsumowuje ona dość dobrze zarzuty, które można usłyszeć ostatnio po stronie części republikanów w odniesieniu do coraz większego zaangażowania administracji Bidena po stronie Ukrainy przeciw Rosji. „Bez względu na to, ile ta sprawa wzbudza sympatii... – zaczął swoją przemowę senator Paul – ... nie możemy uratować Ukrainy, skazując na zagładę gospodarkę USA. W marcu inflacja osiągnęła 40-letni szczyt. [...] Tak, inflacja nie bierze się znikąd, tylko z wydatków pogłębiających deficyt. Stany Zjednoczone wydały prawie 5 bln dol. na pomoc związaną z COVID-19, co doprowadziło do jednego z najgorszych i najbardziej trwałych skoków inflacji w historii USA. Amerykanie odczuwają ból, a Kongres wydaje się mieć zamiar tylko go wzmagać, wyrzucając kolejne pieniądze przez okno tak szybko, jak to tylko możliwe".

Dalej senator zwracał uwagę, że projekt ustawy przewidujący pakiet pomocy w wysokości 40 mld dol. dla Ukrainy to druga taka ustawa w ciągu dwóch miesięcy, a nowy pakiet jest trzykrotnie droższy od pierwszego (wartego 13 mld dol.). Zwracał też uwagę, że jeszcze wcześniej Stany Zjednoczone dostarczyły Ukrainie pomoc wojskową o wartości 6 mld dol. (od 2014 r. do momentu wybuchu wojny). Rand wyliczał, że jeśli Kongres przyjmie najnowszy pakiet, to suma pomocy amerykańskiej dla Ukrainy osiągnie 60 mld dol., czyniąc ten kraj największym odbiorcą amerykańskiej pomocy wojskowej w ciągu ostatnich dwóch dekad. Jest to więcej, niż USA wydały w pierwszym roku wojny w Afganistanie. „I to nie jest tak, że my mamy te pieniądze do dyspozycji – będziemy musieli je pożyczyć od Chin" – wytknął senator.

FALA OBURZENIA

Nawet bez nowego 40-miliardowego pakietu wsparcia wartość pomocy udzielonej do tej pory Ukrainie przez Stany Zjednoczone to prawie połowa wsparcia otrzymanego przez ten kraj z całego świata.

„Z długiem wynoszącym 30 bln dol. Ameryka nie może sobie pozwolić na bycie światowym policjantem. Stany Zjednoczone już próbują odrabiać straty 1,6 bln dol., które wydały na wojny na Bliskim Wschodzie, nie wspominając o 5 bln pożyczonych na COVID-19" – ostrzegał Rand Paul, konkludując: „Nie zapominajmy, że Związek Sowiecki rozpadł się w dużej mierze nie dlatego, że został pokonany militarnie, ale dlatego, że zabrakło mu pieniędzy. Czy próbując ratować Ukrainę, skażemy Stany Zjednoczone na taką przyszłość?".

Reakcja Chucka Schumera, przewodniczącego grupy demokratów w Senacie, była krótka: „Z uwag [senatora Randa Paula – przyp. red.] jasno wynika, że nie chce on pomóc Ukrainie. Nie jest tak w przypadku przytłaczającej większości tutaj zgromadzonych. To, co osiągnie, to opóźnienie tej pomocy, a nie jej wstrzymanie".

Sekretarz obrony Lloyd Austin i sekretarz stanu Antony Blinken podali datę 19 maja jako najpóźniejszy termin przyjęcia nowego pakietu, jeśli Stany Zjednoczone mają kontynuować swoją pomoc militarną w dotychczasowym tempie. Ostatecznie amerykański Senat 19 maja przyjął 40-miliardowy pakiet przytłaczającą większością głosów (86 do 11).

Wcześniejsze wyniki głosowania w Izbie Reprezentantów nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że nawet wśród republikanów wielu kongresmenów popiera nowy pakiet pomocy dla Ukrainy. Liderka demokratów w izbie niższej, zwolenniczka nieograniczonego prawa do aborcji, nie zawahała się zacytować Pisma Świętego, aby zachęcać do głosowania za tym pakietem 10 maja, twierdząc: „Brutalność Putina to nie tylko to, co robi na Ukrainie, lecz także wpływ, jaki wywiera na żywność na świecie. Kiedy więc w domu zastanawiacie się, o co w tym wszystkim chodzi, pomyślcie: »Gdy byłem głodny, nakarmiliście mnie« – czytamy w Ewangelii Mateusza".

eprasa.pl 340eab0e61

Jak napisał wpływowy amerykański neokonserwatysta Robert Kagan w majowym numerze pisma „Foreign Affairs", w tekście zatytułowanym „The Price of Hegemony. Can America Learn to Use Its Power?" („Cena hegemonii. Czy Ameryka może nauczyć się wykorzystywać swoją potęgę?"): „Fala powszechnego oburzenia zagłuszyła tych, którzy od dawna twierdzili, że Stany Zjednoczone nie mają na Ukrainie żadnych żywotnych interesów, że leży ona w sferze interesów Rosji i że polityka USA wywołała poczucie braku bezpieczeństwa, które popchnęło Putina do ekstremalnych działań. Tak jak atak na Pearl Harbor uciszył antyinterwencjonistów i zamknął debatę na temat tego, czy Stany Zjednoczone powinny były przystąpić do drugiej wojny światowej, tak inwazja Putina zawiesiła niekończący się spór Amerykanów o ich cel w świecie".

Tym niemniej w drugim tygodniu maja Ukraina nie była już najważniejszym tematem mediów amerykańskich zajętych inflacją, rosnącymi kosztami energii, brakiem mleka dla niemowląt na półkach sklepowych w całym kraju (z powodu lutowej decyzji Food and Drug Administration – FDA – o wstrzymaniu jego produkcji u jednego z dużych producentów) oraz coraz większym napływem nielegalnych imigrantów przez granicę z Meksykiem. Ponadto w prawicowych mediach, jak np. w popularnej stacji Fox News, powtarzane były argumenty Randa Paula i – przy całej sympatii dla Ukrainy – politycy republikańscy i dziennikarze zwracali uwagę, że należałoby najpierw wydać pieniądze na dokończenie muru na południowej granicy i rozwiązanie problemu braku pokarmu dla niemowląt, zanim się wyda kolejne miliardy na obronę Ukrainy. Poza tym komentatorzy często zwracali uwagę, że jeśli administracja Bidena chce naprawdę pomagać Ukrainie i uderzyć w Rosję, to dlaczego w tym samym tygodniu, gdy Kongres zajmuje się jego pakietem wsparcia dla Ukrainy, Departament Spraw Wewnętrznych Stanów Zjednoczonych anuluje sprzedaż koncesji na wiercenia w poszukiwaniu ropy i gazu w Zatoce Meksykańskiej i u wybrzeży Alaski. Przypominają przy tym, że za czasów Donalda Trumpa Stany Zjednoczone stały się ważnym eksporterem węglowodorów, które teraz muszą znowu importować z powodu decyzji podejmowanych w imieniu obrony klimatu, przyczyniając się w ten sposób do zwyżki cen na rynkach światowych, co z kolei wzbogaca takie kraje jak Rosja.

JAKIE SĄ CELE

A przecież po rosyjskim ataku na Ukrainę celem USA pod rządami administracji Joe Bidena stało się nie tylko wycofanie się Rosji z terenów zajętych po 24 lutego, lecz także jej trwałe osłabienie, tak aby nie była już ona zdolna do podobnych zachowań w przyszłości. To, że taki właśnie jest cel Stanów Zjednoczonych, zostało oficjalnie potwierdzone 25 kwietnia przez amerykańskiego sekretarza obrony Lloyda Austina. Podczas pobytu w Polsce po powrocie z Kijowa powiedział on: „Chcemy, aby Rosja została osłabiona do tego stopnia, że nie będzie mogła robić takich rzeczy, jakie robi, najeżdżając Ukrainę". Oświadczenie to było swoistym przełomem, gdyż wcześniej mowa była tylko o obronie suwerenności Ukrainy.

Podobne stanowisko zajmuje Wielka Brytania. Nazajutrz po wypowiedzi amerykańskiego sekretarza obrony brytyjska minister ds. obrony Liz Truss wygłosiła w Londynie przemówienie, podczas którego stwierdziła: „Już teraz podejmujemy działania na Ukrainie. Wojna na Ukrainie jest naszą wojną – jest wojną wszystkich, ponieważ zwycięstwo Ukrainy jest strategicznym imperatywem dla nas wszystkich. Broń ciężka, czołgi, samoloty – sięgamy głęboko do naszych zapasów, zwiększamy produkcję. Musimy robić to wszystko".

W Fox News zwracano uwagę, że przy całej sympatii dla Ukrainy należałoby najpierw wydać pieniądze na dokończenie muru na granicy

Nietrudno zauważyć, że podobne stanowisko zajmuje także Polska, która marzy dziś o trwałym osłabieniu Rosji i niestrudzenie lobbuje wewnątrz Unii Europejskiej za jak najsurowszymi sankcjami przeciw Rosji, nie bacząc na koszty dla siebie samej. Polska stała się poza tym nie tylko ważnym dostawcą broni dla Ukrainy, lecz także głównym hubem logistycznym dla dostaw broni z całego Zachodu.

Warto zauważyć, że inne duże kraje europejskie mają nieco odmienne, bardziej ograniczone cele: obrona suwerenności Ukrainy i doprowadzenie Rosji do podpisania układu pokojowego, który byłby akceptowalny dla Kijowa. I nie dotyczy to tylko Niemiec. „Jutro będziemy mieli do zbudowania pokój, nigdy o tym nie zapominajmy" – powiedział prezydent Francji Emmanuel Macron w Parlamencie Europejskim w Dniu Europy 9 maja. I dodał: „Będziemy musieli tego dokonać zarówno z Ukrainą, jak i z Rosją przy stole. Warunki dyskusji i negocjacji zostaną ustalone przez Ukrainę i Rosję. Nie będzie się to jednak odbywało w atmosferze negacji, wykluczania się nawzajem ani nawet poniżania". Macron doprecyzował też: „Nie prowadzimy wojny z Rosją. Jako Europejczycy staramy się zachować suwerenność i integralność terytorialną Ukrainy i przywrócić pokój na naszym kontynencie". A przede wszystkim francuski prezydent podkreślał, że „kiedy pokój powróci na europejską ziemię, będziemy musieli zbudować nową równowagę bezpieczeństwa", „nigdy nie ulegając pokusie upokorzenia czy ducha zemsty".

W podobnym duchu premier Włoch Mario Draghi, będąc 11 maja z oficjalną wizytą w Stanach Zjednoczonych, gdzie rozmawiał z prezydentem Bidenem, nalegał: „Musimy nadal wspierać Ukrainę i wywierać presję na Moskwę, ale także zacząć zastanawiać się, jak budować pokój". Draghi powiedział też, że „wszystkie strony, w tym USA, muszą podjąć wysiłek, by usiąść przy wspólnym stole".

„Nie powinniśmy szukać drogi wyjścia dla Rosji, a Macron robi to na próżno" – zareagował ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski nazajutrz w państwowej telewizji włoskiej RAI 1. „Wiem, że chciał osiągnąć rezultaty w mediacjach między Rosją a Ukrainą, ale nie udało mu się to" – podkreślił, tłumacząc, że „dopóki Rosja sama nie zechce i nie zrozumie, że potrzebuje [zakończenia wojny – przyp. red.], dopóty nie będzie szukała wyjścia".

NIE TYLKO BROŃ

Czy masywny charakter amerykańskiego wsparcia sprawi, że do tego dojdzie? Według danych podanych przez brytyjski tygodnik „The Economist" między rokiem 2018 a początkiem maja Amerykanie sprzedali lub podarowali Ukraińcom m.in. ok. 7 tys. przeciwczołgowych rakiet Javelin oraz 14 tys. innych systemów do zwalczania pojazdów opancerzonych, 1,4 tys. przeciwlotniczych rakiet Stinger, 700 dronów Switchblade, 90 haubic ze 183 tys. pocisków 155 mm, 16 helikop-

eprasa.pl 340eab0e61

terów Mi-17 i 200 pojazdów opancerzonych. Do tego Stany Zjednoczone wysłały sprzęt zastępczy do krajów wschodniej flanki NATO, które zgodziły się przekazać Ukrainie ciężki sprzęt poradziecki. Jeśli chodzi o zestawy przenośne Javelin i Stinger, to Amerykanie przekazali w zasadzie większość swoich zapasów i stoją teraz przed dylematem, jak zwiększyć ich produkcję, aby zapasy uzupełnić wystarczająco szybko. Przy obecnych zdolnościach produkcyjnych zajęłoby to kilka lat.

Nowy pakiet wsparcia dla Ukrainy wart 40 mld dol. zawiera nie tylko bezpośrednią pomoc wojskową. Tak zwana ustawa „Additional Ukraine Supplemental Appropriations Act" (ustawa o środkach uzupełniających dla Ukrainy) przewiduje 9 mld dol. na uzupełnienie zapasów broni przekazanej Ukrainie, 500 mln dol. na uzupełnienie zapasów amunicji, 600 mln dol. na pomoc dla przemysłu w celu szybkiego powiększania zdolności produkcyjnych. Część pakietu to także pomoc na przyjmowanie uchodźców i przeciwdziałanie problemom powstałym zwłaszcza w krajach afrykańskich w związku z blokadą eksportu ukraińskiego zboża.

Bezpośrednie wsparcie dla ukraińskich sił zbrojnych, „w tym szkolenia, sprzęt, broń, wsparcie logistyczne, dostawy i usługi, wynagrodzenia, utrzymanie oraz wsparcie wywiadowcze dla sił wojskowych i bezpieczeństwa narodowego Ukrainy" to 6 mld dol. Do tego dochodzi jeszcze 3,9 mld dol. na wzmacnianie bezpieczeństwa militarnego flanki wschodniej.

Dla porównania, cały rosyjski roczny budżet na obronę był wart ok. 66 mld dol. w 2021 r. W związku z zagrożeniem wywołanym przez Rosję prezydent Joe Biden zaproponował na przełomie marca i kwietnia budżet obronny na przyszły rok powiększony o prawie 60 mld dol. w stosunku do tegorocznego budżetu. Jeśli Kongres zdominowany przez demokratów zaaprobuje propozycję budżetu przedłożoną przez administrację prezydencką, to w przyszłym roku Stany Zjednoczone wydadzą 813 mld dol. na obronę. Nawet uwzględniając inflację, będzie to najdroższy budżet obronny od czasów drugiej wojny światowej. Amerykanie wydadzą więcej na swoją armię w przyszłym roku niż np. w czasie wojny w Wietnamie czy podczas wzmożonego wyścigu zbrojeń, którym administracja Ronalda Reagana doprowadziła Związek Sowiecki do upadku w latach 80.

Porażka Rosji na Ukrainie zmusiłaby Chiny do głębszego namysłu przed podjęciem decyzji o inwazji na Tajwan

W szeregach demokratów nie wszystkim taka polityka się podoba. „W czasach, gdy już teraz wydajemy na wojsko więcej niż 11 kolejnych krajów razem wziętych, nie potrzebujemy ogromnego zwiększenia budżetu na obronę" – protestował np. lewicowy senator Bernie Sanders. Natomiast wielu republikanów w Senacie na pewno poprze ten budżet, i to nie tylko z powodu agresywnych działań Rosji, ale przede wszystkim z powodu zagrożenia stworzonego przez rosnącą potęgę Chin i zakusów komunistycznej Chińskiej Republiki Ludowej na demokratyczną Republikę Chińską, czyli na Tajwan.

Z TAJWANEM W TLE

I tu odnajdujemy pewien klucz do zrozumienia amerykańskiego zaangażowania po stronie odległej Ukrainy, gdyż komunistyczne Chiny zapewne od początku konfliktu uważnie przyglądają się temu, jak się rozwija rosyjska inwazja i jak sprawdza się w warunkach bojowych rosyjska technologia wojskowa, mając naprzeciw siebie dużo słabsze państwo korzystające z lekkiego uzbrojenia zachodniego i ze wsparcia amerykańskiego wywiadu. Porażka Rosji na Ukrainie oraz daleko idące i długotrwałe sankcje Zachodu zmusiłyby Chiny do głębszego namysłu przed podjęciem decyzji o rozpoczęciu inwazji na Tajwan.

Jak czytamy w obszernym artykule opublikowanym 27 kwietnia przez waszyngtoński think tank Center for a New American Security, Tajwan produkuje 92 proc. zaawansowanych mikroprocesorów wykorzystywanych w najnowocześniejszych komputerach i systemach broni. Wyspa jest też potentatem, jeśli chodzi o produkcję półprzewodników i prostszych mikroprocesorów. Dlatego też najechanie Tajwanu przez komunistyczne Chiny zagrażałaby bezpośrednio bezpieczeństwu Zachodu. Stany Zjednoczone mogą zatem chcieć pokazać Chinom, doprowadzając do klęski Rosji na Ukrainie, że na to nie pozwolą, a nie było to już tak ewidentne po afgańskiej klęsce.

Jak zauważyła w grudniu Agencja Reutera w swoim specjalnym raporcie pt. „Taiwan chip industry emerges as battlefront in U.S. – China showdown" („Tajwański przemysł chipowy staje się polem bitwy w konfrontacji USA – Chiny"): „Wyspa jest liderem w produkcji chipów, które zasilają niemal wszystkie zaawansowane technologie cywilne i wojskowe. To sprawia, że gospodarki Stanów Zjednoczonych i Chin są w ogromnym stopniu uzależnione od zakładów, które znalazłyby się na linii ognia w przypadku ataku na Tajwan. Takie zagrożenie budzi niepokój w Waszyngtonie".

W czasie ukraińskiego Euromajdanu w latach 2013–2014 prezydentem USA był Barack Obama, a Joe Biden pełnił funkcję wiceprezydenta, któremu Obama powierzył nadzór nad relacjami USA z Ukrainą. Dziwnym trafem od 2014 r. Hunter Biden, syn ówczesnego wiceprezydenta, był sowicie opłacanym (z wynagrodzeniem w wysokości prawie miliona dolarów rocznie) członkiem zarządu ukraińskiego potentata gazowego Burisma, a wcześniej robił milionowe interesy w cieniu oficjalnych podróży swojego ojca wiceprezydenta do Chin. W czasie rewolucji Majdanu Rosjanie upublicznili nagranie rozmów Victorii Nuland, zastępczyni sekretarza stanu USA ds. europejskich i eurazjatyckich (i żony cytowanego wyżej Roberta Kagana), z amerykańskim ambasadorem w Kijowie. Nagranie to pokazywało, że Amerykanie, w najlepszym wypadku, próbowali kierować działaniami opozycji przeciw prezydentowi Janukowyczowi, a w najgorszym pociągały po prostu za sznurki w grupie protagonistów tych wydarzeń. Ówczesną stawką były jednak sama Ukraina oraz to, czy będzie się ona znajdowała w rosyjskiej czy zachodniej strefie wpływów. Dziś, gdy Władimir Putin wywołał wojnę, stawką w oczach Amerykanów, Brytyjczyków i Polaków jest sama Rosja i to, czy uda się ją trwale osłabić na tyle, by nie stanowiła już zagrożenia militarnego dla sąsiednich krajów.

Stawka jest wysoka, a ryzyko również duże. Jak zauważył znany komentator polityczny Thomas Friedman w stacji CNN na początku maja: „Nigdy nie żyliśmy w świecie, w którym zrobiono międzynarodowego pariasa z kraju tak dużego i potężnego". Tak się na dodatek składa, że kraj ten posiada największy arsenał jądrowy na świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Od miłości do nienawiści

Piotr Zychowicz

Relacje między Waszyngtonem a Moskwą są dynamiczne: raz państwa te są w sojuszu, innym razem – w konflikcie

W latach 2009–2013 Stany Zjednoczone prowadziły politykę resetu z Rosją. Obecnie Stany Zjednoczone prowadzą politykę konfrontacji z Rosją. Dostarczają broń Ukrainie, nakładają sankcje gospodarcze na Moskwę i izolują Putina na arenie międzynarodowej.

Zmiana amerykańskiej polityki wobec Federacji Rosyjskiej wywołuje osobliwe reakcje w Polsce. Wreszcie Amerykanie przejrzeli na oczy – możemy usłyszeć. – Wreszcie zaczęli nas słuchać i poznali się na Rosji. Zrozumieli, jaki to jest paskudny reżim. A więc to my, Polacy, mieliśmy rację!

Głosiciele podobnych tez mogą czuć się usatysfakcjonowani. Anomalia amerykańsko-rosyjskiego resetu jest już tylko wspomnieniem. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Świat znowu jest prosty i poukładany. Rosja jest zła. Ameryka jest dobra. A my – jak zawsze – jesteśmy po stronie dobra. Brawo nasi! Brawo Amerykanie!

Myślenie takie wydaje mi się nieco naiwne. Opiera się bowiem na niezrozumieniu mechanizmów, na których opiera się polityka międzynarodowa.

Globalne supermocarstwo, którym są Stany Zjednoczone, doskonale wie, co leży w jego interesie i jaką politykę zagraniczną powinno prowadzić. Amerykanie naprawdę nie są naiwnymi dziećmi, które błądziły we mgle dopóty, dopóki nie posłuchały Polaków.

Zmiana amerykańskiej polityki wobec Rosji nie jest żadnym „przejrzeniem na oczy". Ani tym bardziej „przyznaniem racji" narodom Europy Środkowo-Wschodniej, które „od zawsze przestrzegały przed Rosją". Ameryka nie zmieniła swojej globalnej strategii pod wpływem polskiej presji i argumentów. I nie od Polaków Amerykanie dowiedzieli się o tym, że Putin łamie prawa człowieka.

Świat tak nie działa. To wielkie mocarstwa dyktują politykę państwom małym i średnim. A nie odwrotnie. To my jesteśmy klientem Stanów Zjednoczonych. A nie odwrotnie. Pouczanie Amerykanów przez niektórych naszych komentatorów nosi więc niestety znamiona śmieszności.

Cóż więc się stało? Po prostu kręgi decyzyjne w Waszyngtonie w latach 2009–2013 uznawały, że w interesie Stanów Zjednoczonych leżą dobre stosunki z Rosją. A obecnie kręgi decyzyjne w Waszyngtonie uznały, że w ich interesie leży zatrzymanie rosyjskiego marszu na Zachód.

eprasa.pl 340eab0e61

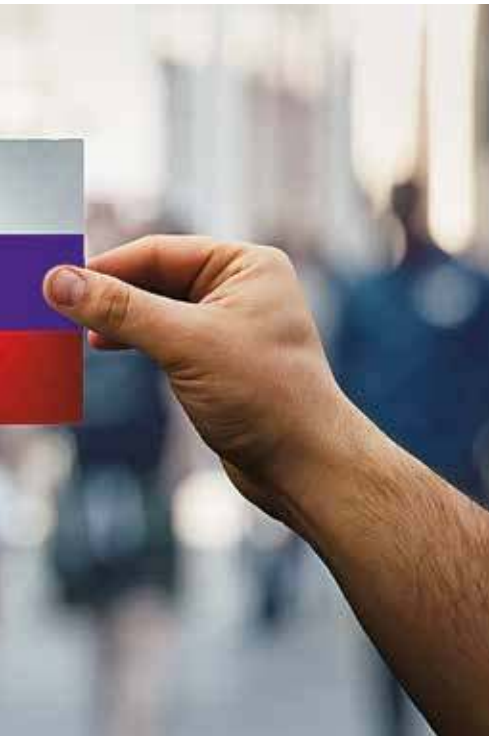

FOT. ADOBE STOCK

Polityka zagraniczna jest grą dynamiczną, a nie statyczną. Jest grą, w której nie ma stałych przyjaciół i wrogów. Liczy się tylko aktualny układ sił. Jak uczył nas Adolf Bocheński: „Wczorajszy wróg jutro może być naszym sojusznikiem, a wczorajszy sojusznik jutro może być naszym wrogiem".

To nie przypadek, że myśl polityczna Adolfa Bocheńskiego nie cieszyła się (i nie cieszy) w Polsce wielką admiracją. Ba, niektórzy nasi rodacy podobne stwierdzenia gotowi są uważać za rodzaj herezji, politykę pojmują bowiem w kategoriach idealistycznych, a nie realistycznych.

Z kolei dla amerykańskich mężów stanu słowa Bocheńskiego są „oczywistą oczywistością". Aby to zrozumieć, wystarczy sięgnąć po analogie historyczne. Przyjrzyjmy się relacjom między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim i Federacją Rosyjską.

RÓŻNE PODEJŚCIA USA

W 1917 r. imperium Romanowów legło w gruzach i jego teren został opanowany przez bolszewików. Wybuchła wojna domowa. A mocarstwa demokratyczne dokonały interwencji militarnej mającej na celu wsparcie białych.

Wśród wojsk interwencyjnych nie zabrakło Amerykanów. Oddziały walczące pod gwiaździstym sztandarem pojawiły się pod Archangielskiem. Kolejne amerykańskie wojska zostały przerzucone do Władywostoku.

Interwencja nie przyniosła skutku. Sprawa białych się załamała. Bolszewicy zatriumfowali. Ameryka nie pogodziła się z takim rozstrzygnięciem. Stany Zjednoczone były ostatnim mocarstwem, które uznało Związek Sowiecki. Nastąpiło to dopiero w 1933 r.

Zresztą czy można sobie wyobrazić bardziej wyraziste przeciwieństwa? Z jednej strony państwo wolności. Z drugiej strony – państwo terroru i ucisku. Z jednej strony kapitalistyczna prosperity. Z drugiej strony socjalistyczna nędza i degrengolada gospodarcza.

A jednak! Już w latach 30. relacje zaczęły się wyraźnie ocieplać. Amerykanie sprzedawali Sowietom maszyny, przy użyciu których Stalin mógł realizować swoją kampanię industrializacji. Kampanię, która – dodajmy – pochłonęła życia milionów ludzi.

Amerykańscy intelektualiści – pisarze, dziennikarze, naukowcy i politycy – pielgrzymowali do Związku Sowieckiego. Po powrocie opiewali „zdobycze socjalizmu" i wychwalali pod niebiosa ojczulka Stalina. Przekonywali, że bolszewia jest „drugą Ameryką". Jako przykład można wskazać działalność Waltera Duranty'ego. Korespondenta „New York Timesa" w Moskwie, który w swoich artykułach zakłamywał sowiecką rzeczywistość. Tuszował straszliwe zbrodnie bolszewików, na czele z wielkim głodem.

Zmiana nastąpiła w roku 1939, kiedy Związek Sowiecki do spółki z III Rzeszą rozszarpał Europę Środkowo-Wschodnią. Agresja na Polskę i Rumunię. Zajęcie państw bałtyckich. Inwazja na Finlandię. Szczególnie to ostatnie wydarzenie oburzyło amerykańską opinię publiczną.

Minęły jednak dwa lata i Józef Stalin – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – z tyrana, ludobójcy i wspólnika Hitlera znowu zamienił się w dobrotliwego Wujka Joe. Miłującego pokój i demokrację przywódcę. Przyjaciela i sojusznika.

Amerykańskie gazety zmieniły swoją narrację, znowu piały z zachwytu nad „sowiecką wolnością", bohaterstwem Armii Czerwonej i geniuszem Iosifa Wissarionowicza. Wszelka krytyka sowieckiego sojusznika była surowo piętnowana.

Jak to możliwe? No cóż. Zmieniła się konstelacja polityczna. W czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki, a w grudniu tego samego roku Hitler wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym. W ten sposób Moskwa i Waszyngton znalazły się w jednym obozie.

ZMIANA SOJUSZY

Sojusz z Sowietami trwał przez cztery lata. Amerykanie – na mocy Lend-Lease Act – dostarczali kolosalne ilości broni i sprzętu Armii Czerwonej. Samoloty, ciężarówki, działa, jeepy, a nawet konserwy i buty. Korzyści były obustronne. Amerykańskie dostawy uratowały Związek Sowiecki przed niechybną klęską. Zaciekła walka prowadzona przez Armię Czerwoną z Wehrmachtem pozwalała zaś Amerykanom na zaoszczędzenie cennej krwi własnych żołnierzy. USA zyskały czas na przygotowanie się do ostatecznej rozgrywki. Jak wiadomo, wojska amerykańskie wylądowały w Europie dopiero w 1943 r.

Sojusz amerykańsko-sowiecki przyniósł tragiczne skutki Polsce i całej Europie Środkowo-Wschodniej. Już wiosną 1939 r. Władysław Studnicki przestrzegał, że jeżeli dojdzie do paktu Anglosasów z Sowietami, to nasz los będzie przypieczętowany. Za udział w wojnie z Hitlerem – dowodził – będzie trzeba Stalinowi zapłacić. Tą zapłatą będzie Polska. Tak też się stało. Stany Zjednoczone w Jałcie złożyły interesy Polski (i całego regionu) na ołtarzu sojuszu z Moskwą. W efekcie na odzyskanie niepodległości musieliśmy czekać jeszcze ponad cztery dekady.

Wróćmy do Paktu Waszyngton-Moskwa. Układ ten trwał tak długo, jak długo obie strony miały wspólnych wrogów, a co za tym idzie – wspólne interesy. Gdy Niemcy i Japonia kapitulowały, interesy się rozjechały, a światowy układ geopolityczny znowu uległ odwróceniu. Rozpoczęła się zimna wojna.

Niemal z dnia na dzień wczorajszy przyjaciel – Związek Sowiecki – stał się śmiertelnym wrogiem. A wczorajsi wrogowie – Niemcy i Japończycy – stali się najbliższymi przyjaciółmi w Europie i na Pacyfiku. Tak już miało pozostać do końca zimnej wojny. A właściwie, tak pozostało do dziś.

Dobrotliwy Wujek Joe znowu na łamach amerykańskiej prasy był przedstawiany jako paskudny tyran Józef Stalin. Z kolei cesarz Hirohito – którego amerykańskie karykatury ukazywały jako krwiożerczą, skośnooką małpę – stał się nagle sympatycznym przyjacielem wolnego świata.

eprasa.pl 340eab0e61

Meandry polityki USA wobec Moskwy można prześledzić na przykładzie zbrodni katyńskiej. W 1943 r., gdy Niemcy ogłosili makabryczne odkrycie pod Smoleńskiem, Ameryka opowiedziała się po stronie Moskwy. Waszyngton bez szemrania uznał kłamliwą sowiecką wersję wydarzeń. Każdy, kto twierdził, że Polaków zamordowało NKWD, był odsądzany od czci i wiary jako „agent Goebbelsa".

Już w 1951 r. w tych samych Stanach Zjednoczonych powołano specjalną komisję śledczą Kongresu pod przewodnictwem Raya Johna Maddena. Jej zadaniem było wyjaśnienie zbrodni katyńskiej. Zrobiła to w sposób sumienny i rzetelny. Werdykt: zbrodni dokonało NKWD.

Wielu Polaków wyrażało wówczas satysfakcję, że Amerykanie „zmądrzeli" i „przejrzeli na oczy". Że wreszcie „wysłuchali naszych argumentów". Była to oczywiście naiwność. Amerykanie od początku doskonale wiedzieli, kto naciskał za spust w Katyniu. Amerykanie naprawdę nie są naiwnymi dziećmi. Po prostu kierują się swoim interesem narodowym. Czasami jest on zgodny z polskim interesem, a czasami nie. W 1943 r. byli w sojuszu ze Związkiem Sowieckim. A w 1951 r. byli w konflikcie ze Związkiem Sowieckim. Sytuacja się zmieniła. I w nowych warunkach można było już mówić o Katyniu prawdę. Esencja polityki.

DOBRO I ZŁO

Tym samym docieramy do kwestii zasadniczej. Stany Zjednoczone są państwem ultrademokratycznym. Amerykańscy politycy muszą liczyć się z opinią publiczną. Prowadzą więc politykę realną, ale ubierają ją w kostium polityki idealistycznej.

Innymi słowy – Stany Zjednoczone realizują swój egoistyczny interes narodowy, ale deklarują, że działają dla dobra całej ludzkości. Przekonują, że są wszechświatowym Imperium Dobra. Zgodnie z tą narracją Amerykanie zawsze są „good guys", a ich aktualni przeciwnicy zawsze są „bad guys". Jak kowboje i Indianie w starym westernie.

Niestety, wielu Polaków bierze to na poważnie. Dlatego sojusz amerykańsko-sowiecki z okresu drugiej wojny światowej wywołuje wśród wielu naszych rodaków takie moralne wzmożenie. Dlatego też tak wielu naszych rodaków nie pojmuje, jak mogło dojść do takiego kuriozum jak reset z Rosją za czasu prezydentury Baracka Obamy.

Spróbujmy więc rzucić nieco światła na długofalową strategię anglosaskich mocarstw morskich. Stany Zjednoczone – podobnie jak wcześniej Wielka Brytania – od stuleci w systemie światowym odgrywają rolę zamorskiego strażnika równowagi sił (offshore balancer).

O ile z perspektywy Warszawy największym zagrożeniem jest Rosja, o tyle z perspektywy Waszyngtonu największym zagrożeniem są Chiny

Co oznacza ten termin? To, że USA zwalczają państwa, które naruszają równowagę sił (balance of power) w kluczowych punktach świata. I tym samym zagrażają żywotnym interesom Ameryki. Burzą ustalony przez nie ład geopolityczno-gospodarczy i zagrażają anglosaskiej hegemonii.

Z tych samych powodów Brytyjczycy na początku XIX w. rzucili na kolana Napoleona. I dlatego Anglosasi dwukrotnie storpedowali imperialne projekty Niemiec. Taki był też powód wojny z Cesarstwem Japonii, które w połowie XX w. podjęło próbę zdominowania Pacyfiku.

Amerykańska propaganda twierdziła oczywiście, że Ameryka przystąpiła do drugiej wojny światowej dlatego, że Adolf Hitler był złym dyktatorem, a III Rzesza była paskudnym totalitarnym reżimem.

Problem w tym, że Józef Stalin również był złym dyktatorem. A Związek Sowiecki również był paskudnym totalitarnym reżimem. I jakoś Ameryce nie przeszkadzało nawiązać z nim bliskiego sojuszu. Jak więc widać, w rzeczywistości musiało chodzić o coś innego niż prawa człowieka.

DWIE OPCJE

Tym sposobem wracamy do sytuacji obecnej. Stany Zjednoczone nadal utrzymują pozycję globalnego hegemona. Jednak co najmniej dwa państwa próbują rzucić im wyzwanie i sprawić, aby jednobiegunowy świat, w którym żyjemy od 1991 r., znowu stał się światem wielobiegunowym. Mowa oczywiście o Rosji i Chinach.

O ile z perspektywy Warszawy największym zagrożeniem jest Rosja, o tyle z perspektywy Waszyngtonu największym zagrożeniem są Chiny. To jest wyzwanie numer jeden dla Waszyngtonu. Wynika to oczywiście ze skali. Rosja w porównaniu z chińskim kolosem jest karzełkiem.

Sytuacja ta sprawia, że Amerykanie – jak to już w historii bywało – stoją przed dylematem. Mają dwa wyjścia: próbować powstrzymać oba mocarstwa – Rosję i Chiny – lub sprzymierzyć się z Rosją przeciwko Chinom.

Obecnie, na szczęście dla Polski, w Waszyngtonie górą są zwolennicy opcji numer jeden. A i Rosja, delikatnie mówiąc, niespecjalnie pali się do takiego układu. W rosyjskiej optyce Ameryka i NATO to siły wraże.

Za oceanem nie brakuje jednak ekspertów i polityków, którzy przekonują, że w dłuższej perspektywie Stany Zjednoczone powinny szukać porozumienia z Rosją, aby rozbić złowrogą oś Pekin-Moskwa. Według nich tylko w ten sposób będzie można odciąć Chiny od rosyjskich surowców, które szerokim strumieniem płyną z Syberii. I w ten sposób domknąć od północy okrążenie i blokadę ekonomiczną Państwa Środka.

Zwolennicy kolejnego resetu wskazują również na analogie historyczne. W trakcie czterech poprzednich wojen toczonych w obronie równowagi sił (przeciwko Napoleonowi, Wilhelmowi II, Hitlerowi i cesarzowi Hirohito) Moskwa walczyła u boku Anglosasów, a nie przeciwko nim. Ameryka nigdy nie prowadziła prawdziwej, pełnoskalowej wojny przeciwko Rosji.

Rozumowanie to ma swoje słabe strony. W trakcie wspomnianych konfliktów zbrojnych Moskwa była dla Anglosasów atrakcyjnym sojusznikiem dlatego, że była silna. Wojna na Ukrainie obnażyła zaś niebywałą słabość współczesnej Federacji Rosyjskiej i jej sił zbrojnych.

Sprawia to, że złowroga wizja porozumienia Waszyngtonu z Moskwą wydaje się obecnie zupełnie nieprawdopodobna. Brzmi jak science fiction. Zwłaszcza w momencie, gdy ukraińscy żołnierze niszczą rosyjskie czołgi ogniem amerykańskich haubic M777.

W interesie Polski leży to, aby obecny układ geopolityczny utrzymał się na zawsze. Problem tylko w tym, czy – w długiej perspektywie – będzie to również leżało w interesie Ameryki. Oby tak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY | ORLEN

PARTNER GŁÓWNY | KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 340eab0e61

Barszcz polsko

Piotr Semka

To naturalne, że w obecnej sytuacji w relacjach polsko-ukraińskich pojawiają się pewne nowe problemy. Przyjrzyjmy się tym, które objawiły się w ostatnich dwóch tygodniach, i zastanówmy się, jak powinniśmy reagować

Od blisko stu dni trwa najgroźniejsza wojna, jaka wydarzyła się od 80 lat w sąsiedztwie Polski. Przez cały ten czas Ukraina zajmuje większość uwagi polskich mediów, a Ukraińcy znaleźli się wśród tematów rozmów Polaków. Dopiero z czasem będziemy odkrywać, jaki ta sytuacja będzie mieć wpływ na nas i na naszych sąsiadów. Ostatnie dwa tygodnie przyniosły parę wydarzeń, które warto przeanalizować, każdy wypadek osobno, jako zapowiedź tego, co we wzajemnych relacjach może występować. Ukraina nie tkwiła tak głęboko w naszej świadomości przez większość 30 lat swej niepodległości. Skoro nagle dany kraj stał się tak ważny, jego przedstawiciele znaleźli się w bardzo dużej liczbie w naszych granicach, to reakcje na to są bardzo różne. Wybrałem cztery zjawiska, które ilustrują bardzo różne problemy. Warto je spokojnie przeanalizować, aby się zastanowić, jak na nie reagować i czego mogą być symptomami.

1. SPRAWA RZEKOMEGO ZABÓJSTWA NA NOWYM ŚWIECIE

Krótki film nagrany nie wiadomo przez kogo na telefonie komórkowym zawierający rozmowę w języku ukraińskim i przedstawiający ponury incydent. Zaprezentowani na filmie trzej lub czterej mężczyźni byli pod wpływem alkoholu i zaczepiali przechodzące w pobliżu kobiety. Gdy upomniał ich młody mężczyzna, ci zareagowali agresywnie, wciągnęli go do bramy, zaczęli go kopać i zadali ciosy ostrym narzędziem. Film rozpowszechniono w sieci i stał się on powodem całej lawiny informacji w mediach społecznościowych na temat rzekomego ataku – jak to określano – Ukraińców na młode Polki.

Informacja okazała się nieprawdziwa i prokuratura bardzo wyraźnie stwierdziła, że sprawstwa cudzoziemców nie stwierdzono. A jednak tak rozpoznawalne po prawej stronie sceny publicystycznej postacie jak Wojciech Sumliński czy Rafał Otoka-Frąckiewicz powieliły informację o winie Ukraińców.

Cała sprawa pokazała, jak łatwo da się wykorzystać tego typu incydent do wzbudzenia ogromnej fali oburzenia i niechęci. Oczywiście o wszystkich okolicznościach będziemy mogli mówić po zakończeniu śledztwa, ale deklaracje prokuratury warto przyjąć serio. Nie ma na razie powodów, by wątpić w jej słowa.

Trudno nie ulec wrażeniu, że dla wielu osób, które podchwytywały wiadomość o winie przybyszy ze wschodu, była ona potwierdzeniem ich przekonania, że gwałtowny transfer ludności ukraińskiej będzie powodował wzrost przemocy. Nie wiadomo, skąd było to założenie, gdyż 90 proc. nowych uchodźców to są kobiety i ich dzieci. Jeśli już, to największe wątpliwości mogły budzić grupy 16-, 17-latków, które trzymają się razem w polskich miastach, do których przybyły, ale za największy ich grzech można uznać chodzenie grupami z głośnikami grającymi muzykę po rosyjsku lub ukraińsku. To bywa irytujące, ale daleko jeszcze od tego do tworzenia zagrożenia. Swoją rolę odegrała w całej sprawie dość tradycyjna na prawicy nieufność do prawdziwości oficjalnego przekazu.

Podobna nieufność panowała też w czasie epidemii COVID. Mieliśmy przykład, jak jeden incydent spowodował bardzo duży wzrost napięcia w sieci.

Na razie nic nie wskazuje, aby doszło do ataku Ukraińca na Polaka. Co będzie jednak, jeśli kiedyś do tego dojdzie? Czy wtedy taki, sprawdzony już, przypadek nie wywoła zajść? Warto potraktować sprawę zabójstwa na Nowym Świecie jako ostrzeżenie. Ulubionym argumentem wysuwanym przez tych internautów, którzy potraktowali tę informację serio, jest zarzucanie, że teraz władze PiS powielają praktykę policji zachodnich państw, które utajniały migranckie pochodzenie gwałcicieli czy sprawców brutalnych morderstw. W niektórych wypadkach na Zachodzie rzeczywiście bywało to absurdalne, gdy np. ostrzegając przed seryjnym gwałcicielem, przemilczano jego kolor skóry. Jednak skok emocji wokół zabójstwa na Nowym Świecie uzmysłowił nam, że rozwaga

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. ADOBE STOCK

zachodnich policji nie wynikała jedynie z groteskowej poprawności politycznej.

2. OBURZENIE WOBEC WERDYKTU UKRAIŃSKICH JURORÓW NA KONKURSIE EUROWIZJI

W czasie kolejnej edycji europejskiego turnieju piosenki występ polskiego reprezentanta Krystiana Ochmana został oceniony przez ukraińskich sędziów bez przyznania żadnego punktu Polsce. W podobny sposób sędziowie ukraińscy potraktowali reprezentanta Litwy, który także nie otrzymał ani jednego punktu. Publiczność ukraińska przyznała polskiemu zawodnikowi 12 punktów, ale ten fakt bardzo często pomijano w oburzonych komentarzach. Pojawiła się nawet grafika, która w szyderczy sposób powielała plakatowy motyw biało-czerwonej dłoni stykającej się z błękitno-żółtą dłonią ukraińską przypominającą, że Polacy dali Ukraińcom maksymalną pulę 12 głosów, a „Ukraińcy" nam zero głosów. Z rysunku nie można było się zorientować, że tak surowy dla Polaka werdykt wydali jedynie sędziowie, a nie publiczność ukraińska.

Bardzo szybko okazało się, że skala negatywnych emocji została zauważona w Kijowie. Ukraiński minister kultury Ołeksandr Tkaczenko cytowany przez oficjalną agencję Ukr-Inform specjalnie odniósł się do decyzji jury swojego kraju. Tkaczenko oświadczył, że taka ocena „nie odzwierciedla naszej rzeczywistej postawy wobec was, naszych najbliższych przyjaciół w Europie". Ocenił, że zero punktów dla tych krajów od Ukrainy to prawdziwy wstyd.

Podobnie jak w wypadku incydentu na Nowym Świecie skala oburzenia na Ukrainę musi budzić zdziwienie. Festiwal, który nie reprezentuje jakiegoś oszałamiającego poziomu, bardzo często krytykowany za niejasne zasady oceny jury, nagle stał się najważniejszym wydarzeniem w relacjach polsko-ukraińskich. Czym innym byłoby wyrażone w jakiś spokojny sposób poczucie zawodu, a czym innym gromkie komentarze sugerujące, że jest to idealna ilustracja obojętności Ukrainy wobec Polski. Tym bardziej że zarzut kierowany wobec ogólnikowo nazywanych „Ukraińców" skupiał się wyłącznie na decyzjach jurorów, a ignorował bardzo ciepłe przyjęcie przez widzów ukraińskich, czego zresztą oczekiwano od władz w Kijowie. Wydanie sędziom jakiegoś zalecenia, by Polska i Litwa były traktowane w specjalny sposób? Kto miałby takie zalecenia kierować? Skala internetowej awantury przekroczyła wszelkie rozsądne granice.

3. SPRAWA PRZEWODNIKA PO HISTORII POLSKI DLA UKRAIŃSKICH UCZNIÓW

Kuratorzy oświaty we wszystkich częściach Polski na polecenie szefa Ministerstwa Edukacji Narodowej Przemysława Czarnka rozdają ukraińskim uczniom wydaną przez IPN publikację o historii Polski. Jest to reprint materiału historycznego, który był rozdawany w 2016 r. uczestnikom Światowych Dni Młodzieży w Krakowie. W materiale znalazły się m.in. informacje o polskich świętych, a także informacja o rzezi wołyńskiej. „Gazeta Wyborcza" opublikowała wiele wypowiedzi nauczycieli, którzy ogłaszają, że nie pokażą go swoim uczniom. W tekście pojawia się anonimowa „była historyczka IPN", która mówi: „Powinniśmy się teraz skupić na adaptacji tych uczniów, a nie na wciąganiu ich w Wołyń".

Czym jest owo wciąganie w Wołyń? Chodzi dosłownie o dwa zdania, które brzmią: „W latach 1943–1944 na terenach okupowanego przez Niemców Wołynia Wschodniego galicyjscy Ukraińcy z UPA, dostrzegając skuteczność eksterminacji dokonywanych przez Niemców, rozpoczęli systematyczne rzezie polskich mieszkańców Wołynia. Ta ludobójcza akcja doprowadziła do uśmiercenia ponad 100 tys. Polaków. Jej celem było doprowadzenie w krótkim czasie do pełnej likwidacji polskiej populacji w tych regionach".

Zdania te nie zawierają jakiejś bardzo kontrowersyjnej tezy. Zgodne są z wiedzą historyczną, która nie stanowi sporu ani po lewej, ani po prawej stronie polskiej opinii publicznej. Szef resortu edukacji Przemysław Czarnek zapytany o ten fragment materiału mówił w TVP: „My nic nie ukrywamy, nie mamy się czego wstydzić i dzieci ukraińskie również nie mają się czego wstydzić, bo to nie one dokonywały makabrycznych rzeczy na Wołyniu. Nie możemy fałszować historii, jak robią to w Rosji, bo hasło »Nigdy więcej wojny!« pozostanie puste".

Można by się zastanowić, czy materiału z 2016 r. przeznaczonego dla

eprasa.pl 340eab0e61

młodych ludzi z całego świata o bardzo różnej wiedzy na temat Polski nie można byłoby rozszerzyć paroma zdaniami, które brałyby pod uwagę świadomość historyczną ukraińskich dzieci. Można by napisać, że dramatem ostatniej wojny było to, że UPA upominając się zbrojnie o niepodległość Ukrainy, jednocześnie uległa chorobliwym ideom XX w., w którym zapominając o pojęciu grzechu, wierzono w słuszność czystek etnicznych. Można by też włączyć zdanie, że brutalność jednostek UPA wywołała potem akcję oddziałów polskiego podziemia przeciwko wioskom zamieszkałym przez Ukraińców na terenie Lubelszczyzny, choć z zaznaczeniem, że skala ofiar, które zginęły w trakcie takich odwetów, w tym kobiet i dzieci, była nieporównywalnie niższa niż skala ofiar Polaków na Wołyniu. Wybrano najbardziej oględny tekst, który zawiera w sobie tylko dwa, dosłownie dwa, zdania na temat Wołynia.

A jakie były reakcje zacytowanych przez „Gazetę Wyborczą" nauczycieli? Agnieszka Jaczyńska, nauczycielka historii w I Społecznym Liceum Ogólnokształcącym im. Unii Europejskiej w Zamościu, wskazuje, że rozpowszechniany tekst był stworzony dla uczestników Światowych Dni Młodzieży i nie był adresowany do ukraińskich uchodźców, czyli do poturbowanej wojną, zmagającej się z traumą młodzieży. Agnieszka Jaczyńska mówi: „Nie jest to odpowiedni moment, by w ten sposób opowiadać dzieciom z Ukrainy o historii Polski. Szczególnie że mamy się czym zająć, jeśli chodzi o ukraińskich uczniów w polskich szkołach. Jest wiele ważniejszych wyzwań, np. nauczyć te dzieci języka polskiego, ułatwić im komunikację, pomoc się u nas zaaklimatyzować".

Z kolei Jacek Staniszewski, nauczyciel historii w Akademii Dobrej Edukacji w Warszawie, mówi: „Najbardziej przebija się narracja, że »Ukraińcy chcieli, patrząc na Niemców, zorganizować Polakom na wschodzie swój własny holokaust, skoro mieli wzorować się na poczynaniach Niemców«. To oczywiście jest nieprawda. To nie takie proste. […] Ja takiego tekstu uczniom nie pokażę, jeżeli w klasie jest uczeń z Ukrainy. W ogóle sobie nie wyobrażam, że ja takiego »podręcznika« mam używać na lekcji, bo to nie jest zwyczajny podręcznik. To zapis jakichś sytuacji i wszystkich polskich świętych, droga przez polski panteon narodowy. To jest po prostu niestrawne, cały ten tekst jest niestrawny".

Teza o tym, że UPA wzorowała się na Holokauście, jest oczywiście tezą historyczną. Jednak jest faktem historycznym, że bardzo wielu bojowników UPA było wcześniej w ukraińskiej policji służącej u boku Niemców i w jej ramach nie tylko zaznajamiało się z używaniem broni, lecz także uczestniczyło w wyłapywaniu Żydów na kresach. Nauczyciel z Akademii Dobrej Edukacji narzeka, że materiały przygotowane przez MEN to nie jest podręcznik. Owszem, nie jest. Gdyż nie było czasu na stworzenie osobnej publikacji dla ukraińskich uczniów. Z drugiej strony dzieci zza naszej wschodniej granicy, które dołączają do polskich uczniów, powinny mieć jakieś ogólne pojęcie o polskich dziejach i jakieś krótkie przedstawienie polskiego spojrzenia na wydarzenia na Wołyniu. Może to być początek do dyskusji na ten temat i tylko od nauczycieli zależy, czy taka dyskusja będzie prowadzona w sposób spokojny i wyważony. Ponieważ najwięcej uchodźców pochodzi ze wschodniej Ukrainy, bardziej prawdopodobne jest to, że Ukraińskie dzieci z Charkowa czy Mariupola po raz pierwszy dowiedzą się o rzezi wołyńskiej.

Cała sprawa pokazuje jeszcze jedno zjawisko. Dialog polsko-kraiński na temat historii będzie się w przyszłości odbywał w trójkącie. Ukraińcy – Polacy wrażliwi na punkcie Wołynia – polscy postępowcy niechętnie patrzący na powracanie do tego tematu. To znacznie skomplikuje rozmowę. Polska prawa strona powinna wyciągnąć z tego wniosek, że musi tej dyskusji nadawać wysoki poziom merytoryczny. Bez łatwego szafowania emocjami, bo skądinąd wiadomo, że trudno ich przy takim temacie uniknąć.

4. TO WSZYSTKO NIE TAKIE PROSTE

Na łamach „Gazety Wyborczej" Paweł Smoleński rozmawia z Serhijem Żadanem, pisarzem i rockmanem, który jeździ na front ze specjalnym programem dla bojowników ukraińskich sił zbrojnych. Żadan mówi: „Jutro zagramy dla rannych w szpitalu. Mamy specjalnie ułożony repertuar"... Tu Smoleński wtrąca: „[...] z »Czerwoną kaliną«, najsłynniejszą obecnie ukraińską piosenką znaną na całym świecie?". Żadan odpowiada: „Jasne, że śpiewamy »Kalinę«. To dzisiaj symbol walczącej Ukrainy, bez »Kaliny« po prostu się nie obejdzie". Smoleński: „Spopularyzował ją Andrej Chływniuk z Boomboxa, śpiewają ją Pink Floyd, ukraińskie i nieukraińskie apele oraz chóry. Wszyscy na różną nutę, z różnymi słowami, ale i tak wiadomo, że to piosenka jak drugi ukraiński hymn. To nie przeszkadza, by garstka zacietrzewionych polskich narodowców bezwstydnie głosiła, że to pieśń UPA i nacjonalistów. Zawstydzające też, że mamy Polaków putinopodobnych". Żadan reaguje na tę tyradę w bardzo spokojny sposób: „Każdy naród ma swoje istoty putinoidalne. Wolę słuchać o naszych polskich siostrach i braciach".

Zjadliwe słowa Smoleńskiego są przykładem reakcji, która niczego nie wyjaśnia, a jedynie z satysfakcją obsobacza grupę Polaków. Pieśń „Czerwona kalina" powstała w oddziałach strzelców siczowych z czasów pierwszej wojny światowej, które walczyły wtedy u boku Austriaków, a potem z Polakami w latach 1918–1920. Ponieważ bardzo wielu oficerów UPA miało za sobą służbę w oddziałach siczowych, to siłą rzeczy „Kalina" była śpiewana w oddziałach UPA. Zamazywanie tego faktu nie ma żadnego sensu. Sens ma natomiast tłumaczenie, że dziś ten utwór, który notabene nie ma w sobie żadnych treści antypolskich, jest po prostu traktowany jako jedna z najpopularniejszych pieśni ukraińskich mających niepodległościowy rodowód. Tak samo warto spokojnie tłumaczyć, że tryzub nie jest symbolem stricte upowskim, tylko ma ponad tysiąc lat historii, a święto Pokrowy Matki Boskiej, które ustanowiono dniem świątecznym Armii Ukraińskiej, owszem, było w 1942 r. dniem powstania UPA, ale wcześniej było już świętem wojsk kozackich.

***

Specjalnie w całym tekście nie odnosiłem się do kwestii, w jakim stopniu zarówno emocje wokół zabójstwa na Nowym Świecie, jak i werdyktu ukraińskich sędziów w turnieju Eurowizji były podchwytywane przez rosyjskie siły dezinformacji operujące w sieci. Ponieważ nie da się tego jasno stwierdzić, można za pomocą takiego argumentu obrazić tych, którzy mają prawo wskazywać, że relacje Ukraińców i Polaków muszą być obszarem swobodnej wymiany myśli. Tyle że od tego kontekstu nie da się uciec. I dlatego w dyskusji na ten temat tak trudno się poruszać. To niełatwa próba dla nas i dla Ukraińców, ale przejść ją trzeba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl 340eab0e61

Pierwsi do odbudowy

Zuzanna Dąbrowska

Coraz częściej mówi się o wielkim projekcie powojennej odbudowy Ukrainy. Polskie władze deklarują, że nasz kraj chce mieć w tym swój udział. Rekonesans wśród państwowych spółek już trwa

Im dłużej trwa wojna, tym większe będą straty FOT. ADOBE STOCK

Odbudowa Ukrainy ze zniszczeń wojennych to olbrzymi wysiłek, w który chcemy zaangażować cały świat. Tam, gdzie wojska Putina zostawiają śmierć i zniszczenie, ponownie będą tętniące życiem ukraińskie miasta – powiedział premier Mateusz Morawiecki podczas konferencji Darczyńców na rzecz Ukrainy.

Kierowany przez Jacka Sasina resort aktywów rozpytuje wśród państwowych spółek o gotowość do udziału w odbudowie Ukrainy po wojnie. W rozesłanym e-mailu pyta zarządy o wcześniejsze związki z tym krajem, plany ewentualnych powojennych inwestycji oraz współpracę z partnerami z Ukrainy.

– Robimy plany dotyczące odbudowy infrastruktury energetycznej i paliwowej, aby złożyć rządowi Ukrainy ofertę – poinformował Sasin podczas Polsko-Ukraińskiego Forum Energii. W rozmowach udział biorą m.in. PKN Orlen, PGNiG oraz PKP Cargo. Kierunki są więc jasne: energetyka i transport. Im więcej łączy daną spółkę z Ukrainą, tym większa szansa, że zostanie ona uwzględniona przez rząd w szykowanej ofercie.

– W tej chwili wszyscy koncentrują się na wsparciu Ukrainy w obronie przed rosyjską napaścią, ale zdajemy sobie sprawę z ogromu wyzwań, które pojawią się, gdy przyjdzie czas odbudowy kraju. Jest jasne, że wtedy Ukraina również będzie potrzebować mocnego wsparcia. Dlatego też wicepremier Jacek Sasin zlecił, by przygotować się do tego już teraz. Tym bardziej że wiele spółek prowadziło interesy na Ukrainie przed wojną. Otrzymujemy też wiele sygnałów o potrzebie i gotowości do działań, które po ustaniu konfliktu doprowadzą do jak najszybszego przywrócenia mocy ukraińskiej gospodarki. W wielu wypadkach wprost wyrażane jest zainteresowanie współpracą ze spółkami Skarbu Państwa, które traktowane są jako najwiarygodniejszy partner takich działań – przekazał „Do Rzeczy" rzecznik MAP Karol Manys.

OGROM STRAT

W jakie konkretnie działania mogłyby zaangażować się polskie spółki? Jak mówi rzecznik, „horyzont może tu być bardzo szeroki". – Od udziału w projektach biznesowych, do wsparcia ze strony wysoko wykwalifikowanych menedżerów, którymi dysponują spółki – wyjaśnia Manys. Resort podkreśla, że na razie nie ma mowy o konkretnych przedsięwzięciach, a tym bardziej o możliwych zyskach rodzimych firm.

Aby zrozumieć, jak gigantycznym projektem będzie odbudowa Ukrainy, wystarczy spojrzeć na analizy światowych instytucji. – Prognozy dotyczące ukraińskiej gospodarki średnio wskazują na utratę ok. 35 proc. PKB. Są szacunki wyższe. – Bank Światowy podał, że ukraińskie PKB obniży się o 45 proc. Są także prognozy bardziej optymistyczne na poziomie 30 proc., jednak one zakładały, że wojna skończy się w krótkim terminie, a nic takiego się nie dzieje. Niewątpliwie wstrząs dla ukraińskiej gospodarki będzie ogromny – mówi „Do Rzeczy" Sławomir Matuszak, główny analityk Ośrodka Studiów Wschodnich ds. polityki wewnętrznej i gospodarczej Ukrainy. Podczas majowej konferencji „Europa Karpat" przewodniczący Lwowskiej Wojskowej Obwodowej Administracji Państwowej Mychajło Bno-Airiian stwierdził, że „już teraz mamy spadek PKB o 40 proc. i to jest optymistyczne spojrzenie". Ukraiński rząd szacuje straty na ok. 1 bln dol. Wszystkie te wyliczenia

eprasa.pl 340eab0e61

mogą się jednak zmienić. Im dłużej trwa wojna, tym większe będą straty.

WSPÓŁPRACA JUŻ TRWA

Polska przejmuje nadzór nad ukraińskimi eksportem i importem. Premierzy Mateusz Morawiecki i Denys Szmyhal podpisali w tej sprawie memorandum. Zakłada ono m.in. utworzenie spółki polsko-ukraińskiej ds. eksportu zboża. – Polska dziś pomaga Ukrainie w eksporcie, jednocześnie stając się pośrednikiem. Na pośrednictwie też można bardzo dużo skorzystać, a tym samym coraz więcej przedsiębiorców ukraińskich lokuje się w Polsce, tworząc tutaj miejsca pracy – przekonywał Morawiecki. W ubiegłym roku ukraiński eksport osiągnął wartość najwyższą od dekady – 68,24 mld dol.

Popyt reguluje podaż, więc to Ukraina będzie wskazywać na konkretne potrzeby. Eksperci są zgodni: priorytetem będzie odbudowa infrastrukturalna, przede wszystkim w zakresie mieszkalnictwa. – Odbudowa budynków mieszkalnych, szczególnie w zachodniej części Ukrainy, dla wewnętrznych przesiedleńców może ruszyć już w najbliższym czasie – przewiduje Matuszak. Kijowski Narodowy Uniwersytet Ekonomiczny szacuje, że straty w infrastrukturze to 92 mld dol. Z tej kwoty aż 29 mld dol. to budynki mieszkalne.

Chodzi jednak nie tylko o mieszkania. Kierownik zespołu handlu zagranicznego Polskiego Instytutu Ekonomicznego Marek Wąsiński wymienia: – To też budynki, drogi, dworce czy lotniska.

Wielka szansa stoi przed polskimi portami morskimi. – W związku z wydarzeniami na południu Ukrainy i odcinaniem przez Rosjan tego państwa od Morza Azowskiego i blokady Morza Czarnego pojawia się kwestia dotycząca sektora logistyki – poczynając od usług przewozu, kończąc na usługach portowych. Już teraz widoczne są znacznie zwiększone potrzeby Kijowa w zakresie eksportu towarów. Wskazują na to także ruch w polskich portach czy próby eksportu przez Rumunię – mówi Wąsiński.

Sławomir Matuszak z OSW wskazuje, że obok infrastruktury mieszkalnej odbudowy będzie wymagała także ta krytyczna – szczególnie elektrownie i ciepłownie: – Kilka miast jest obecnie pozbawionych dostępu do ciepłej wody. Trzecia rzecz to infrastruktura transportowa – mosty, węzły kolejowe. W kontekście energetyki trzeba wskazać, że Ukraina utraciła kontrolę nad największą elektrownią atomową w Europie, elektrownią w Enerhodarze.

Analityk podkreśla jednocześnie, że tutaj wiele zależy od intensywności działań wojennych: – Przykładową elektrownię zaczniemy odbudowywać, a następnego dnia zostanie zbombardowana. Zakładam więc, że konflikt musi stać się konfliktem niskiej intensywności, aby była szansa na odbudowę – przynajmniej w kontekście dużych obiektów infrastrukturalnych.

Polska deklaruje, że jest gotowa zapewnić Ukrainie ciągłość dostaw energetycznych. I zapowiada zwiększenie – także z myślą o potrzebach wschodniego sąsiada – pojemności planowanego pływającego terminala LNG w Gdańsku. To ten rodzaj inwestycji, który może być realizowany już teraz, bez konkurowania z innymi państwami. A perspektywa jest szeroka. W ciągu kilku miesięcy na Ukrainie wystąpią deficyty w gazie. – Trudno powiedzieć, jakiej wielkości, ale można wskazać, że przed sezonem grzewczym kraj ten będzie musiał zgromadzić ok. 6 mld m sześc. gazu, a biorąc pod uwagę, że obecnie ceny oscylują powyżej 1 tys. dol. za 1 m sześc., oznacza to wydatek rzędu 6–7 mld dol. Dodatkowo nie jest łatwo fizycznie znaleźć kierunki dostaw gazu – mówi Sławomir Matuszak.

Gotowa oferta polskiego rządu ma zostać przedstawiona władzom Ukrainy. Nieoficjalnie mówi się, że czasu nie ma wiele

KONKURENCJA NIE ŚPI

Gotowa oferta polskiego rządu ma zostać przedstawiona władzom Ukrainy. Kiedy? Odpowiedzi na razie brak, choć nieoficjalnie mówi się, że czasu nie ma wiele. Konkurencja nie śpi. Wiadomo, że nie tylko Polska jest zainteresowana pozyskiwaniem kontraktów w ramach odbudowy. Jak więc powinna wyglądać nasza propozycja, aby mogła rywalizować z tym, co przedstawią np. znacznie lepiej rozwinięte gospodarczo Niemcy? – Należy myśleć o przygotowaniu oferty, która będzie uwzględniała inwestycje i korzystanie z ukraińskich dostawców. Polskie firmy powinny przygotowywać się do startowania w przetargach organizowanych przez międzynarodowe instytucje takie jak Bank Światowy czy agendy ONZ. W tym kontekście rodzime podmioty mogą starać się budować zarówno krajowe, jak i międzynarodowe konsorcja. Konieczne jest jednak rozpoczęcie przygotowań już teraz – rozeznanie się w rynku czy wymogach proceduralnych – zaznacza Marek Wąsiński z Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Konkurencją dla Polski będą nie tylko kraje zachodnie. Władze Ukrainy deklarują, że chcą w jak największym stopniu zaangażować w odbudowę swoje własne firmy. Szef Lwowskiej Wojskowej Obwodowej Administracji Państwowej stwierdził np., że najlepszą formą wsparcia będzie pomoc ukraińskim przedsiębiorcom, aby pozostali w kraju i tam tworzyli miejsca pracy.

Nieco pomijanym, choć ważnym aspektem powojennego „gospodarczego nowego ładu", który realizuje się już teraz, jest pobudzenie polskiej gospodarki „w środku". Z jednej strony część firm z obszarów objętych wojną przenosi się do nas. Zgodnie z przyjętymi na wojennej fali przepisami obywatele Ukrainy, którzy legalnie przebywają w Polsce mogą prowadzić działalność gospodarczą na terytorium naszego kraju na takich samych zasadach jak obywatele polscy. Z drugiej zaś konieczność odbudowy ukraińskiej gospodarki może przełożyć się także na zwiększenie inwestycji w Polsce. Jak wyjaśnia ekspert Polskiego Instytutu Ekonomicznego, jest szansa na lokowanie u nas produkcji przemysłowej zajmującej się dostarczaniem np. komponentów lub usług na potrzeby Ukrainy. – Członkostwo w NATO i UE daje zagranicznym inwestorom bezpieczeństwo i stabilność działania. Z kolei tym, co będzie negatywnie wpływać na inwestycje, są spadek światowego eksportu i nadchodzące spowolnienie – mówi Marek Wąsiński. Odbudowa Ukrainy jest gigantyczną szansą dla Polski, aby od „montowni Europy" i dostawcy taniej siły roboczej przejść do wyższej ligi. Czynników decydujących o powodzeniu tego procesu jest wiele i na wiele pytań wciąż nie ma odpowiedzi. Pewne jest jednak jedno: Polska, która nie szczędzi pomocy w czasie wojny, osłabiając w ten sposób własny potencjał, mogłaby poprzez udział w odbudowie zrekompensować sobie część strat. A może nawet zarobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Z wiceministrem sprawiedliwości Michałem Wosiem
rozmawia Karol Gac

UE próbuje zlikwidować państwa narodowe

KAROL GAC: Rzecznik rządu poinformował, że Polska i Bruksela doszły do porozumienia w sprawie formalnego zatwierdzenia Krajowego Planu Odbudowy oraz omawianych w negocjacjach kamieni milowych. To koniec politycznego serialu, który śledziliśmy od miesięcy?

MICHAŁ WOŚ: Nie. KPO to krótki odcinek, przed nami kolejne sezony pt. „Wykończyć państwa narodowe". Dla Polski i naszej racji stanu nie ma teraz ważniejszej sprawy niż wojna na Ukrainie. A to, że w tym czasie zaprzątamy sobie głowy KPO, wynika ze złej woli UE. „Polityczny serial", czyli de facto szantaż finansowy, trwa i trwać będzie. Niestety. Pieniądze z KPO to kredyt. Gigantyczna pożyczka zaciągnięta także na koszt Polski przez UE u światowej finansjery, którą żyrujemy i już zaczęliśmy spłacać przez wyższą składkę. To nasze pieniądze. Powinny być wypłacone bez kręcenia nosem i szantażów. A nie mamy z tego ani eurocenta. UE działa bezprawnie. Serial będzie trwać, bo popełniony został historyczny błąd na szczycie europejskim i Polska zgodziła się na tzw. mechanizm warunkowości, przy sprzeciwie Solidarnej Polski. UE oszukała premiera Morawieckiego i tych, którzy brali za dobrą monetę zapewnienia, że nie będą używać tego mechanizmu szantażu w sprawach politycznych. „Sprawdzam" przyszło bardzo szybko. Nawet jak dogadamy KPO, kwestią krótkiego czasu będą kolejne szantaże wobec Polski, na sprawach moralności, np. tzw. małżeństw homoseksualnych, kończąc.

KE oczekiwała m.in. likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Głównym projektem w tej sprawie jest ten z Pałacu Prezydenckiego. Był on bardzo mocno krytykowany przez Solidarną Polskę. Jak idzie wypracowywanie kompromisu?

Spór o ustawę pana prezydenta jest czysto merytoryczny. Ona jest po prostu zła. W konsekwencji jej przyjęcia w pierwotnym kształcie do góry nogami zostałby wywrócony polski wymiar sprawiedliwości. Zwłaszcza przez tzw. test bezstronności sędziego. Przykład: policja zatrzymuje mordercę, gwałciła czy pedofila. Sąd ma 48 godzin na decyzję o areszcie i np. godzinę przed terminem adwokat składa wniosek o test. Nie ma szans, żeby pięciu sędziów wyższej instancji zdążyło to rozstrzygnąć, i policja musi takiego bandytę wypuścić. Zupełny absurd. Dlatego proponujemy poprawki. Co ważne, spór nie dotyczy likwidacji Izby Dyscyplinarnej. Jako posłowie SP złożyliśmy przecież w Sejmie projekt zmieniający SN, w tym znoszący izbę. Jednak co innego usprawniać model sądownictwa dyscyplinarnego, a co innego działać pod butem Brukseli, zwłaszcza w sprawach, w których nie ma kompetencji. Eurokraci stosują podwójne standardy. Co wolno Niemcom, Hiszpanom czy Francuzom, tego nie wolno nam.

Ursula von der Leyen opowiedziała się nawet za zmianą traktatów europejskich i za rezygnacją z zasady jednomyślności w głosowaniach dotyczących kluczowych kwestii w Radzie UE.

Jakich jeszcze dowodów potrzebują Polacy, żeby się przekonać, że Unia na naszych oczach próbuje zlikwidować państwa narodowe? Niemcy w umowie koalicyjnej wpisali budowę państwa europejskiego, Emmanuel Macron mówi o „suwerenności europejskiej". Ten sam Macron, któremu zależało na „wyjściu Putina z twarzą" z inwazji na Ukrainę. Federacja Europejska może powstać wyłącznie na gruzach suwerennych państw narodowych. Stąd teraz atak na prawo weta, które i tak bardzo zawężone zostało nam jako ostatni bastion twardszej

eprasa.pl 340eab0e61

Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości z Solidarnej Polski
FOT. MATERIAŁY PRASOWE MINISTERSTWA SPRAWIEDLIWOŚCI

gry z UE. Nie możemy uprawiać polityki w stylu Donalda Tuska, który tylko kiwał głową i zgadzał się na wszystko, byle tylko poklepali go po plecach. Potrzebujemy narzędzi, które pozwolą nam prowadzić politykę leżącą w interesie Polski. Ojcowie założyciele Unii przewracają się w grobie. Niestety, jest niewiele środowisk, które o tym procesie budowy państwa europejskiego mówią. Cieszę się, że redakcja „Do Rzeczy" jest chlubnym wyjątkiem.

Wróćmy do nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym. Co w takim razie z testem bezstronności sędziego?

Widzimy, co się dzieje na Wschodzie, gdzie imperium zła próbuje się odrodzić. W obecnej sytuacji geopolitycznej i gospodarczej musimy dążyć do kompromisu. Ma on dwa elementy: wiele zmian w projekcie prezydenta, a także ugruntowanie pracy i powołanie sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa, co się stało na ostatnim posiedzeniu. Porozumienie jest na wyciągnięcie ręki, test bezstronności nie pozostanie w takim kształcie jak w pierwotnym przedłożeniu ustawy, zostały ostatnie szlify legislacyjne.

Poprzecie to w Sejmie?

Jeżeli wszystkie szczegóły zostaną uzgodnione, to nie będzie przeszkód, by ten projekt zmiany w modelu dyscyplinarnym sędziów przegłosować. Jako Solidarna Polska uważamy jednak, że najbardziej optymalny projekt zmian to ten naszego autorstwa.

Trudno nie odebrać tego sporu jak ingerencji Brukseli w polski wymiar sprawiedliwości. Pytanie, czy mamy jakąkolwiek gwarancję, że za jakiś czas nie pojawią się kolejne żądania ze strony KE?

Nie mamy. UE już pokazała, że prawo ma za nic. Sprawy ukształtowania sądownictwa są wyłączną kompetencją państw członkowskich. W ostatnim czasie do przyspieszenia procesu federalizacji wykorzystano dwa momenty. Pandemię, gdy UE zyskała samodzielną możliwość brania pożyczek, oraz wojnę na Ukrainie.

Wielu komentatorów zastanawiało się, czy koalicja w ogóle przetrwa. Ryszard Terlecki mówił o odstrzeleniu nielojalnych, a Zbigniew Ziobro zasygnalizował, że Solidarna Polska bierze pod uwagę samodzielny start w wyborach. Zjednoczona Prawica jest dalej zjednoczona?

Nie chcę komentować słów prof. Terleckiego. Każdy sam oceni, czy w czasie wojny mówienie o odstrzeliwaniu przystoi komukolwiek. W PiS i Solidarnej Polsce jest przeświadczenie, że projekt Zjednoczonej Prawicy przyniósł Polsce wiele dobrego. Gdyby rządziła opozycja, to bez mrugnięcia okiem zgodziliby się na wszystko, co chciałyby Berlin, Paryż czy Bruksela. Ale oczywiście w polityce nigdy nic nie jest pewne, trzeba być przygotowanym na każdy scenariusz.

Nieporozumienia i rozbieżności miały zostać wyjaśnione na spotkaniu liderów Zjednoczonej Prawicy w ubiegłym tygodniu. Udało się?

Czasami różne sprawy przeżywane są bardziej przez media i dziennikarzy niż przez polityków. Zbigniew Ziobro jako szef Solidarnej Polski spotyka się na bieżąco z panem prezesem Jarosławem Kaczyńskim.

Do Solidarnej Polski dołączyła Anna Maria Siarkowska. Będą kolejne transfery?

Trwają rozmowy. To pokazuje atrakcyjność SP. Jesteśmy formacją wolnościową, chcemy silnej suwerennej Polski, która zadba o polskie, a nie obce interesy, jakby niektórzy chcieli, sprowadzając nas do roli landu EU i obywateli drugiej kategorii. Zgłaszają się do nas różni posłowie.

Z opozycji też?

To już kuchnia polityczna. Na pewno wielu widzi w SP przyszłość konserwatywnej prawicy. Na 10 najmłodszych posłów w klubie PiS połowa jest z naszej formacji.

Minister Ziobro poinformował, że sądy przyspieszyły, a średni czas postępowań w tym roku skrócił się o prawie dwa miesiące. To dobra wiadomość. Ale z punktu widzenia przeciętnego obywatela chyba niewiele się zmienia? Sądy cały czas pracują za długo.

Zmieniło się bardzo dużo mimo wkładania kija w szprychy przez część sędziów. Aż jedna trzecia postępowań jest realizowana on-line. Przedsiębiorcy nie muszą już stać w kolejkach, ale mają e-KRS. Powstały e-doręczenia i e-płatności. To ogromna jakościowa zmiana, która była możliwa dzięki informatyzacji, a także zmianie procedur. Wyeliminowaliśmy wiele absurdów. Tam, gdzie pozwolono nam reformować, widać owoce. Ale rzeczywiście potrzebne są dalsze zmiany, żeby efekt był jeszcze większy. Spłaszczenie struktury sądów sprawi, że sędziowie zajmą się sądzeniem, a nie administrowaniem. A jesteśmy w czołówce Europy pod względem liczby sędziów. Musimy ten potencjał wykorzystać.

Statystyka statystyką, ale cały czas można mieć także obawy o dwie kwestie – upolitycznienie części sędziów oraz o to, czy aby na pewno każdy jest równy wobec prawa.

Rzeczywiście część sędziów powinna przestać udawać, zdjąć togi i zapisać się do PO. Bywają w centrali partii Tuska, chodzą na polityczne spędy, przyjmują go owacjami na stojąco. Potrzebny jest jasny model dyscyplinarny, aby ci, którzy zajmują się polityką, byli wykluczani z zawodu. Zwłaszcza że w naszym systemie sędziowie mają niezwykle silną pozycję. W Niemczech sędziowie odpowiadają karnie także za sferę orzeczniczą, u nas nie do pomyślenia. A bywają skandaliczne orzeczenia, jak ostatnie, gdy sąd stwierdził – upraszczając – że jeśli ktoś ładnie śpiewa, to może prowadzić auto po pijaku. De facto immunitet celebrycki dla Beaty K. W jej sprawie prokuratura już złożyła apelację, każdy musi być równy wobec prawa. Wiele jeszcze pracy z porządkowaniem wymiaru sprawiedliwości przed nami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Suwerenność albo kasa

FOT. ADOBE STOCK

Rafał A. Ziemkiewicz

Rzekomi obrońcy „praworządności” w istocie podchodzą do niej bardzo elastycznie i w sposób zupełnie ich kompromitujący. Unijne elity postawiły jednak na nich, jak się wydaje, ulegając dezinformacji płynącej ze strony polskiej opozycji

Spór o Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego i, ogólnie mówiąc, „praworządność” jest tylko pretekstem. W istocie chodzi o wielki plan „pogłębionej integracji”, forsowany przez elity rządzące „starej Unii” oraz wyrosłą w niej w ostatnich dziesięcioleciach warstwę eurokratów. Czyli o stworzenie zapowiadanych już przed laty przez Martina Schulza „Stanów Zjednoczonych Europy”, w których organa wspólnoty otrzymają uprawnienia stawiające je ponad rządami krajowymi. Polskie problemy nie wynikają z jakichś szczególnych naruszeń praworządności przez polskie władze, ale z tego, że stanęliśmy na drodze realizacji tego planu. A ostatecznie określiła sytuację wojna na Ukrainie, która dla europejskich elit jest przede wszystkim okazją do, jak wzywała do tego wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, „zagłodzenia” Polski i zmuszenia jej w ten sposób do uległości.

Realizacja planu „pogłębionej integracji” wymaga wprowadzenia zasady, że decyzje Rady Europejskiej, Komisji Europejskiej i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej są nadrzędne wobec konstytucji, rządów i wyroków sądowych krajów członkowskich. Wiadomo jednak – a dowiódł tego choćby los niedoszłej „konstytucji europejskiej” – że europejskie społeczeństwa żadnego pogłębiania integracji nie chcą i w sposób legalny, przewidziany traktatami, tak daleko idącej zmiany przeprowadzić się nie da. Ponadto optujące za federalizacją elity są zdeterminowane; w ich sposobie myślenia „pogłębiona integracja” to panaceum oraz historyczna konieczność i po prostu trzeba do niej doprowadzić, nie oglądając się na prawa i wolę wyborców.

Podjęto więc próbę „pogłębiania integracji” małymi krokami, metodą faktów dokonanych. Szczególna rola przypadła tu TSUE, złożonemu, wbrew wyobrażeniom żywionym nad Wisłą, głównie z polityków nominowanych przez dominujące w krajach „starej Unii” partie „ludowe” (historyczne określenie „chadeckie” dziś jest odrzucane jako ciągnące za sobą złe skojarzenia) i socjaldemokratyczne. W kolejnych wyrokach, wydawanych przy okazji różnych drobnych sporów w krajach członkowskich (np. praw emerytalnych hiszpańskich sędziów), TSUE jednostronnie uznawał się za nadrzędny. Taką zasadę poparły Komisja Europejska i Parlament Europejski, pogodziły się też z nią sądy kilku mniejszych unijnych krajów. W krajach większych przeważnie te uroszczenia odrzucano wyrokami krajowych sądów konstytucyjnych – tak stało się m.in. w Niemczech, Hiszpanii, we Włoszech i Francji. Nastał pat, ciągnący się latami: wzięte na cel państwa nie próbują odwieść organów wspólnotowych od notorycznego przekraczania traktatowych kompetencji, ale dotyczące ich wyroki TSUE lub kary KE ignorują, Trybunał i Komisja upierają się przy nich, ale nie próbują wyegzekwować.

CIEŃ MAGDALENKI

Sytuacja w Polsce jest zupełnie inna, ponieważ tu „federaści” (jak nazywał zwolenników „pogłębionej integracji” Jean-Marie Le Pen) znaleźli chętnych partnerów do swojej gry.

Żeby tę sytuację wyjaśnić, trzeba się cofnąć aż do „dealu założycielskiego” III RP, czyli do Magdalenki. To tam ustalono, że – na wypadek, gdyby „strona społeczna” nie dotrzymała zapewnień i jednak próbowała rozliczać zbrodnie komunizmu – komunistyczne sądownictwo pozostanie wolne od jakichkolwiek zmian i stanie się państwem w państwie. Oczywiście propaganda zblatowanych przy Okrągłym Stole elit byłej opozycji i byłej władzy (która ukuła wtedy absurdalną, przez wiele lat wbijaną Polakom w głowy zasadę: „Wyroków sądów się nie komentuje”) pozostawienie PRL-owskiego sądownictwa w stanie praktycznie niezmienionym od czasów Stalina i pod władzą tego samego środowiska uzasadniała koniecznością niezależności władzy sądowniczej od polityków. W istocie było to równie „uczciwe”, jak gdyby szulerowi pozwolono, by ułożył karty, rozdając sobie asy, a innym blotki, a następnie zadeklarowano uroczyście, że „od tego momentu gramy uczciwie”.

Że ostrożność generałów była uzasadniona i przemyślana, dowodem sądowe farsy, jakimi były procesy zbrodniarzy z kopalni Wujek, gen. Kiszczaka czy, zwłaszcza, przeciągany przez kilkanaście lat proces, który ustalić miał odpowiedzialnych za zbrodnicze ostrzelanie zdążających do pra-

eprasa.pl 340eab0e61

cy stoczniowców w grudniu 1970 r., gdzie sąd dokonał niewiarygodnej autoobstrukcji, wzywając na świadków wszystkich żyjących jeszcze uczestników zamieszek ulicznych; było to grubo ponad tysiąc osób, w oczywisty sposób niemogących niczego wnieść do sprawy, których fizyczne przesłuchiwanie okazało się mordęgą niewykonalną – zwłaszcza że po latach umarł jeden z członków składu sędziowskiego i pozostali zdecydowali, by cały proces zacząć od nowa (w końcu sprawa została umorzona, gdy „sądzony” gen. Jaruzelski umarł).

W chwili, gdy PiS podjął próbę rozprawienia się z tym magdalenkowym dziedzictwem, prawnicze państwo w państwie stało się państwem separatystycznym. Mówiąc obrazowo: sędziowski establishment stał się takim polskim Ługańskiem, który samozwańczo ogłosił, że nie podlega polskim władzom i prawu, i do ochrony swych interesów przywołał siłę zewnętrzną – Unię. Jedyna różnica, że w tym wypadku mamy do czynienia nie z separatyzmem terytorialnym, a korporacyjnym. Według liderów prawniczego buntu sędziowie w Polsce nie są sędziami „polskimi”, ale „europejskimi”. Dlatego wiążące są dla nich orzeczenia TSUE (choć sami traktują je wybiórczo, o czym za chwilę), nie polskie prawo, i nie uznają oni polskiego Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, odkąd stracili nad nimi kontrolę.

O CO CHODZI SĘDZIOM

O co walczą zbuntowani sędziowie? Reformy PiS, nie wchodząc w szczegóły, naruszyły dwa filary sędziowskiego sobiepaństwa: to, że tylko sami sędziowie mają prawo decydować, kto wejdzie do zawodu, i to, że za wszelkiego rodzaju uchybienia czy przestępstwa odpowiadają oni tylko przed samymi sobą. Zagrożenia dla niezawisłości, wynikające z nowego sposobu wyboru Krajowej Rady Sądownictwa, która rekomenduje kandydatów do stanu sędziowskiego, są zmyślone. W wielu krajach zachodnich sędziowie są nominowani przed polityków i za wystarczającą gwarancję ich niezależności uważa się niemożność odwołania raz powołanego przed końcem kadencji (akurat polska konstytucja, ta napisana przez Aleksandra Kwaśniewskiego i Tadeusza Mazowieckiego, możliwość taką daje i przez 20 lat nie budziło to, co więcej – nadal nie budzi, żadnej czujności ani środowiska sędziowskiego, ani przyzywanej przez nie w sukurs eurokracji).

Na apel prawników-separatystów Unia Europejska odpowiedziała nie do końca zgodnie z ich oczekiwaniami, popierając ich w jednej tylko sprawie: rzekomo niegwarantującej niezależności Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Tymczasem równie, a może nawet bardziej istotne jest dla prawniczego rokoszu wypchnięcie z zawodu sędziów, których ślubowania przyjął polski prezydent po roku 2015, pod pretekstem, jakoby „wadliwy sposób wyboru KRS” pozbawiał ich prawa do orzekania; w propagandzie rokoszu są oni nazywani „neosędziami” i większość wyroków wydanych przez kwestionowaną Izbę Dyscyplinarną to sprawy sędziów-buntowników, którzy odmówili orzekania z „neosędziami” bądź zakwestionowali wydane przez nich wyroki jako wydane przez osobę niebędącą sędzią.

Jest dalsze grillowanie i „zagładzanie” Polski ze strony wspierającej „europejskich sędziów” eurokracji

Takie zachowanie w propagandzie sędziowskiego Ługańska nazywane jest „wykonywaniem wyroku TSUE”. Tymczasem akurat w tej właśnie kwestii TSUE uznał polską konstytucję oraz orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego, który – nawiasem mówiąc – rozpatrywał tę sprawę przed rokiem 2015 (podobnie, jak przed 2015 r. trzykrotnie orzekł, że na terenie Polski Konstytucja RP stoi ponad prawem unijnym, z wyjątkiem dziedzin, gdzie konkretnie zrzekliśmy się suwerenności na rzecz Unii w traktatach – sądownictwo do nich nie należy): sędzia jest sędzią, ponieważ jego ślubowanie przyjął prezydent RP, i status KRS, która tylko rekomenduje mu kandydatów, nawet gdyby były powody go kwestionować, nie może być powodem kwestionowania statusu sędziego.

Rzekomi obrońcy „praworządności” w istocie więc podchodzą do niej bardzo elastycznie i w sposób zupełnie ich kompromitujący. Unijne elity postawiły jednak na nich, jak się wydaje, ulegając dezinformacji płynącej ze strony polskiej opozycji. Podczas procedowania kolejnych antypolskich rezolucji w Parlamencie Europejskim wielokrotnie dało się słyszeć, że „80 proc. polskiego społeczeństwa popiera opozycję”. Tę oczywistą manipulację polityków PO i Lewicy (jako poparcie dla opozycji przedstawiają oni protektorom odsetek Polaków deklarujących poparcie dla członkostwa w UE) federaści ewidentnie wzięli za dobrą monetę, spodziewając się, że postraszenie Polaków utratą pieniędzy pozwoli szybko i łatwo osadzić na polskim tronie Donalda Tuska, tak jak kiedyś udało się to z Włochami i Mariem Montim. Tu też daje się zauważyć podobieństwo przyłączania do „Stanów Zjednoczonych Europy” sędziowskiego państewka w Polsce do anektowania przez Rosję samozwańczych republik na Ukrainie.

RUSZTY NIE STYGNĄ

Jest wielką zagadką, czy niedawne informacje o mającym rzekomo wreszcie nastąpić „odblokowaniu” funduszy dla Polski są dowodem na to, że osłabła wiara eurokratów w możliwość realnego odebrania władzy PiS przez chronicznie nieudolną opozycję, czy też to PiS się załamał, kiedy się okazało, że Unia bynajmniej nie zamierza uznać naszych zasług we wspieraniu Ukrainy, przeciwnie, spadające na nas koszty wojny uznała za niepowtarzalną okazję do „zagłodzenia”.

Powiązanie kwestii funduszy, także funduszy z KPO, z jakimikolwiek „kamieniami milowymi”, w rodzaju likwidacji Izby Dyscyplinarnej, nie ma żadnych podstaw prawnych. Jedyną jego podstawą jest zgoda na to, podpisana swego czasu przez Mateusza Morawieckiego. Jego rząd wykazał się wtedy karygodną naiwnością, gdy nie mając pewności, czy pieniądze dostanie, już uruchomił wielką kampanię obietnic, na co je wyda. Co ciekawe, głupota tego rządu (nie sposób tego inaczej nazwać) okazała się nieuleczalna, bo sytuacja właśnie się powtórzyła. Najpierw o odblokowaniu funduszy ogłosił triumfalnie rzecznik Müller, potem od razu sypnięto obietnicami, na co one pójdą, a potem przewodnicząca von der Leyen dała nam fangę w nos, zapowiadając przykrym w tonie listem, że PiS żadnych pieniędzy nie dostanie dopóty, dopóki nie udowodni (!), że naprawdę wypełnił jej żądania.

Wygląda więc na to, że żadnego przełomu nie ma. Jest dalsze grillowanie i „zagładzanie” Polski ze strony wspierającej „europejskich sędziów” eurokracji, a ze strony rządzących Polską konsekwentne trzymanie się zasady, by na użytek wyborców głośno i buńczucznie zapowiadać, że obronią polską suwerenność, a potem po cichu kapitulować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Lekarze jako ofiary pandemii

Tomasz Rowiński

Dlaczego kontynuowane są procedury dyscyplinarne przeciwko lekarzom krytykującym działania rządu w sprawie pandemii?

Nam, zwykłym zjadaczom chleba, którzy głęboko do kieszeni schowali już maseczki, mogłoby się wydawać, że służba zdrowia naszego państwa – także mentalnie – wyszła z okresu pandemii. Wiele wskazuje jednak, że tak nie jest, i to pomimo zakończenia najbardziej dotkliwych składników reżimu sanitarnego. Lekarze, którzy z różnych względów krytycznie odnosili się do sposobu działania rządu w czasie pandemii COVID-19, w dalszym ciągu spotykają się z nieprzyjemnościami. Niedawno na łamach „Do Rzeczy" (nr 20/2022) pisali o tym Jan Pospieszalski i Jerzy Karwelis.

W maju 2021 r., czyli niemal dokładnie rok temu, o próbach dyscyplinowania aktywnych w debacie publicznej lekarzy pisał choćby branżowy portal Polityka Zdrowotna. Przywoływano wtedy bardzo mocny głos wewnątrz środowiska krytykujący działania samorządu lekarskiego. „To totalitaryzm. To zamykanie ust lekarzom, którzy ośmielają się mieć inne zdanie na temat metod zwalczania epidemii czy szczepionek przeciwko COVID-19" – mówił chcący zachować anonimowość medyk.

SANEPID W NATARCIU

Działania, o które tu chodzi, dotykały lekarzy o rozmaitym stosunku do polityki pandemicznej polskiego rządu. Toczyło się choćby postępowanie w sprawie wypowiedzi dr. Pawła Grzesiowskiego, eksperta Naczelnej Rady Lekarskiej ds. COVID-19, który stanowczo krytykował działania sanepidu jako opieszałe. Wśród zarzutów wobec Grzesiowskiego znalazło się m.in. „promowanie niesprawdzonych rozwiązań medycznych", „wielokrotne wprowadzenie opinii publicznej w błąd niepotwierdzonymi i nieprawdziwymi informacjami na temat epidemii COVID-19" czy wreszcie – może najważniejsze w tym wszystkim, o czym napiszę na końcu – „oczernianie i deprecjonowanie instytucji państwowych, w tym Państwowej Inspekcji Sanitarnej".

Na sytuację tę reagował Rzecznik Praw Obywatelskich, uznając wszczęcie procedury dyscyplinarnej przeciw Grzesiowskiemu za bezprecedensowe uderzenie w prawo obywateli do oceny działania władz publicznych. „Swoboda wypowiedzi i prawo do krytyki władzy są nieodzownym elementem funkcjonowania demokratycznego społeczeństwa" – pisał Adam Bodnar do zastępcy głównego inspektora sanitarnego Krzysztofa Saczki. I dodawał: „Biorąc to pod uwagę, z niedowierzaniem przyjąłem informację o wystosowanym przez Pana wniosku o pozbawienie prawa wykonywania zawodu dr. Pawła Grzesiowskiego, eksperta Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19. Jeżeli odpowiadają prawdzie doniesienia medialne, że powodem wspomnianego wystąpienia są krytyczne oceny dr. Grzesiowskiego dotyczące sposobów i metod walki z pandemią, to wystąpienie to należałoby ocenić jako bezprecedensowe uderzenie w prawo obywateli do oceny działania władz publicznych".

Krzysztof Saczka chciał doprowadzić do odebrania Grzesiowskiemu prawa wykonywania zawodu. To najwyższa kara profesjonalna, jaka może spotkać lekarza, stosowana tylko za najpoważniejsze przewinienia. A przecież samorząd lekarski może stopniować kary i jest aż sześć stopni poprzedzających odebranie uprawnień. Są to upomnienie, nagana, kara pieniężna, zakaz pełnienia funkcji kierowniczych w jednostkach organizacyjnych ochrony zdrowia na okres od roku do pięciu lat, ograniczenie zakresu czynności w wykonywaniu zawodu lekarza na okres od sześciu miesięcy do dwóch lat, zawieszenie prawa wykonywania zawodu na okres od roku do pięciu lat.

CIĄGANI PO INSTYTUCJACH

Oczywiście szykany spotkały także – a może nawet głównie – drugą stronę sporu, która kwestionowała sensowność i skuteczność lockdownu, system testowania i szczepienia. Tu głośnym przykładem mógł być przypadek dr. Pawła Basiukiewicza, ale trzeba powiedzieć, że lekarzy do dziś ciąganych po różnych instancjach samorządu lekarskiego może być nawet kilkuset. Większość z nich to sygnatariusze „Listu otwartego polskich lekarzy, naukowców i pracowników służby zdrowia do polskich władz oraz mediów" z jesieni roku 2020.

O tym, że sprawa nie ma charakteru niszowego, ale wywołała rzeczywiste oburzenie w środowisku lekarskim, świadczył głos Krzysztofa Bukiela, przewodniczącego Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy. „Za daleko to wszystko poszło. Samorząd lekarski postępuje zbyt pochopnie, wytaczając postępowania lekarzom. Tym bardziej że w przypadku epidemii koronawirusa jest nadal wiele niewiadomych, a badania naukowe w tym zakresie się zmieniają. Bo tu nie chodziło o to, że ktoś podważał zasadność szczepionek w ogóle, tylko zastanawiał się np. nad skutecznością

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. ADOBE STOCK

szczepienia ozdrowieńców" – mówił Bukiel.

Niestety, sprawy nie zakończyły się razem z wycofywaniem przez rząd reżimu pandemicznego. W styczniu tego roku „Rynek Medyczny" informował o kolejnych skargach, które zaczęły trafiać do Rzecznika Praw Obywatelskich. Dotyczyły one nieprawidłowości w procesach wyjaśniających wobec lekarzy, którzy podpisali wspomniany już „List otwarty…", a także inne apele o podobnym charakterze (z 30 listopada 2020 r., 14 grudnia 2020 r. i 15 lutego 2021 r.). Z treścią tych listów można zapoznać się na stronie: apelnaukowcowilekarzy.pl.

Chociaż RPO pisał wcześniej w liście do Naczelnego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej, że nie można utożsamiać wolności słowa z „prawem do swobodnego głoszenia przez lekarzy, czyli osoby wykonujące zawód publiczny, poglądów niezgodnych z aktualną wiedzą naukową albo promujących postawy antyzdrowotne", to jednak dodał: „Obwinieni lekarze, sygnatariusze tych listów, piszą do RPO, że stawiane im zarzuty są zbyt ogólne. Nie wskazuje się w nich precyzyjnie, które wypowiedzi miały propagować postawy antyzdrowotne bądź były sprzeczne z aktualną wiedzą medyczną. W konsekwencji, z uwagi na zbyt ogólny sposób formułowania zarzutów, lekarzy pozbawia się możliwości ustosunkowania się do nich i złożenia wyjaśnień".

Dodatkowo, jak pisał medyczny portal informacyjny Temi.pl, lekarze byli wzywani na przesłuchania z pominięciem instancji okręgowych rzeczników odpowiedzialności zawodowej lekarzy. Uniemożliwiano im również odbywanie tych przesłuchań on-line, a co za tym idzie – często bezzasadnie zmuszano do kilkusetkilometrowych podróży do Warszawy w sytuacji, kiedy nie występowała potrzeba bezpośredniego kontaktu z przesłuchującymi. Wedle informacji podanej przez Jana Pospieszalskiego utrudniano obwinianym lekarzom dostęp do akt sprawy, uniemożliwiono udział w przesłuchaniach pełnomocników czy skandalicznie ograniczano czas przeznaczony na zapoznanie się z liczącymi setki, a nawet tysiące stron aktami.

Trzeba zapytać, jakim prawem instytucje samorządu lekarskiego posługiwały się takimi formami restrykcji. W roli dyscyplinującego występował od miesięcy od niedawna były naczelny rzecznik odpowiedzialności zawodowej Grzegorz Wrona, który miał być głównym przesłuchującym i – jak można usłyszeć – także zainicjował centralizację przesłuchań. Osoby bliskie sprawie zadają pytania o kompetencje Grzegorza Wrony do oceniania, czy dany lekarz podejmował „promowanie nieprawdziwych rozwiązań, co do których brak jest naukowego potwierdzenia ich skuteczności", skoro sam jest osobą bez dorobku naukowego.

DLACZEGO TO CIĄGNĄ?

Najważniejszą kwestią pozostaje jednak to, dlaczego sprawy te są kontynuowane w sytuacji, kiedy Ministerstwo Zdrowia faktycznie zgodziło się z przynajmniej niektórymi krytykami, przyznając tym samym, że debata publiczna o pandemii COVID-19 była jednak sensowna. Jaskrawym przykładem jest zniesienie od kwietnia obowiązku testowania wszystkich pacjentów trafiających do szpitali. Obowiązek ten powodował, że nawet osoby w stanie zagrażającym życiu mogły zamiast na specjalistyczne oddziały trafiać do oddziałów wydzielonych dla zarażonych COVID-19. Musiało się to przekładać na wzrost liczby nadmiarowych zgonów. Wielu lekarzy, którzy dziś są nękani, mówiło o tym od dawna.

W tej sprawie wypowiedział się także Bartłomiej Chmielowiec, rzecznik praw pacjenta: „Podstawowym warunkiem właściwej realizacji prawa pacjentów do świadczeń zdrowotnych jest zapewnienie odpowiedniej dostępności tych świadczeń, w tym ograniczanie barier, które mogłyby stać temu na przeszkodzie, a które nie są niezbędne. W aktualnie obowiązującym stanie prawnym nie można zatem uzależniać udzielenia świadczenia zdrowotnego, w tym przyjęcia do szpitala, od przedstawienia negatywnego wyniku testu diagnostycznego w kierunku SARS-CoV-2".

Trudno zrozumieć dlaczego procedury dyscyplinarne przeciwko lekarzom są kontynuowane? Na jakiej podstawie formułuje się zarzuty o działaniach antyzdrowotnych? Rząd, owszem, ma prawo do swojej polityki, ale lekarze, opierając się – siłą rzeczy – na cząstkowych jeszcze danych naukowych, mają prawo tę politykę krytykować, wskazując na jej słabości. Oczywiście perspektywy tej krytyki są rozmaite, a sami lekarze nie zgadzają się między sobą co do wniosków. Na tym jednak polega debata publiczna, która jest istotnym elementem systemu politycznego. Słusznie krytykuje się podejścia czysto merytokratyczne, ponieważ polityka to coś więcej niż rządy specjalistów, których spojrzenie bywa jednostronne. Równocześnie jednak dyskusje ekspertów, publicystów i zwykłych obywateli wytwarzają merytoryczną masę, która sprawia, że decyzje polityków – jeśli są całkowicie arbitralne – mogą być kompromitowane. Te same debaty dają jednak rządzącym szansę ucieczki przed arbitralnością, która jest znamieniem złej polityki.

Kontynuowanie działań przeciwko lekarzom zachowującym niezależność od władz wygląda na akcję o charakterze politycznym

Kontynuowanie działań przeciwko lekarzom zachowującym intelektualną niezależność od władzy wygląda na akcję o charakterze politycznym i pacyfikacyjnym. Niezależnie od tego, jakie poglądy mają obwiniani lekarze – a mają różne, niezależnie od tego, jakie sami mamy przekonania, dla dobra polskiego życia publicznego medykom, na których wywierana jest presja, należy się solidarność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Co ukrywają polskie muzea

Agnieszka Niewińska

Odzyskaniu zaginionego dzieła sztuki z zagranicy towarzyszy rozgłos. Ciszej jest o tych, które w czasie wojny zostały zagrabione prywatnym właścicielom i znajdują się w polskich muzeach. Spadkobierca wielkopolskiej rodziny po swoją własność na Zamek Królewski musiał posłać komornika

Sierpniowy poniedziałek 2021 r. Warszawski komornik wraz z pełnomocnikiem spadkobiercy ostatniego ordynata na Czerniejewie-Radomicach oraz Łabiszynie przemierzają warszawski plac Zamkowy. Kierują się na dziedziniec Zamku Królewskiego, a z dziedzińca prosto do zamkowej administracji.

Idą z prawomocnym wyrokiem w ręku opatrzonym klauzulą wykonalności i z walizką przystosowaną do transportu dzieł sztuki. Bo o dzieło tu chodzi, a konkretnie – o portret Bolesława Chrobrego pędzla Jana Bogumiła Plerscha. Sąd Rejonowy w Warszawie nakazał zwrot obrazu jego prawowitemu właścicielowi – Leonowi Skórzewskiemu, synowi hrabiego Zygmunta Skórzewskiego, którego rodzina do wybuchu drugiej wojny światowej mieszkała w pałacach w Czerniejewie i Lubostroniu. Do Warszawy, a potem na Zamek obrazy Plerscha trafiły z rozgrabionych majątków Skórzewskich jako „dar ludu pracującego" dla tych, którzy podnosili stolicę z gruzów. Tyle że lud pracujący w darze dał coś, co do niego nie należało. Królewskim portretom dano numery inwentarzowe i przestrzeń w magazynie.

Komornik, mimo wyjątkowości miejsca, czyni swoją powinność. Ustala, że Chrobry jest na Zamku Królewskim. Poucza, że niewydanie obrazu będzie oznaczało dla dyrektora grzywnę. Król Bolesław wraca do prawowitego właściciela, ale to zaledwie wygrana bitwa, nie wojna. Należące do tego właściciela cztery inne dzieła z tej kolekcji nadal tkwią w zamkowych magazynach. Nie wspomi-

Dopiero w efekcie komorniczej egzekucji Zamek Królewski wydał właścicielowi portret Bolesława Chrobrego FOT. AGNIESZKA NIEWIŃSKA

eprasa.pl 340eab0e61

nając o setkach innych znajdujących się w polskich placówkach muzealnych.

20 TYS. WOLUMINÓW

Portret Bolesława Chrobrego wraz z innymi królewskimi portretami pędzla Plerscha przed wojną wisiał w pałacu rodziny Skórzewskich w Lubostroniu. Rezydowała tam Maria z Radziwiłłów Skórzewska, matka hrabiego Zygmunta Skórzewskiego i babka zmarłego w kwietniu tego roku w wieku 88 lat Leona Skórzewskiego, który zaangażował się w restytucję rodzinnych dóbr. – Mój ojciec, Leon, jako mały chłopiec zwykł odwiedzać w Lubostroniu swoją babkę. Z tamtych wizyt pozostało mu wspomnienie imponującej jadalni, w której wisiało wiele obrazów, w tym portrety królów Polski. W pamięć zapadł mu szczególnie obraz przedstawiający jego przodków Arnolda Skórzewskiego i jego brata Rajmunda Skórzewskiego. Wspominał, że jadalnię zdobiło ok. 40 dzieł sztuki – opowiada Thomas Skórzewski, syn Leona.

Będąc dzieckiem, Leon Skórzewski do Lubostronia (teren dzisiejszego województwa kujawsko-pomorskiego) przyjeżdżał – wraz z ojcem Zygmuntem, matką Leontyną z Radziwiłłów i dwiema starszymi siostrami – z rodowego pałacu w Czerniejewie (Wielkopolska). Zygmunt, jako najstarszy syn, odziedziczył ordynację czerniejewsko-radomicką po zmarłym tragicznie na polowaniu ojcu, ale w spadku po dalekim krewnym przypadła mu także ordynacja łabiszyńsko-lubostrońska. W efekcie w dwudziestoleciu międzywojennym był właścicielem największego majątku ziemskiego w całym województwie poznańskim (liczył on przeszło 18 tys. ha).

W obu pałacach Skórzewscy gromadzili dzieła sztuki i książki. Czerniejewska biblioteka w przededniu drugiej wojny światowej liczyła 20 tys. woluminów. Wszystko przepadło wraz z wybuchem wojny. Zygmunt Skórzewski, rotmistrz Wojska Polskiego, zasłużony podczas powstania wielkopolskiego, jeszcze w latach 20. przeszedł do rezerwy, ale chciał stanąć do walki w 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich. Z racji wieku nie wcielono go do wojska. We wrześniu 1939 r. z żoną Leontyną ruszyli na wschód, do wołyńskiej Ołyki, gdzie u krewnych przebywały ich dzieci. Dalej do Lwowa, w góry niedaleko Kołymy, pieszo do Rumunii, a stamtąd do Francji, gdzie hrabia zaangażował się w działania polskiego rządu i armii poza granicami kraju.

Majątki Skórzewskich zostały zajęte przez Niemców. Do Czerniejewa na polowania zjeżdżali oficjele III Rzeszy z Goebbelsem, Göringiem czy Himmlerem włącznie. Maria Skórzewska została wysiedlona z Lubostronia do Generalnej Guberni. Po wojnie władza komunistyczna upaństwowiła majątki. Rodzinie odebrano pałace, ziemie. Wraz z nimi dzieła sztuki i księgozbiór zbierane przez pokolenia. Po 33 latach od demokratycznego przełomu 1989 r. nieliczne rodzinne dobra udało się odzyskać.

Majątki Skórzewskich po wybuchu wojny zostały zajęte przez Niemców. A po wojnie komunistyczna władza je upaństwowiła

Thomas Skórzewski przyznaje, że po latach starań o rodzinny majątek jego ojciec odczuwał złość, bezsilność, rozczarowanie niepodległą Polską. – Rodzina prosi jedynie o to, co do niej należy. Hrabia Zygmunt Skórzewski i jego żona księżniczka Leontyna bardzo wiele poświęcili dla Polski i chętnie się na to decydowali – mówi.

A wojenne perypetie Skórzewskich warte są odkrycia. W Paryżu hrabia Skórzewski zgłosił się do oddziałów Wojska Polskiego i wykorzystując znajomości oraz koneksje rodzinne, prowadził działalność wywiadowczą. Najpierw w Madrycie, gdzie udało mu się zorganizować pomoc dla polskich żołnierzy opuszczających kapitulującą Francję, potem we Włoszech, dokąd został wysłany przez aliantów jako szef komórki szpiegowskiej MI1 w Rzymie. Na podstawie zdobytych przez niego informacji Anglikom udało się zbombardować włoską flotę w Trencie i zyskać przewagę na Morzu Śródziemnym. Skórzewski mierzył się także z trudniejszym zadaniem. Chciał skłonić Włochy do podpisania traktatu pokojowego z aliantami. Jego wysiłki udaremniło aresztowanie małżeństwa we wrześniu 1942 r. Tak opowiadał o tych wydarzeniach Leon Skórzewski w książce „Hrabiego Skórzewskiego poszukiwania miejsca na ziemi" autorstwa Ryszarda Nowickiego: „Maryś Sapieha z domu Zdziechowska, krewna, prowadziła we Francji działalność konspiracyjną. Nie tylko Włosi o tym wiedzieli, ale także i gestapowcy. Ona przyjechała do Rzymu jako kurier do kogoś. Usłyszała, że moi rodzice są w Rzymie. Więc poszła do hotelu złożyć im wizytę. Po czym gestapo zmusiło Włochów do aresztowania rodziców. Mój ojciec i moja matka zawsze mówili, że gdyby ta durna babcia nie przyszła nas zobaczyć, może wojna byłaby wcześniej skończona między Włochami a aliantami".

Skórzewscy w więzieniu spędzili 32 miesiące. Najpierw w Rzymie, potem w Berlinie. Opiekę nad ich dziećmi przejęły siostry zmartwychwstanki. Wakacje często spędzali u polskiego ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej – Kazimierza Papée. Wówczas niespełna 10-letni Leon pełnił funkcję kuriera. Siostry zmartwychwstanki wszywały mu w ubranie kartki z notatkami i wysyłały do pałacu papieskiego. Dzięki temu do papieża Piusa XII docierały informacje od ambasadora RP na temat sytuacji w Polsce. – Ojciec nie miał nawet pojęcia o wiadomościach, które za jego sprawą krążyły między ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej a papieżem – podkreśla Thomas Skórzewski.

W Niemczech małżonków miał czekać pokazowy proces. Ostatecznie do niego nie doszło. Zaginęły dokumenty w ich sprawie. Leontyna i Zygmunt w rozmowach z dziećmi wspominali, że zniszczyła je aliancka bomba, która spadła na budynek. Niemcy uwolnili Skórzewskich tuż przed zakończeniem drugiej wojny światowej. Dzięki interwencji krewnego ze szwedzkiego dworu królewskiego wyjechali z Niemiec samochodem podstawionym przez Szwedzki Czerwony Krzyż. Ze względów politycznych nie wrócili do komunistycznej Polski. W lipcu 1945 r. dotarli do Londynu, stamtąd wyruszyli po dzieci.

Choć ich działania na rzecz polskiej niepodległości docenił sam prezydent Władysław Raczkiewicz (stosowne dokumenty są w rodzinnych zbiorach), to po wojnie Skórzewscy byli zrujnowani. Z przedwojennego majątku nic nie zostało. Pieniądze, które Zygmunt miał na zagranicznych kontach, przekazał polskiej armii za granicą. Nie dostał nawet zaległego żołdu. Dzięki temu, że jego bratu udało się wyjechać z Polski z biżuterią po matce, rodzina mogła kupić gospodarstwo na Korsyce, gdzie

eprasa.pl 340eab0e61

zajęła się uprawą oliwek. Zygmunt nie doczekał powrotu do kraju. Zmarł na Korsyce w 1974 r.

Z upadkiem komunizmu Skórzewscy zaczęli myśleć o powrocie do Polski, do rodzinnych majątków. Pierwsze zapytania dotyczące Czerniejewa i Lubostronia do polskich władz słała Leontyna Skórzewska. Zmarła jednak na Korsyce w 1995 r.

OD ANNASZA DO KAJFASZA

Wróćmy jednak do współczesności – na Zamek Królewski. Dlaczego musiało dojść do egzekucji komorniczej? Zapytanie do Zamku Królewskiego skierowaliśmy w ubiegłym roku kilkakrotnie. Do dziś nie dostaliśmy odpowiedzi. W nieoficjalnych rozmowach pracownicy wskazywali, że wina leży po stronie wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Źródłem kłopotów jest jednak decyzja ministra kultury. Choć Zamek Królewski wie, że portrety pędzla Plerscha, które ma w magazynie, pochodzą z pałacu Skórzewskich, to minister nie zgodził się na zwrot na mocy ugody z rodziną. W odpowiedzi, której udzieliła nam rzeczniczka resortu Anna Bocian, czytamy, że „kwestie własności dóbr kultury są rozstrzygane w Polsce na drodze sądowej". Tyle że po takim wyroku dzieło musi zostać skreślone z listy muzealiów, na co potrzebna jest zgoda ministra. W przypadku portretu Chrobrego po wyroku wyraził on zgodę na skreślenie dzieła z inwentarza muzealiów, ale pod warunkiem wpisania go do rejestru zabytków.

– W Zamku Królewskim słyszeliśmy, że minister kultury musi wykreślić obraz z inwentarza. W ministerstwie – że najpierw na swoją listę ma go wpisać wojewódzki konserwator zabytków, a u konserwatora, że nie ma podstaw do takiego wpisu, bo obraz nie jest zagrożony zniszczeniem lub wywozem z kraju – opowiada Paweł Florkiewicz, pełnomocnik Leona Skórzewskiego. – Za wszelką cenę chcieliśmy uniknąć egzekucji komorniczej. Gdy to okazało się niemożliwe, nie bez powodu pojawiliśmy się w Zamku Królewskim w poniedziałek, kiedy jest on zamknięty dla zwiedzających. Nie widzieliśmy innej drogi. Sytuacja była kuriozalna. Od uprawomocnienia się wyroku o zwrocie obrazu czekaliśmy aż 11 miesięcy – podkreśla Paweł Florkiewicz.

O pozostałe obrazy z kolekcji trzeba toczyć analogiczny spór sądowy. Choć trudno spodziewać się innego rezultatu, to prawnicy Zamku Królewskiego wnioskują o dowody z zeznań kolejnych świadków. Chcą odszukania przewodnika, który po pałacu w Czerniejewie oprowadził dziennikarza hobbystę. Ten napisał o Skórzewskich w sieci i dzięki niemu rodzina dowiedziała się, gdzie znajdują się zrabowane z Lubostronia portrety pędzla Plerscha. A chodzi o dzieła warte niespełna 30 tys. zł (za taką kwotę inny obraz z tej kolekcji wystawiła DESA) i których zamek nie eksponuje.

Pałac w Lubostroniu, w którym przed drugą wojną światową mieszkali przodkowie Leona Skórzewskiego FOT. ADOBE STOCK

Ta sama droga czeka Skórzewskich, jeśli zechcą odzyskać rodzinne dzieła znajdujące się w Muzeum Narodowym w Poznaniu (MNP). A jest ich aż 139. Część z nich trafiła tam w latach 1941–1943 przywieziona przez niemieckich okupantów. Reszta kolekcji pochodząca z pałacu w Czerniejewie do MNP trafiła w 1950 r., kiedy to został on przejęty na podstawie dekretu PKWN o reformie rolnej, zresztą z naruszeniem PRL-owskiego prawa, bo reforma rolna nie obejmowała pałaców i parków, w których nie prowadzono działalności rolniczej.

KORZYSTNA UGODA NIE PRZEJDZIE

Leon Skórzewski jeszcze za życia wystosował roszczenia do dzieł znajdujących się w MNP. – Przeanalizowaliśmy listę dzieł sztuki, co do której pan Skórzewski zgłasza roszczenia. Mniej niż połowa z nich to cenne dla naszej kolekcji eksponaty, które chcielibyśmy zachować, nabywając je od spadkobiercy. Otrzymaliśmy propozycję ugody. Moglibyśmy nabyć interesujące nas dzieła na korzystnych warunkach finansowych, poniżej ich wartości rynkowej – mówi dyrektor MNP Tomasz Łęcki.

Tyle że sposób załatwienia sprawy nie zależy od dyrektora. – Dzieł sztuki nie możemy w prosty sposób wydać z muzeum. Musimy wystąpić do ministra kultury i dziedzictwa narodowego o wykreślenie ich z inwentarza. To księga, w której widnieją wszystkie obiekty będące w dyspozycji muzeum niezależnie od tego, jak się w placówce znalazły. Jeżeli coś jest wpisane do inwentarza, to dyrektor nie może własną decyzją skreślić z inwentarza, a następnie dokonać zwrotu. Czeka na stanowisko ministra w tej sprawie. Ten z kolei uzyskuje opinie w ministerstwie, m.in. ze strony organu doradczego, jakim jest rada ds. muzeów, choć nie jest nimi związany. Na tej podstawie podejmuje decyzję o zgodzie na wykreślenie dzieła z inwentarza i zwrocie roszczącym lub jej braku – tłumaczy dyrektor Łęcki.

Jak mówi, wystąpił do MKiDN o zgodę na polubowne rozwiązanie sprawy roszczeń Leona Skórzewskiego. Spotkał się z odmową. Spadkobiercy pozostała ścieżka sądowa. Dopiero po uprawomocnieniu się wyroku sprawa wróci do ministra, który będzie już musiał podjąć decyzję w sprawie skreślenia dzieł z inwentarza, by muzeum mogło je zwrócić.

Pełnomocnik MNP mec. Beata Kosicka wyjaśnia, że w tej chwili większość roszczeń rozstrzygana jest przed sądem. – Wcześniej minister wyrażał zgodę na wykreślanie dzieł z inwentarza bez procesów sądowych – zaznacza mec. Kosicka. Dzięki takiemu rozwiązaniu MNP udało się np. zatrzymać płótno Józefa Chełmońskiego „Pogoda", które w 2007 r. placówka odkupiła od spadkobierców. Zmiana podejścia resortu kultury do spraw roszczeń nastąpiła po 2012 r. – Sąd Najwyższy rozpatrzył wówczas kasację pewnej rodziny, uznając, że jej roszczenia się przedawniły. W efekcie tego orzeczenia ministerstwo usztywniło swoje stanowisko. Z ostrożności nie godzi się na pozasądowe rozstrzygnięcia – tłumaczy mec. Kosicka.

eprasa.pl 340eab0e61

W ciągu ostatnich 10 lat MNP zajmowało się kilkunastoma sprawami restytucji. Spadkobiercy zgłaszają roszczenia nie tylko co do dzieł sztuki, lecz także nieruchomości. Od 1989 r. toczyła się sprawa restytucji zamku w Gołuchowie, gdzie MNP ma swój oddział. O zwrot zabiegała rodzina Czartoryskich. W 2016 r. Muzeum Narodowe w Poznaniu zakupiło zamek z przylegającymi do niego budynkami i parkiem za 20 mln zł, ze środków pochodzących z dotacji ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Po kilkunastu latach finał znalazły starania rodziny Chełkowskich o pałac w Śmiełowie koło Jarocina, gdzie działa Muzeum im. Adama Mickiewicza. Muzeum po negocjacjach ze spadkobiercami zakupiło obiekt w 2021 r., także z dotacji MKiDN. Wciąż w toku jest sprawa pałacu w Rogalinie, w którym mieści się oddział MNP.

Tomasz Łęcki podkreśla, że w sprawach restytucji dóbr dyrekcja muzeum jest w bardzo niewygodnej sytuacji. – Nie czujemy się ideowymi potomkami Bieruta. Wielu spośród pracowników muzeum cechuje udokumentowana postawa antykomunistyczna. Rozumiemy roszczenia właścicieli wyzutych ze swojej własności. Odczuwamy dyskomfort w związku z tym, że w obecnym porządku prawnym nie mamy możliwości zadośćuczynienia. Z drugiej strony, sprawując stanowiska publiczne, zdajemy sobie sprawę, że w przypadku jakiegokolwiek błędu nasze przekonania dla organów kontroli nie będą miały znaczenia. Liczyć będzie się chłodna ocena prawidłowości prawnej. Stąd wynika daleko posunięta ostrożność Ministerstwa Kultury i czekanie na rozstrzygnięcie sądów w tej sprawie – podkreśla dyrektor Łęcki.

Mecenas Kosicka zwraca uwagę na różnice w orzeczeniach sądów w sprawach restytucji dzieł sztuki. – W tej materii mamy chaos prawny. Nigdy nie została przyjęta ustawa reprywatyzacyjna regulująca także kwestie zagrabionych dzieł sztuki. W efekcie wszystko jest w rękach instytucji, rodzin i sądów – tłumaczy.

ARGUMENT Z PAŃSZCZYZNY

Maciej Radziwiłł, działacz społeczny, założyciel Fundacji Trzy Trąby, a także członek zarządu Fundacji Książąt Czartoryskich, który finalizował sprzedaż kolekcji Czartoryskich, podkreśla, że od przełomu 1989 r. nikt nie podjął żadnych starań, by usprawnić proces zwrotów dzieł sztuki czy zespołów pałacowo-parkowych ich dawnym właścicielom. – Efekt jest taki, że w zbiorach muzeów jest wiele dzieł nieeksponowanych, których nie można sprzedać i na których konserwację brakuje pieniędzy. Pałace i dwory, o które zabiegają spadkobiercy, są doprowadzane do ruiny, bo w czasie trwających nawet 20 lat procesów państwo ich nie zabezpiecza i nie remontuje. Potem wartość takiej nieruchomości jest ujemna, bo trzeba milionowych nakładów na jej odnowienie i utrzymanie. Znam rodziny, których odzyskanie zrujnowanego pałacu doprowadziło do bankructwa – mówi Maciej Radziwiłł.

Nie spodziewa się, żeby w tej sprawie cokolwiek się zmieniło. – W Polsce uznaje się, że jeżeli coś rozstrzyga się na mocy porozumienia stron, to musi w tym być coś podejrzanego. Zaraz straszy się interwencją odpowiednich służb, choć jakoś nie słychać o zatrzymaniach przez CBA czy CBŚ dyrektorów muzeów czy menedżerów kultury – mówi Maciej Radziwiłł. I wskazuje inny powód tego, że zwroty zagrabionej własności prawowitym właścicielom nikogo nie interesują. – Prywatyzacja nie jest dobrze w społeczeństwie postrzegana. Zaraz pojawiają się głosy: Oddać? Przecież to nasze. W rządzącej obecnie partii jest frakcja jakobińska, która ma tendencję raczej do nacjonalizacji niż prywatyzacji. Tak zwana lewica sięga z kolei po argument pańszczyzny, twierdząc, że dzięki czerpaniu z niej korzyści właściciel mógł nabyć dzieło sztuki. Tymczasem część zakupionych przez prywatnych właścicieli dzieł ma dziś znaczną wartość ze względu na to, że nabywca wykazał się intuicją – wskazuje Radziwiłł. Tak było np. w przypadku „Damy z gronostajem". Kiedy Adam Jerzy Czartoryski kupił obraz, nie było pewności ani kto jest jego autorem, ani kogo przedstawia. Dziś to najcenniejsze dzieło w polskich zbiorach.

Pełnomocnik Leona Skórzewskiego odnalazł 170 dzieł rodziny. Tylko 10 jest na ekspozycjach, reszta trzymana jest w magazynach

Spadkobierców dzieł, które w wyniku wojny trafiły do muzeów, Polska powinna szukać. Jest sygnatariuszem tzw. protokołów waszyngtońskich z 1998 r. na temat dzieł sztuki skonfiskowanych przez nazistów. Zobowiązaliśmy się m.in. do identyfikacji zagrabionych dzieł, do których nikt nie zgłasza roszczeń, utworzenia centralnego rejestru danych na ich temat. Dokument nakazuje też, by „nie szczędząc starań", docierać do przedwojennych właścicieli lub ich spadkobierców.

Czy ktoś sporządził choćby listę dzieł, których właścicieli winno się poszukiwać? „Ministerstwo nie posiada takiej listy. W przypadku wątpliwości i pytań w sprawie właściwym ich adresatem są dyrektorzy muzeów" – odpowiedziało MKiDN, wskazując równocześnie, że prowadzenie badań nad pochodzeniem dzieł sztuki leży w kompetencjach dyrektorów muzeów. W praktyce to spadkobiercy angażują wiele sił i środków, by znaleźć miejsce, w którym znajduje się ich własność.

Skórzewscy poszukują rodzinnych dzieł sztuki, ale starają się także o zwrot nieruchomości przejętych przez komunistyczne państwo z naruszeniem ówczesnego prawa. Do tej pory udało się odzyskać pałac w Czerniejewie, ale sądowe zwycięstwo po kilkunastoletniej batalii prawnej miało gorzki smak. Państwo, choć trwał spór prawny o nieruchomość, wydzierżawiło go na 30 lat. Spadkobierca po odzyskaniu pałacu musiał go sprzedać, bo nieruchomości groziło przejęcie przez zasiedzenie. Skórzewscy wciąż starają się o zwrot pałacu w Lubostroniu. Tam Leon Skórzewski chciał umieścić i udostępnić publiczności rodzinne dzieła sztuki, które miał nadzieję odzyskać.

UKRYWANE PRZEZ MUZEA

Pełnomocnik Leona Skórzewskiego jak dotąd odnalazł w Polsce 170 dzieł Skórzewskich. Tylko 10 z nich jest na ekspozycji. Reszta jest trzymana w piwnicach, nikt ich nie ogląda. Spodziewał się, że większość obrazów będzie znajdował za granicą – w Niemczech, w różnych miejscach w Rosji. Niestety, okazało się, że najwięcej z nich jest ukrywanych przez polskie muzea.

Leon Skórzewski zmarł w Australii 28 kwietnia 2022 r. w poczuciu prześladowania przez PRL i III RP. Jak mówi jego syn Thomas Skórzewski, miał żal z powodu tego, że ścieżka dochodzenia swojej własności jest w Polsce tak długa i skomplikowana. – Uważamy nawet, że polskie instytucje rządowe podejmują skoordynowany wysiłek, aby blokować i zakłócać ten proces – mówi Thomas Skórzewski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Wiesław Helak FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

Krzysztof Masłoń

Powieść niezwykła, wypełniona emocjami, powstała z potrzeby serca i ducha. Spisana językiem, jakiego się w literaturze polskiej ostatniego ćwierćwiecza nie uświadczy

Pożegnanie ojczyzny

eprasa.pl 340eab0e61

Zwieńczenie świetnej trylogii Wiesława Helaka, za której początek uznać można powieść „Nad Zbruczem", a za rozwinięcie „Górę Tabor", stanowi „W stronę Seretu". Ten tryptyk jest zresztą nieoczywisty, choć proponowałbym czytelnikom lekturę tych utworów właśnie jako triady, pomimo tego, że postaci bohaterów sugerują ciągłość jedynie drugiej i trzeciej z wymienionych książek. Książek wybitnych, sytuujących pisarstwo Helaka, autora także m.in. „Lwowskiej nocy", „Tryhubowej" i „Tchnienia" na samym szczycie dokonań literatury polskiej ostatnich kilkudziesięciu lat.

W powieści „W stronę Seretu", relacjonując dramatyczne koleje losu swojego bohatera w powojennej Polsce, rozlicza się autor z PRL, ukazanym bez cienia relatywizmu jako czas zniewolenia i terroru, kłamstwa i zbrodni. Żegna się też definitywnie z dawną kresową ojczyzną. Gdy powieściowy Janio usłyszał, że „ziemie nasze będą się ciągnąć do Odry i Nysy, a dobremu Stalinowi będziemy to po wieczność zawdzięczać", pomyślał o tym jedynie, że „– Bez Lwowa i Wilna, to nie jest moja Polska… Tamta została, gdzie Seret płynie, gdzie Zbrucz, gdzie Horyń i Ikwa…

Milczał przez wiele dni.

– Więc nie wrócę już nad Seret – powtórzył. – Dom ojca stracony na wieki.

I poczuł się oszukany przez Boga – jakby za nic Mu było przedmurze chrześcijaństwa".

Z Bogiem właśnie toczyć będzie bohater Wiesława Helaka nieustający dialog, a starając się żyć według jego przykazań, złamie jednak może najważniejsze z nich: „Nie zabijaj!". Choć gdy w maju 1926 r. z jego ręki zginie młody człowiek, przysięgnie, że nigdy więcej krew nie obciąży jego sumienia. A jednak po wojnie będzie strzelał do komunistów i ich popleczników. Zapłaci za to straszliwą cenę. Ale tego nowego świata – odmienionego, w którym „wszystko było inne i nie do naprawienia, cały pejzaż z pięknych rzeczy ułożony, wszystko, czym żył jeszcze do niedawna, obróciło się w niwecz, rozpadło, sczezło…" – nie potrafi zaakceptować. A naprawdę nie będzie tego chciał, ponieważ ta powojenna wolność nie była jego wolnością, a to, z czym się stykał, napawało go wstrętem; było cudze i wrogie.

Przypadkowo spotkany na ulicy w Krakowie Szlamek, syn krawca, który przed wojną w Druskiennikach szył mu mundur, opowiada: „Rzeczpospolita odeszła, nie wróci już. A ja muszę jechać… Państwo nasze się buduje… Przed wojną ja jeszcze w Bejtarze byłem, pamięta pan… że na szkolenie do wojska polskiego przychodziłem. Uczył mnie pan na strzelnicy, jak karabin wycelować – zaśmiał się cicho, bo chyba słabo mu to szło…

I znowu obejrzał się ostrożnie: – Bejtar nasz… A ci komuniści, Żydzi z Moskwy nas prześladują. Ony do Palestyny jechać nie chcą… Ich Stalin przysłał, żeby tu pilnować… Nowe porządki…".

A gdy Janio da mu na drogę mały miedziany medalion z gwiazdą Dawida, otrzymany przed laty od jego ojca, Szlamek „sentymentalny i skłonny do uniesień, jak jego ojciec żydowski, objął długimi ramionami Jania i ściskał go, i powtarzał: – Pan kapitan kochany.

Jakby to był jego jedyny krewny – jakby w nim spotkał nagle całą swoją rodzinę".

Z KRWI PRZODKÓW NASZYCH

A to rodzina była dla Jania najważniejsza. Pamięć o najdroższej matce i ojcu, z którym się wadził, ale wywarł na niego wielki, może największy, wpływ. Żona i syn, których kochał iście bałwochwalczo. Wreszcie bracia, przysparzający mu zgryzot, ale mający tę samą krew, sprawiającą, że nawet Buniowi, który dopuścił się wobec niego zaprzaństwa – wybaczył. I u schyłku życia będzie dla niego podporą. Dla drugiego brata, Piotra – także, a gdy opuszczając Polskę, namawiać będzie Jania do tego samego, bo w końcu istnieje, realnie, ten lepszy, piękniejszy świat, gdzie demokracja panuje, jest dobrobyt, a nie ma komunistów, odpowie mu:

„– Pamiętam, jak ojciec brał mnie nad rzekę… jeszcze to Galicja była, przed samą Wielką Wojną… I uczył różnych spraw, ale to powtarzał często, może wcześniej sam o tym myślał… Otóż, we własnym kraju masz synu wszystko… Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość! Może marną, ale twoją. A na obczyźnie dla uchodźcy jest tylko teraźniejszość!... Przyszłości tam żadnej nie ma! I bez grobu we własnej ziemi… A potem stukał laską w brzeg i patrzył bez lęku na wschód, tam gdzie step się już zaczynał – i kończył twardo:

– Z krwi przodków naszych".

Po latach dostanie list od Piotra: „…tutaj duszę się! Bracie! Inaczej wszystko poukładane… Miałem to w środku, tę polską przestrzeń i nie wiedziałem o tym, że Stwórca taki wzór życia mi zapisał, nowego się nie nauczę… Ojciec miał rację, gdy mówił, suchy chleb, ale na własnej ziemi… Ileż bym dał, żeby teraz być z tobą nad Seretem, naszą rzeką rodzinną, małą. A tu tylko mandryle wokół czarne, Afryka… Wygnany z Ziemi Obiecanej! Ostatni list rodzica, który mi podarowałeś, czytam i czytam… Umarłbym bez niego".

A Bunio trwający w jego pamięci jako przeniewierca i renegat? Tego komunistycznego dygnitarza spotka w sylwestra 1970 r., na cmentarzu, w rocznicę śmierci matki. Akurat po tragedii na Wybrzeżu. Powie mu, że jego żona z dziećmi została w Paryżu, „bo tam studia kończą na Sorbonie", i usłyszy pytanie: „A twój syn gdzie? Pracuje, założył rodzinę?". „Adama zabili komuniści w procesie pokazowym" – odpowie rzeczowo i nie poda bratu ręki na pożegnanie. Ale sześć lat później, spotkany w tym samym miejscu, dotąd tak pewny swoich racji Bunio będzie już cieniem samego siebie. Odsunięty na boczny tor przez partyjnych towarzyszy będzie przygnębiony sytuacją kraju, ale przede wszystkim swoją – osobistą, rodzinną; dzieci „zostały na Zachodzie, wyparły się mnie… nie chcą mieć ojca goja… Polaka. Chyba są teraz w Ameryce. Ryfka też z nimi, zażądała rozwodu i już nie jesteśmy rodziną".

Bohater Wiesława Helaka, starając się żyć według przykazań, złamie jednak może najważniejsze z nich

I okaże się, jak bardzo jest Janio potrzebny braciom. Jednemu i drugiemu. I będą lgnąć do niego, szukać u niego – starego i samotnego – wsparcia i opieki, sami też starzy i opuszczeni. I znajdą je, odprowadzi ich w ostatnią drogę. I pojedna z Bogiem, co było im potrzebne jak łyk ożywczej wody i kęs chleba. Jak tlen.

Ale przeżyją jeszcze przedtem uniesienia związane z wyborem papieża Polaka, solidarnościowe nadzieje (przyznajmy, niewielkie – Janio „nie ufał niczemu, co w komunizmie się rodziło"), i najważniejsze – staną razem nad brzegiem Seretu.

Bolesna okaże się ta wyprawa. Miejsce, w którym matka rodziła każdego z nich, poznali „tylko po rosnących gdzieniegdzie lipach, które [Janio] posadził po obu stronach alei, lecz to nie były tamte, ale odrosty dzikie, co od korzenia same odbiły – stare wycięto albo wyrwano i teraz chwasty rozsiały się tu wysokie, że przejść nie można było". I szedł Janio „jak

eprasa.pl 340eab0e61

po omacku – a bracia za nim – na wprost, i liczył w pamięci kroki, spodziewając się, że zaraz natrafi na bramę barokową, której tyle czasu poświęcił, żeby do świetności ją doprowadzić – choćby część murowana ocalała, pomyślał… – Skrzydła przepięknie wykute przez majstra z Tarnopola dawno już ukradli, jeszcze za okupacji, jak byłem tu ostatnio… Brama, co oddzielała chaos od porządku!".

A teraz… „nawet cegła nie została", a na cmentarzu nie było grobowca, nie było trumien, nie było kamieni. Jedynie rzeka płynęła, odwrócił się więc Jańcio w stronę Seretu. „Aby Boga ujrzeć…".

Po powrocie do Krakowa Piotr nie chciał już wspominać dzieciństwa ani rozmawiać o Kresach. „Wyrwano mi serce. Tam, nad Seretem" – powtarzał. I odtąd już tylko umierał. W końcu pojednany z Bogiem, podobnie jak Bunio, ten – zdawałoby się – materialista do szpiku kości, który w obliczu śmierci powie raptem, nieoczekiwanie dla siebie samego: „Nawet gdyby Nieba nie było, to droga, którą poszedł Ten z Krzyżem – jest jedyna". I wyzna to, co napawało go największym wstydem: „Wtedy, kiedy Marion do mnie przyjechała prosić o pomoc… I wcześniej. Wiedziałem, że Adama aresztowano. Mogłem uratować życie waszego syna. Nic nie zrobiłem". I wydobył z siebie te archaicznie brzmiące słowa: „Ja jestem syn przeniewierczy, zdrady się dopuściłem, wiary przodków zaparłem…". I na koniec poprosi Jania: „Poślij po księdza, ja też nie chcę umierać jak bydlę!".

NIKT WAS NIE POKONA

„Życie składa się z kotar – pomyślał – między którymi toczą się losy, równolegle… Przeszłość i przyszłość… Nagle znowu zobaczył swego ojca i zaraz ta inna natura, skryta głęboko, na jaw się wydobyła… Spuścizna po rodzicu, nieufność do ludzi i twarda gotowość do obrony, za którą przemoc się kryła, znad Seretu to szło, z Kresów szerokich. I głos starca:

– Siła! Siła na nich tylko! – zacięty głos jego brzmiał mu w głowie – Adam też po nim to ma?...

Patrzył na syna i drżał cały w środku:

– Zapiekłość czy dumę?".

„– Zabijają nas… Zabijają bezkarnie! To oni zaczęli zabijać, wolność odebrali! Mało im było za caratu, znowu tu przyszli… ze swoim brudem i zarazą! – wybuchnął. – Ale dlaczego idą na ich stronę?... Czy w Boga już nie wierzą…".

W dowodzonym przez jego syna oddziale, w którym i on służył („– Zabiłem. Krew przelałem znowu… Przysięgę Bogu złożoną złamałem" jeden z partyzantów, dziś wyklętymi nazywanych, powtarzał: „– Nie chcę żyć w kraju rządzonym przez bezbożników" i pytając: „– Jak można żyć bez Boga", w końcu przestrzelił sobie głowę.

To jest Polonez Ogińskiego. Bez błazeńskiej maski, jaką nałożył mu Andrzej Wajda w ekranizacji „Popiołu i diamentu"

W czym, oprócz wiary, mógł szukać Janio ostoi w czasie najpodlejszym z podłych, bo takim był stalinizm? Nie odskocznią wprawdzie, ale krótkotrwałym wytchnieniem była sztuka, tak zawsze dla niego ważne malarstwo i muzyka. A cóż innego mógł zagrać żonie i bratu jak nie „Poloneza As-dur" Chopina?

„I ruszył, groźnie się zaczyna i mroczne czasy rozbić, skruszyć chce! – delikatnością, życia chęcią i do przodu idźcie bez strachu, krokiem tanecznym a wzniosłym… – frazy jasno powiedziane – lekko coraz wyżej i wyżej się unoście, nikt nie pokona was, jeśli razem będziecie…

I przeszłość nieście w kwiatach!

A choć przyjdą chwile mroczne i szare… Pamiętajcie, bez lęku bądźcie.

Znowu smutek i groza przerwały ten wątek…

Niech was niesie ku niebu, ku Bogu… Który jest z wami.

I jeszcze raz jakby pojazd głazami wypełniony po bruku jechał! Dudniący rytm, niszczący… Lecz i on was już nie zabije, krzywdy nie zrobi – Pan go zatrzyma! Aby dać czas wam – na wieczne odetchnienie.

Bo pieśń to o wolności Fryderyk dla nich ułożył, zostawił, pozwolił mu Bóg usłyszeć w pieniach anielskich – moc, pragnienie i ciepło…

Tak dla nich zagrał Janio, w tempie – alla polacca e maestoso.

Żeby prostackich czasów się nie bali".

DUSZE PRZEKRĘCONE

A jakie to były czasy, opowiada Wiesław Helak, w fabułę swojej powieści wplatając a to pasjonujące rozmowy bohatera z wielkim Księciem Kościoła kard. Adamem Sapiehą, od którego otrzymał egzemplarz Tomasza à Kempis „O naśladowaniu Chrystusa" ze znamienną dedykacją: „Janiowi na drodze do świętości – brat – Sapieha"; a to świetne sceny z pogrzebu tegoż kardynała, który stał się wielką manifestacją patriotyczną z ubekami i milicją w tle; to znów haniebny proces księży z kurii krakowskiej, na którym Janio przypatrywał się tym, „co chcą sumieniem narodu być", wszystkim tym nieznanym wcześniej „poetom, literatom, dziennikarzom, aktorom": „Rodowodu żadnego… Nazwiska przyszywane… Dusze przekręcone. Puste… Boga nienawidzące". A niedługo potem „rezolucję wystosowali ci, którzy za literatów uchodzić chcieli – a w niej obiecywali, że w swoich dziełach jeszcze ostrzej piętnować będą wrogów narodu… – Cyrograf publicznie podpisali, aby na wieki ślad polskości po nich został… I kto im dał prawo mówić o narodzie, znikąd to przecie ludzie albo z piekła rodem, co Szatan ich przysłał, żeby durne wiersze o Stalinie wypisywali… Czy tak postępują ludzie uczciwi? Nawet jeśli w Boga nie wierzą… Ale kto miałby ich wówczas uczciwości uczyć? Lenin, co nowego człowieczeństwa Adamem?... Tak się poetka czerwona wyraziła".

I dawał się ponosić furii Janio, a nie mogąc się uspokoić, powtarzał: „Przekląć ich tylko można. Lub zabić! Ma rację nasz syn, że wypalać to trzeba rozgrzanym żelazem!". Ten potok słów ciężkich jak kamienie przerwała dopiero jego żona: „– Janio, to wszystko przejdzie. Zniknie… Zostaw to. Bóg dał ci jedno życie. Szanuj siły swoje, będą ci potrzebne – zabrzmiało to jak widzenie jasne i zapadła cisza".

I żyć będzie bohater powieści Wiesława Helaka jakby na przekór całemu temu złu, które przyszło ze wschodu. Na ile to było możliwe, do czasu, ignorując je i nie dając się nabrać na wszelkie próby pozyskania go przez nowe władze (jako oficera, który w 1926 r. przeciwstawił się Piłsudskiemu) czy skorumpowania go, do czego użyto jego brata. Wtedy Marion, jego żona, podtrzyma go, przypominając, że „niczego nie wolno przyjmować od komunistów, bo cóż złodziej może ci podarować?". I doda z pokorą: „– A za biednego Bunia będziemy się modlić codziennie".

Ale choć w tej zniewolonej, wrogiej Polsce wszystko stało się inne, przeszłość powracać będzie jednak, także i ta, niby niedawna, a przecież z jakże odległej, wydawałoby się, epoki. Jak wówczas, gdy przesłuchujący Jania komunistyczny śledczy usiłował nawiązać z nim nić porozumienia, oczywiście nie z jako „bezetem", byłym właścicielem majątku ziemskiego nad Seretem, a potem na Zamojszczyźnie, ale z żołnierzem służącym na pograniczu, tak jak ojciec funkcjonariusza bezpieki, okazuje się, piłsudczyk. I za takiego ma także ów

eprasa.pl 340eab0e61

ubek Jania, któremu do głowy przychodzi wówczas, że „czyn wyzwoleńczy Marszałka to jedno, a myśl polityczna, to drugie, rację miał stary ojciec, że pod żadnym pozorem czerwonej zarazy nie wpuszczać… – a dobrze pamiętał Janio te sztandary robotników w maju i komunistów, co Piłsudskiego poparli wtedy. – I dzisiaj ta iskra czerwona przeskoczyła, ojciec tego tu, był w partii socjalistycznej, a ten, już w następnym pokoleniu stał się aparatczykiem Stalina!... Może darował mi, bo resztki serca mu zostały i sentyment do tegoż ojca piłsudczyka, i że w służbie pogranicza był jak i ja?... Tylko że dla mnie to było poniżenie, koniec kariery wojskowej, przekreślonej, zmarnowane talenty dowódcze… I ten wymarzony sztab generalny nigdy nie doszedł do skutku… socjalista Marszałek, jednak…

– A trzeba było żelazem rozgrzanym wypalić zarazę! – znowu krzyk ojca w głowie usłyszał i teraz dopiero pojął, dlaczego tak rozpaczliwie krzyczał.

I spojrzał na śmiecia – on chłystek – towarzysz jego!".

A od swojego wroga śmiertelnego najgorszego dnia swojego życia usłyszy: „Pana syn nie żyje. Wyrok został wykonany wczoraj. Obaj straciliśmy pierworodnych… mój syn ma mogiłę porządną na naszym wielskim cmentarzu i jego matka może się tam pomodlić. A pana jedyny syn nie będzie miał grobu w ogóle. I to jest sprawiedliwe. Musi być różnica między uczciwym człowiekiem a bandytą. A narzeczona syna, którą aresztowaliśmy za współudział, dostanie dożywocie". Ta narzeczona umrze w więzieniu, przy porodzie, dożywocie dostanie natomiast sam Janio, „ułaskawiony" potem przez następnego satrapę. Swojego nieznanego wnuka nie odnajdzie. A żona? Umrze podczas jego odsiadki, nie otrzyma przepustki na jej pogrzeb.

I gdy stanął nad brzegiem Bugu, jak w 1939 r., kiedy po raz ostatni go przekraczał, „uniósł głowę, ptaki ujrzał, które leciały wysoko – na drugą stronę, a Bug płynął pod nimi. I zaraz inne rzeki stanęły mu przed oczyma, a to Seret jego najmilszy, i Zbrucz pobliski, co obie malowniczo do Dniestru wpadają… – To moja jest ojczyzna prawdziwa… I ten wiatr wiosenny, i łany kwieciste, nieskończone, a między nimi starodawne wody przez wieki w granicach Najjaśniejszych służące. – Tam gdzie Ikwy srebrne fale płyną… – wieszcza głos nagle ożył, co ją sławił w wierszach, i te dźwięczne, twarde, jak ci bracia moi, którzy nad nimi żywot swój wiedli… Styr, Horyń, Prypeć, Berezyna! – same w strofy się układają i o pamięć wieczną proszą… A tu już tętnią konie ponad Dnieprem, garną się poeci zewsząd!".

I to w tej niezwykłej, wypełnionej emocjami, powstałej z potrzeby serca i ducha powieści, spisanej językiem, jakiego się w literaturze polskiej ostatniego ćwierćwiecza nie uświadczy, jest najważniejsze. Kluczowe dla tego imponującego „Pożegnania Ojczyzny". Bo to jest Polonez Ogińskiego. Bez błazeńskiej maski, jaką nałożył mu Andrzej Wajda w ekranizacji „Popiołu i diamentu". Polonez serio, polonez tragiczny i tylko tragiczny. Któremu wtóruje szum Dniestru, płynącego przez Tarnopol, Czortków, Dołynę… Skąd znów dobiega odgłos żołnierskich butów. Ruskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★★★★
WIESŁAW HELAK
„W STRONĘ SERETU"
ARCANA 2021

REKLAMA

odbierz dodatkowy rabat*
na hasło: DO RZECZY
-5%
*promocja ważna do 17 czerwca 2022 roku

ŚWIADEK OBJAWIEŃ ŚW. ANDRZEJA BOBOLI!

Czego dokładnie oczekuje od nas św. Andrzej Bobola? Jakie słowa przekazał, objawiając się ks. Niżnikowi? Co my, Polacy, możemy zrobić, żeby spełnić prośby kierowane do nas przez Świętego?

Ta wyjątkowa książka, napisana przez proboszcza i kustosza sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Strachocinie, nie jest zwykłą biografią Świętego – jest wezwaniem do totalnego zawierzenia Bogu i oddania się w opiekę św. Andrzejowi Boboli. A przede wszystkim – odkrywa przed nami niezwykle ważne słowa, które święty Patron Polski kieruje do Polaków w czasie kryzysu w kraju i wojny tuż za naszą granicą.

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy!
Zamów książkę na **esprit.com.pl** lub pod numerem telefonu **12 267 05 69**.

Darmowa dostawa od 99 zł

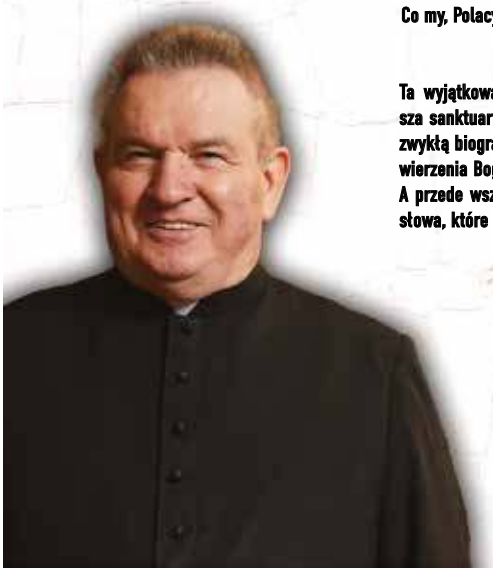

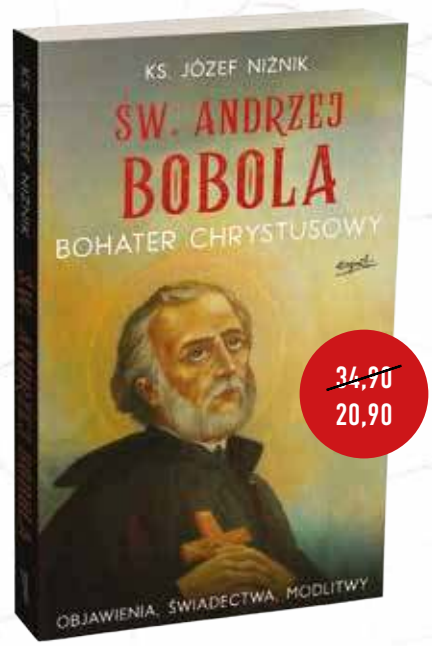

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Depresja i patriarchat

Grzegorz Kondrasiuk

Teatr absurdu podlany obficie sosem uproszczonego feminizmu, gdzie tryby perswazyjne pracują w zbyt oczywisty sposób

Magdalena Drab napisała sztukę „Słabi", a jury bardzo ważnego konkursu na dramat współczesny w Gdyni przyznało jej główną nagrodę (2017). Anina, główna postać, to młoda matka z depresją, lecząca się psychiatrycznie, w nieszczęśliwym przemocowym małżeństwie, nieradząca sobie z macierzyństwem, o skrajnie niskiej samoocenie. Dręczona i w domu, i poza nim (sąsiadki, służba zdrowia, kościół), podejmuje rozpaczliwą próbę buntu: zdradza męża, ukrywa się u kochanka. W tym czasie umiera jej dziecko, a wtedy popełnia samobójstwo.

Rozsiane tu i ówdzie sugestie skłaniają do interpretacji tego tekstu jako przypowieści filozoficznej. To dramat ofiary, gdzie na mocy zabiegu retorycznego, pars pro toto, jednostka symbolizuje ogół, Kobiety ciemiężone przez Patriarchat. Zastosowany jest tu też zabieg odwrócenia sakralnego mitu: Anina to Matka Boska w świecie bez Zbawiciela, Madonna, której dziecko umiera (z braku miłości? jako znak bezsensu istnienia?). To tradycja egzystencjalizmu, teatru absurdu, z tym że podlana została obficie sosem uproszczonego feminizmu, gdzie tryby perswazyjne pracują w zbyt oczywisty sposób. Dramat egzystencji, „nieradzenia sobie", jest wytłumaczony z prostotą wątpiącą w inteligencję odbiorców: Anina jest chora na depresję, ponieważ skupia na sobie całą opresję Patriarchatu. Tekst ma czerpać moc z projektu ideowego, w dodatku szantażując emocjonalnie widzów przymusem współczucia. Wartościowanie ma zasłonić niedobory formy, osłonić wątły dramat składający się z kilku monologów i wielu scenek, z których co najmniej kilka to zaledwie szkice do skreślenia lub rozwinięcia. Liczne wtręty publicystyczne ujawniają protekcjonalny stosunek do otoczenia Aniny: „te i tamte", „ten i tamten", przysłowiowa matka Brajanka, inna zawsze celująca w wyborach na najsilniejszego kandydata, inny spełniający się w bilardzie i alkoholu – postaci maźnięte kilkoma grubymi kreskami, potraktowane satyrycznie, skrajnie redukcyjnie. Powstała sztuka, która celuje w zdolności empatii, a jednocześnie empatię wydziela wyłącznie dla jednej, ofiarniczej postaci. Drab deklaratywnie chce emancypować, w praktyce – uprawia odpodmiotowienie, w którym widz może poczuć się komfortowo i wyższościowo.

Rafał Sabara wystawił każde słowo dramatu, nieomal każdy przecinek. To reżyseria sprawna warsztatowo, stawiająca na zaskakiwanie i związywanie uwagi widowni w każdej scenie, uwypuklająca jej idee sprzedawane w lekkiej formie, w odrealnionym, przerysowanym w surrealistyczną komedię świecie. Akcja rozgrywa się na szpitalnym korytarzu, przed drzwiami windy, gdzie okazuje się, że jest to również przestrzeń mentalna, wypełniona wspomnieniami i przebłyskami świadomości Aniny, może też jej psychotropowymi tripami. Komediowa forma (osadzona w dalekich reminiscencjach filmowych, m.in. z „Trainspotting", skąd przeciekła, zdaje się, wizja niemowlęcia z koszmaru) rozbraja dramat egzystencjalny. Jakby w sztuce było za mało deklaratywności, Sabara jeszcze ją podkręca. Walorem przedstawienia jest mocna rola Elżbiety Zajko, „von Trier-owska", masochistyczna, osadzona w ciele. Ale filigranowa Zajko jest zestawiona ze zwalistym Mikołajem Chroboczkiem, Mężem. To prostak, pewny siebie, pozbawiony przez autorkę prawa do imienia i jakiejkolwiek głębi. Ten kontrast wizualny – i kontrast statusów postaci – jest ogrywany na wiele sposobów: od przemocy silniejszego mężczyzny, poprzez szydercze wyśmiewanie w towarzystwie kochanki-sąsiadki, aż do groteskowych scenek, degradujących Męża do roli zwierzęcia. W epizodycznej, niemej roli Księdza wysłuchującego nieudanej spowiedzi Aniny też pojawia się Chroboczek, tak by publiczność już całkowicie pozbyła się wątpliwości, że Patriarchat diagnozowany jest tu i oskarżany en bloc, bez bawienia się w niuanse. Jedyna postać męska znana z imienia to Jan, kochanek Aniny (Marek Nędza). Spod pokładów cynizmu i emocjonalnej aporii rodzą się w nim ludzkie odruchy. Ale ostatecznie i on będzie osądzony: to sprzedawca z mięsnego, a więc emisariusz śmierci i przemocy. Aktorsko: czysta zewnętrzność, człowiek maszyna. Tak miało być i jest to porządnie zrobione, tak jak i u odgrywających „społeczeństwo" Mileny Lisieckiej, Matyldy Paszczenko, Agnieszki Skrzypczak i Mariusza Ostrowskiego.

Jest jeszcze jedno piętro odbioru, wzbudzające poważne wątpliwości. Dużo się dziś mówi o edukacji, pracy z widownią, misji instytucji. Tymczasem spektakl „Słabi", poruszając temat depresji, stawia fałszywe diagnozy. Depresja Aniny – zdaje się – nie jest chorobą, ale reakcją na opresję. Jest to metaforyzowanie, ideologizowanie choroby, przed którym ostrzegała Susan Sontag. Teatr zostawia widzów bez żadnego zewnętrznego, fachowego komentarza, przekazującego aktualny stan wiedzy medycznej o depresji, jej przyczynach, leczeniu, narzędzi bezpośredniej pomocy dla chorych. Jest to działanie nieodpowiedzialne i pozbawione wyobraźni. ©℗

MAGDALENA DRAB, „SŁABI"
TEATR IM. S. JARACZA W ŁODZI (MAŁA SCENA)
REŻYSERIA: RAFAŁ SABARA
PREMIERA: 4 MARCA 2022 R.

eprasa.pl 340eab0e61

WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI

Zeszyt nr 4

Od lampy Łukasiewicza do rozkwitu polskiego zagłębia naftowego

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 340eab0e61

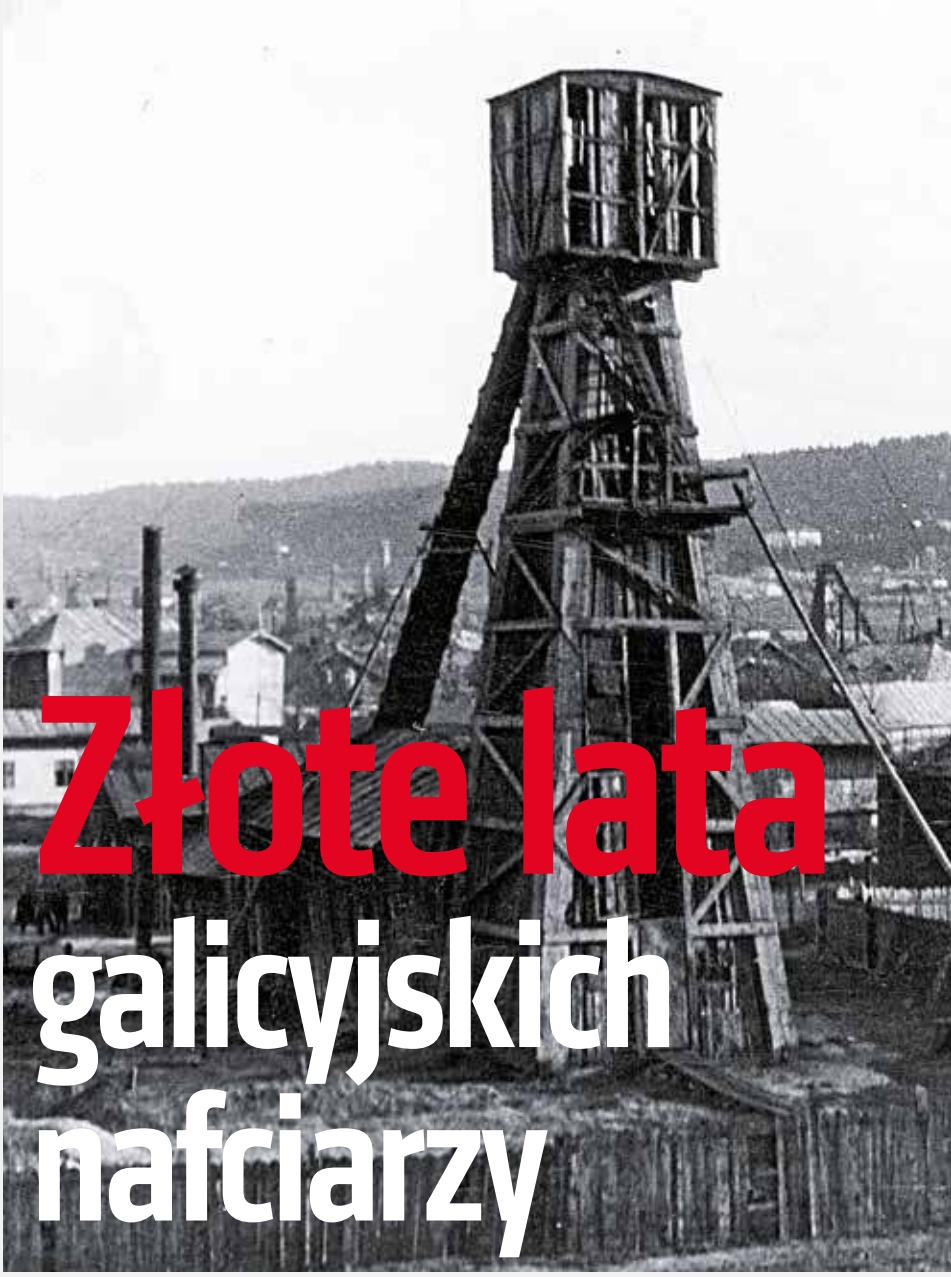

Złote lata galicyjskich nafciarzy

Z prof. Piotrem Franaszkiem, historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą dziejów gospodarczych Galicji
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Czy ta niepozorna lampa rzeczywiście zmieniła świat?

PROF. PIOTR FRANASZEK: Dzieło Ignacego Łukasiewicza dokonało prawdziwego przewrotu cywilizacyjnego. Od dawien dawna ludzie zastanawiali się, jak rozświetlić mroki nocy. Przez całe wieki rytm doby dyktował sposób funkcjonowania człowieka. Zapadnięcie ciemności oznaczało koniec prac i konieczność udania się na spoczynek. Różnie starano się temu zaradzić – używano świec, pochodni, lampek oliwnych, jednak nie były to wydajne źródła światła. Na przełomie XVIII i XIX w. zaczęto eksperymentować z nowymi metodami oświetlenia. Wszystkie wykorzystywane do tego paliwa miały jednak poważne wady: albo kopciły, albo były niebezpieczne, tzn. nie były stabilnym paliwem. Dlatego prace nad destylacją ropy i uzyskanie nafty, a następnie skonstruowanie odpowiedniej lampy były absolutnie kluczowe dla rozwoju ludzkości.

Dzięki pracy polskiego farmaceuty produktywność na całym świecie musiała wystrzelić w spektakularny sposób.

Zgadza się. Z dzisiejszej perspektywy może się to nam wydawać błahe, ale ta „zwykła" lampa była przewrotem na ogromną skalę. W jednym momencie wszystkie inne metody oświetlania straciły rację bytu. Ludzie wreszcie mogli wieczorami rozświetlać swoje izby czy warsztaty i kontynuować obowiązki domowe, uczyć się lub pracować. Co ważne – cena lampy i samej nafty nie była wysoka i nawet ubożsi mogli pozwolić sobie na „luksus" korzystania ze sztucznego światła.

Wprawdzie destylację ropy naftowej próbowano przeprowadzać już wcześniej, np. Józef Hecker, austriacki urzędnik, już na początku XIX w. nad tym pracował, jednak końcowy efekt nie był zadowalający. Krótko mówiąc, nie udawało się uzyskać czystego paliwa. Nafta produkowana dzięki metodzie Łukasiewicza była wysokiej jakości i stała się paliwem przewidywalnym. Nie możemy jednak zapominać też o drugim kluczowym elemencie tego przewrotu cywilizacyjnego – lampie o odpowiedniej konstrukcji.

Chociaż – wbrew powszechnemu wyobrażeniu – nie było to jego dzieło.

Łukasiewicz zazwyczaj przedstawiany jest na portretach z lampą naftową w dłoni, ale to nie on ją skonstruował. Adam Bratkowski był bardzo zdolnym lwowskim blacharzem. Łukasiewicz, który zgłosił się do niego ze zleceniem, na pewno brał udział w procesie projektowania tego urządzenia, ale jednak lampa to głównie dzieło Bratkowskiego. Nawiasem mówiąc, nawet nie wiemy, jak wyglądała ta pierwsza lampa, ponieważ niestety nie zachował się do naszych czasów żaden jej egzemplarz. Konstrukcja Bratkowskiego szybko podbiła świat i była modyfikowana na wiele różnych sposobów.

Łukasiewicz nie mógł chyba sobie wymarzyć lepszej premiery dla lampy?

Wynalazek ten rozpoczął swoją karierę z dużym „przytupem". Lampa po raz pierwszy została publicznie wykorzystana we lwowskim szpitalu na Łyczakowie. Nocą z 30 na 31 lipca 1853 r. operowano w nim pacjenta cierpiącego na atak wyrostka robaczkowego. Człowiek ten nie mógł czekać do rana. Była to wspa-

eprasa.pl 340eab0e61

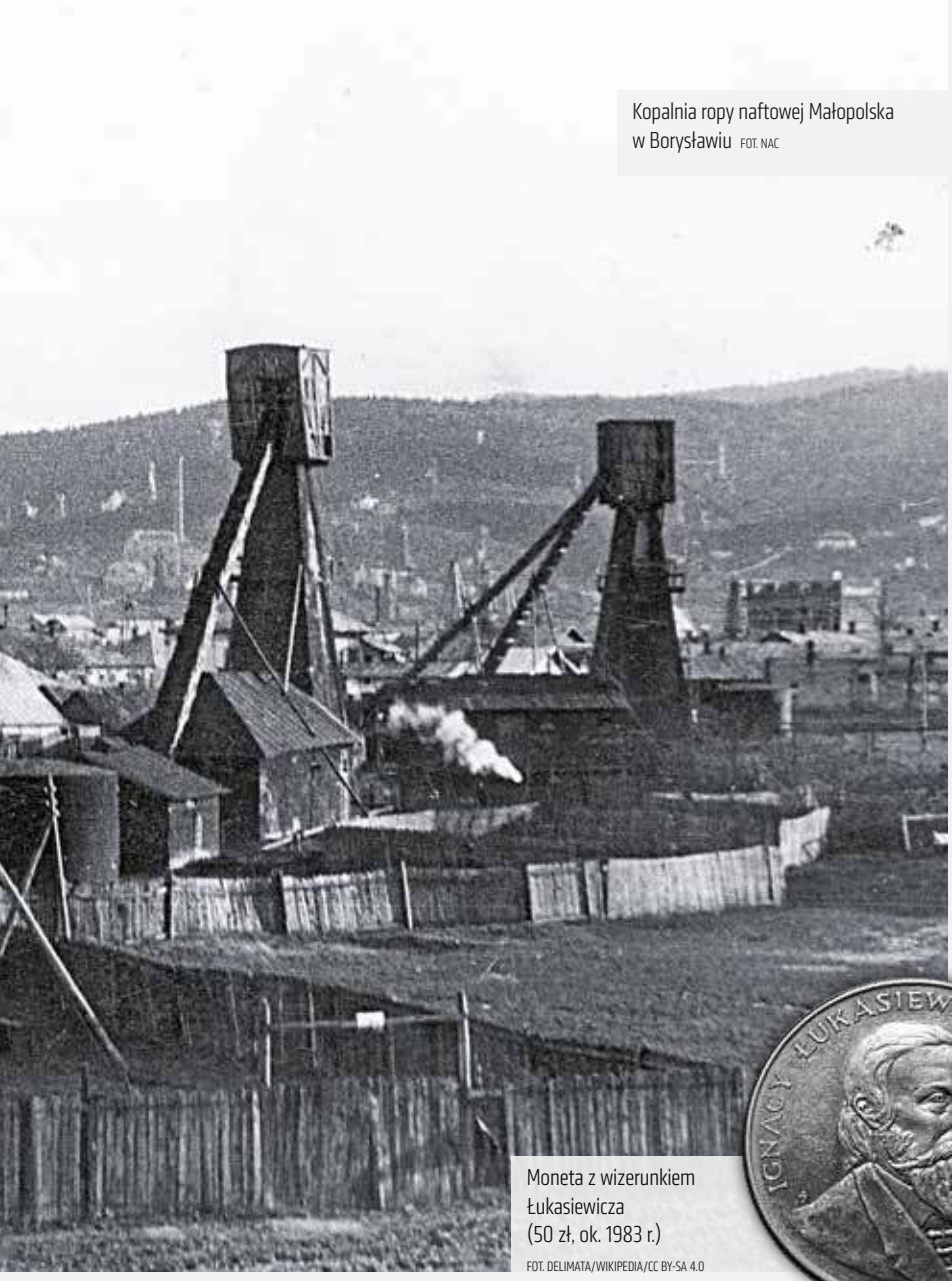

Kopalnia ropy naftowej Małopolska w Borysławiu FOT. NAC

Z dzisiejszej perspektywy może się to nam wydawać błahe, ale ta „zwykła" lampa była przewrotem na ogromną skalę

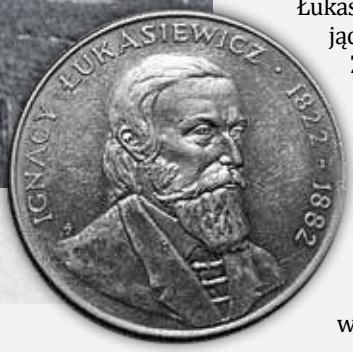

Moneta z wizerunkiem Łukasiewicza (50 zł, ok. 1983 r.)

FOT. DELIMATA/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

niała promocja dla lampy Łukasiewicza. Szpital od razu zakupił 500 litrów nafty. Miejscowe gazety rozpisywały się o tym wydarzeniu, podkreślając, że niejaki Ignacy Łukasiewicz ma do zaoferowania niezwykły produkt, który fenomenalnie rozświetla mroki.

Nasz genialny farmaceuta potrafił otrzymać w trakcie rafinacji ropy nie tylko naftę, lecz także benzynę, asfalt czy mazut. Czy te substancje również zrobiły wówczas „karierę"?

Początkowo zapotrzebowanie było głównie na naftę. Benzyna musiała jeszcze poczekać na swój „złoty okres", czyli rozwój przemysłu motoryzacyjnego. Wówczas jeszcze nie potrafiono wykorzystać jej potencjału. Natomiast cięższe frakcje uzyskiwane z ropy naftowej, czyli właśnie mazut i asfalt, były już jak najbardziej wykorzystywane w czasach Łukasiewicza.

Niewykluczone, że ta historia w ogóle by się nie wydarzyła, gdyby nie żydowski handlarz Abraham Schreiner. Jakie miał on oczekiwania względem ropy naftowej?

Różne są na ten temat teorie. Niektórzy twierdzą, że Schreiner zastanawiał się, czy da się z ropy uzyskać… alkohol. Łukasiewicz pracował wówczas we lwowskiej aptece Pod Złotą Gwiazdą należącej do Piotra Mikolascha. Nasz wynalazca był z wykształcenia farmaceutą i to właśnie w tym zawodzie widział swoją przyszłość. Jesienią 1852 r. do apteki zgłosił się wspomniany już Schreiner, któremu towarzyszył wspólnik Lejba Stierman. Handlarze przynieśli próbki ropy naftowej, na którą mówiono wówczas powszechnie „olej skalny". Na Podkarpaciu od wieków wykorzystywano ropę jako naturalny smar, a także stosowano ją do celów leczniczych, szczególnie do leczenia chorób skórnych.

Nie wiadomo dokładnie, jak na ropie chcieli zarobić Schreiner i Stierman, ale właściciel apteki, dysponując świetnym zapleczem laboratoryjnym, miał nadzieję, że uda mu się uzyskać z ropy „Oleum Petrae album", czyli drogocenne panaceum, które sprowadzano z Włoch. Był to doskonały lek na każde schorzenie, a przynajmniej tak się ludziom wówczas wydawało. Mikolasch namówił Ignacego Łukasiewicza oraz drugiego pracującego u niego farmaceutę Jana Zeha do założenia spółki. Szybko okazało się jednak, że ich „Oleum Petrae album" wcale nie będzie żyłą złota. Mikolasch wycofał się z tego biznesu, ale Łukasiewicz z Zehem zainteresowali się destylacją ropy naftowej i rozpoczęli swoje badania w tym kierunku.

Co było największym problemem w procesie uzyskiwania odpowiedniego paliwa dla lamp?

Trzeba było się pozbyć lekkich i ciężkich frakcji. To był skomplikowany proces. Wyeliminowanie lekkich frakcji podwyższało temperaturę samozapłonu nafty, przez co stawała się ona względnie bezpieczna. Z kolei usunięcie ciężkich frakcji sprawiało, że ostateczny produkt nie kopcił nadmiernie.

Czy ropa naftowa nie była wówczas traktowana na Podkarpaciu raczej w kategoriach dopustu bożego?

Ropa wypływała samoczynnie, gromadziła się w rowach i innych zagłębieniach, zanieczyszczała powierzchnię wód i fak-

eprasa.pl 340eab0e61

tycznie mogła być w oczach właścicieli tych terenów problemem. Dzięki Łukasiewiczowi nagle okazało się, że ropa może być przydatna. Tu pojawia się kolejna kluczowa postać – Tytus Trzecieski. Wciągnął on Łukasiewicza w spółkę eksploatującą ropę naftową w celach przemysłowych.

Jednak sam Łukasiewicz nie był pozbawiony talentów biznesowych.

Dokładnie. Łukasiewicz przeniósł się już wtedy do Gorlic, gdzie dzierżawił aptekę. Pewnego dnia zjawił się u niego Trzecieski z nowiną, że u jego sąsiada w Bóbrce ropa naftowa wypływa w całkiem pokaźnych ilościach. Łukasiewicz postanowił zaangażować się w ten interes. Do tej pory mówiliśmy o Łukasiewiczu jako o wynalazcy, ale od tej pory można już mówić o nim jako o bardzo utalentowanym przedsiębiorcy i organizatorze. Łukasiewicz stanął na czele kopalni ropy naftowej w Bóbrce. Z jego inicjatywy zaczęto kopać szyby, które wówczas były tak naprawdę głębokimi studniami. Łukasiewicz uznał jednak, że sama sprzedaż ropy naftowej to za mało. Postanowił więc zbudować rafinerię. Powstała ona w nieodległych Ulaszowicach.

Biografia Ignacego Łukasiewicza, której współautorem jest prof. Piotr Franaszek

W ten sposób powstał pierwszy na świecie koncern naftowy?

Fachowo nazywa się to pionową koncentracją produkcji – jedna firma wydobywa surowiec i sprzedaje gotowy produkt. Tego rodzaju rozwiązania w światowym biznesie pojawiły się dopiero 20 lat później. Początkowo przedsiębiorstwo dobrze się rozwijało, ale na przełomie lat 50. i 60. wyglądało na to, że zasoby Bóbrki się wyczerpują, rafineria w Ulaszowicach spaliła się, a jakby tego było mało, to jeszcze umarła córeczka Łukasiewicza. W związku z tym postanowił on skończyć z przemysłem naftowym i podjął decyzję o wyjeździe z Galicji do Królestwa Polskiego. Był już właściwie spakowany, gdy zjawił się u niego Tytus Trzecieski i przekonał go, że nie może tego zrobić, bo przecież liczy na niego mnóstwo ludzi. Zasadniczym argumentem za pozostaniem Łukasiewicza w Galicji był jednak fakt, że 23 kwietnia 1861 r., w dniu św. Wojciecha, nastąpił w kopanym w Bóbrce szybie

Łukasiewicz stanął na czele kopalni ropy naftowej w Bóbrce. Z jego inicjatywy zaczęto kopać szyby, które wówczas były tak naprawdę głębokimi studniami

ogromny przypływ ropy. Był to początek działalności słynnego szybu „Wojciech".

O jakich ilościach tu mówimy?

Kroniki podają, że było to ok. 60 garnców, czyli ok. 240 litrów ropy na dobę. Jasne się stało, że należy kopać w okolicy podobne, głębokie szyby. Rok 1861 to przełomowy czas w życiu Łukasiewicza. Farmacja przestała odgrywać wówczas w jego życiu jakąkolwiek rolę. Od tej pory całkowicie poświęca się branży naftowej. Szacuje się, że w połowie lat 60. roczny zysk spółki z Bóbrki wynosił ok. 40 tys. złotych reńskich. Były to ogromne pieniądze. Można było za to kupić dwie wsie. Inni przedsiębiorcy również zaczęli budować kopalnie ropy naftowej w okolicach Gorlic, Jasła i Krosna. Łukasiewicz był jednak niekwestionowanym liderem raczkującej branży naftowej i jego kopalnia w Bóbrce była najważniejszą taką instalacją w Galicji. Nie sposób jednak powiedzieć, że napędzała go głównie chęć pomnożenia osobistego majątku. Łukasiewicz był wielkim filantropem, za misję swojego życia uznawał służbę drugiemu człowiekowi.

Jako pracodawca wzorowo dbał o swoich robotników. Organizował dla nich szkolenia, ponieważ zależało mu, żeby jego pracownicy znali się na fachu, a także chodziło mu o to, by pracowali w bezpieczny sposób. W jego zakładzie panowały bezwzględne dyscyplina i porządek. Pijaństwo było w Bóbrce nie do pomyślenia.

Za jego sprawą wprowadzono system ubezpieczeń społecznych. To nie była zbyt powszechna rzecz?

To był ewenement w tamtych czasach w Galicji. W jego kopalni obowiązkowo potrącano pracownikom 3 proc. zarobków. W zamian za to mieli oni zapewnioną opiekę lekarską, dożywotnią rentę, jeżeli doszło w pracy do wypadku, a po 20 latach pracy otrzymywali emeryturę.

Łukasiewicz pomagał też wozakom, którzy transportowali ropę z kopalni do rafinerii. Udzielał im pożyczek na zakup koni i wozów. Mogli oni następnie wykorzystywać te konie w swoich gospodarstwach.

Jego filantropijna działalność wykraczała poza teren kopalni. Łukasiewicz walczył z lichwą i pożyczał chłopom na niewielki procent środki na rozwój ich gospodarstw. W swoim majątku w Chorkówce zorganizował też jednoklasową szkołę dla dzieci miejscowych chłopów. Dziś może się to wydawać niczym wielkim, ale wówczas była to ogromna jakościowa zmiana na wsi.

Ustawmy te wydarzenia w odpowiedniej perspektywie. Kiedy tak naprawdę możemy mówić o początku sektora naftowego w Ameryce, która chyba najbardziej kojarzy się z naftowym boomem?

Kopalnia w Bóbrce powstała w 1854 r. To wydarzenie to tak naprawdę początek przemysłu naftowego na świecie. Amerykańska branża naftowa narodziła się dopiero pięć lat później. W 1859 r. kpt. Edwin Drake wykonał w Titusville w Pensylwanii pierwszy odwiert w poszukiwaniu ropy naftowej. Zastosował w tym celu tzw. pensylwańską metodę wiertniczą. Odwiert okazał się wielkim sukcesem komercyjnym. O ile w Galicji narodziła się światowa branża naftowa, o tyle jednak Amerykanom należy oddać pierwszeństwo, jeżeli chodzi o wiercenia z prawdziwego zdarzenia. W USA i w Galicji przez długi czas wykonywano wiercenia udarowe, gdzie spadający świder kruszy ziemię. Dopiero potem pojawiły się wiercenia obrotowe, które najbardziej nam się kojarzą z wydobywaniem ropy naftowej.

Amerykanie byli lepsi pod względem wiercenia, ale jednak to nafta Łukasiewicza słynęła na świecie ze swojej jakości. Produkował on różne gatunki nafty, m.in. salonową, która była uważana za najbardziej szlachetną. Tajniki jego metody były poza zasięgiem konkurencji, więc w końcu u Łukasiewicza pojawili się przedstawiciele firmy Standard Oil Company należącej do Johna D. Rockefellera. Chcieli odkupić od genialnego Polaka jego technologię rafinacji nafty. Łukasiewicz bezinteresownie pozwolił

eprasa.pl 340eab0e61

Amerykanom zapoznać się z procesem technologicznym stosowanym w jego rafinerii w Chorkówce. Nie przyjął żadnej gratyfikacji, co u ludzi interesu zza oceanu musiało wywołać duże zdumienie. Pojawiły się nawet plotki, że sam Rockefeller przybył do Galicji negocjować w tej sprawie, ale możemy chyba uznać, że – choć bardzo miła – to jest to jednak tylko legenda.

Można chyba powiedzieć, że boom naftowy w Galicji szedł z zachodu na wschód?

Tak. Do tej pory rozmawialiśmy o zachodniej części Galicji, bo to właśnie tam wszystko się zaczęło. W 1861 r. nastąpił przełom, gdy Henryk Walter zastosował po raz pierwszy – doszło do tego w Bóbrce – tzw. wolnospadową metodę wiertniczą. Kolejny bardzo ważny przełom nastąpił już po śmierci Łukasiewicza, w 1883 r. W Galicji zjawił się wówczas William Henry MacGarvey. Był to kanadyjski nafciarz, który wiercił już w Kanadzie i w Niemczech. Wprowadził on do Galicji zupełnie nowy sposób wiercenia – tzw. kanadyjską metodę wiertniczą. Była ona dużo bardziej skuteczna, jeżeli chodzi o docieranie do głębiej położonych pokładów roponośnych, niż wspomniana metoda wolnospadowa. Tak naprawdę to właśnie dzięki kanadyjskiej metodzie wiertniczej rozpoczął się dynamiczny rozwój sektora naftowego w Galicji i wspomniany przez pana „pochód" nafciarzy z zachodu na wschód. Kolejną ważną postacią jest w tym kontekście Stanisław Szczepanowski, który zaczął wiercić we wschodniej Galicji w rejonie Słobody Rungurskiej i Schodnicy. Wschodnia Galicja szybko stanie się głównym zapleczem przemysłu naftowego Austro-Węgier.

Otwarcie szybu naftowego im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w Borysławiu, 1929 r.
FOT. NAC

Kolejny duży przełom nastąpił w drugiej połowie lat 90. XIX w. W 1896 r. firma MacGarveya rozpoczęła naprawdę głębokie wiercenia. System wolonospadowy umożliwiał dowiercenie się na głębokość maksymalnie 200 m, ale już „kanadyjka" pozwalała osiągać znaczne większe głębokości. MacGarvey w 1896 r. rozpoczął prace wiertnicze w Borysławiu we wschodniej Galicji. Początkowo perspektywy nie wyglądały zbyt różowo i firma MacGarveya planowała już nawet porzucić poszukiwania. Wreszcie na głębokości 500 m osiągnięto ogromny przypływ ropy wynoszący ok. 40 ton na dobę. Nigdy wcześniej nie osiągnięto w szybach galicyjskich takiej wydajności.

Od tego momentu możemy już mówić o prawdziwej gorączce czarnego złota w Galicji?

Tak, przedsiębiorcy zaczęli się kierować w okolice Borysławia, a miasto to stało się „stolicą" galicyjskich nafciarzy. W sąsiednich Tustanowicach i Drohobyczu odkryto kolejne pola roponośne. W 1903 r. otwarty został szyb „Litwa", który dawał tysiąc ton ropy na dobę! To były niewyobrażalne wielkości w czasach Łukasiewicza. Przypomnijmy, że szyb „Wojciech", dzięki któremu Bóbrka stała się słynna, dawał 240 litrów ropy na dobę…

„Litwa" ustanowiła rekord?

Nie. Szyb „Oil City", zlokalizowany w tym samym rejonie, osiągnął wydajność 2,5 tys. ton ropy naftowej na dobę. Jego żywot był jednak bardzo krótki. „Oil City" został trafiony piorunem i zaczął się palić. Niestety, takie wypadki zdarzały się dosyć często. Gaszenie szybu trwało kilka miesięcy, ale po wszystkim i tak nie nadawał się on do eksploatacji. „Litwa" i „Oil City" pokazały, że naprawdę wielkie złoża znajdują się we wschodniej Galicji. I to tam wielkie firmy zaczęły inwestować ogromne pieniądze. Szybko przełożyło się to na statystyki wydobycia tego surowca. Rok 1909 był szczytowym momentem produkcji. Wydobyto wówczas 2 mln ton ropy. Dla porównania – jeszcze ćwierć wieku wcześniej było to zaledwie ok. 40 tys. ton rocznie. Doszło więc do 50-krotnego wzrostu produkcji!

Jak to się przekładało na światowe statystyki?

Galicja odpowiadała wówczas za ponad 5 proc. światowej produkcji ropy naftowej i znalazła się na trzecim miejscu wśród największych producentów tego surowca. Na pierwszym miejscu była oczywiście Ameryka, druga była Rosja. Nawiasem mówiąc, Polacy odegrali niebagatelną rolę również w rozkwicie rosyjskiego sektora naftowego.

Wygląda na to, że polscy nafciarze mają na swoim koncie kilka ciekawych innowacji.

Polska myśl techniczna zanotowała w tym kontekście duże sukcesy. Polacy mieli spory wkład w udoskonalanie systemu kanadyjskiego. Potem mówiono już nawet o polsko-kanadyjskiej metodzie wiertniczej. Jednak zarówno metoda wolnospadowa, jak i kanadyjska metoda wiertnicza są „suchymi" sposobami wiercenia. Znaczącym postępem było wprowadzenie do wiertnictwa naftowego metody płuczkowej. Jak to działa? W trakcie wiercenia do otworu

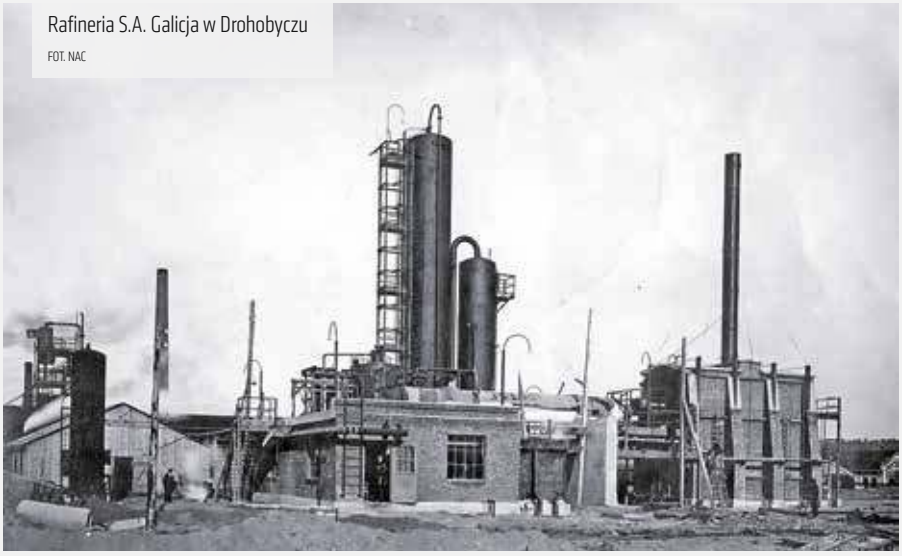

Rafineria S.A. Galicja w Drohobyczu
FOT. NAC

eprasa.pl 340eab0e61

wtłaczany jest płyn, który wynosi na wierzch zwierciny. Było to niebagatelne usprawnienie. W „suchych" metodach należało bowiem robić przerwy w pracy, by wydobyć na wierzch skruszone skały. Był to więc czasochłonny proces. Metoda płuczkowa była nieporównywalnie szybsza, a Polacy wprowadzili tu bardzo ciekawe rozwiązania.

Światowej klasy wynalazcą był Wacław Wolski. Był to inżynier i przedsiębiorca naftowy w jednej osobie. Wolski odegrał ogromną rolę w opracowaniu urządzenia, które do historii techniki przeszło pod nazwą tarana wiertniczego. Było to rewolucyjne rozwiązanie. Wolski wykorzystał w nim zjawisko udaru wodnego. Do otworu wiertniczego tłoczono pod ogromnym ciśnieniem wodę. Jej nagłe zatrzymanie powodowało powstanie zjawiska udaru wodnego, które kruszyło skały. Wolski prezentował swój aparat na wystawach i nawet dostawał za swój wynalazek nagrody. Niestety, to innowacyjne rozwiązanie było zbyt niebezpieczne dla konkurencji. Dwie niemieckie firmy wykupiły od Wolskiego patent na taran wiertniczy za zawrotną sumę 600 tys. marek. Efekt był taki, że wynalazek polskiego inżyniera został schowany do szafy, by nie stanowić zagrożenia dla niemieckich urządzeń wydobywczych.

Czy Galicja dorobiła się własnego Rockefellera?

Mógłbym w tym miejscu wymienić wiele osób, które osiągnęły ogromny sukces w galicyjskim sektorze naftowym, m.in. wspomniany już Wacław Wolski oraz jego wspólnik Kazimierz Odrzywolski czy też Stanisław Jurski, który – nawiasem mówiąc – był pierwszym w Galicji posiadaczem samochodu. Jednak niekwestionowanym królem galicyjskiej ropy był właśnie William Henry MacGarvey. Odnosił się on do Polaków z wielką sympatią, zwłaszcza że jego żoną była Polka, ale początkowo nic nie zapowiadało, że zostanie w Galicji zapamiętany tak dobrze.

Zaczynając w Galicji wiercenia, MacGarvey nie chciał, by ktokolwiek podejrzał, jak to robi. Gdy prowadził prace w Uhercach, kazał nawet otoczyć teren wierceń szczelnym płotem, a pracujący tam robotnicy musieli przysięgać, że nie ujawnią tajemnic systemu kanadyjskiego. MacGarvey zrozumiał jednak po pewnym czasie, że bardziej będzie mu się opłacać współpraca z polskimi przedsiębiorcami. Kanadyjczyk zaczął wykupywać coraz to nowe pola i założył potężną – funkcjonującą jeszcze do niedawna – rafinerię w Gliniku Mariampolskim.

Napełnianie wagonów ropą za pomocą nalewaków, 1910 r. – pocztówka
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Dlaczego ten przybysz z Kanady był tak dobrze oceniany przez mieszkańców Galicji?

Ponieważ dbał o rozwój tych terenów. Podam przykład. Sprzęt wiertniczy i narzędzia do prac na polach naftowych pochodziły z importu. MacGarvey stwierdził, że to nie ma sensu i koniecznie trzeba wytwarzać je na miejscu. Założył więc warsztaty, a następnie fabrykę w Gliniku Mariampolskim. Była to jedna z najważniejszych fabryk w całej monarchii austro-węgierskiej produkujących towary na potrzeby przemysłu naftowego. MacGarvey osiągnął wielki sukces, to do niego należały największe odwierty w Borysławiu. Za jego sprawą utworzono Galicyjskie Karpackie Naftowe Towarzystwo Akcyjne. Oczywiście nie tylko on posiadał w nim udziały. W krótkim czasie firma ta stała się największym w Galicji przedsiębiorstwem naftowym, dzięki któremu mnóstwo ludzi miało tam pracę. MacGarvey „wsiąknął" w społeczność galicyjską i stał się osobą powszechnie lubianą i szanowaną. Nazywano go „naftowym królem".

Niekwestionowanym królem galicyjskiej ropy był William Henry MacGarvey. Odnosił się on do Polaków z wielką sympatią, zwłaszcza że jego żoną była Polka

Nietrudno sobie wyobrazić, że każdy w Galicji chciał zostać drugim MacGarveyem...

Wówczas niemal każdy, kto miał jakieś oszczędności, rzucał się na ropę. Doszło do zupełnie niekontrolowanego rozwoju tego sektora gospodarki. Przypadkowi ludzie kupowali parcele i stawiali na nich szyby, wierząc, że dorobią się dzięki temu kroci. W USA tłumy odważnych ciągnęły na zachód, by się wzbogacić, a u nas ludzie wyjeżdżali na wschód w poszukiwaniu ropy. Banki bardzo chętnie udzielały pożyczek, bo wszystkim, również ostrożnym zazwyczaj finansistom wydawało się, że ropa będzie przynosiła same zyski. Plajta wydawała się niemożliwa. A jednak. Koniunktura się zmieniała, ropę wcale nie było tak łatwo znaleźć i tysiące osób potraciło majątki. Również wspomniany Stanisław Szczepanowski przypłacił tę pogoń za skarbami z wnętrza ziemi utratą majątku, a pośrednio również zdrowia i w efekcie życia. Źródłem jego problemów był ogromny dług w Galicyjskiej Kasie Oszczędności (GKO). W tym okresie Szczepanowski bardziej niż o ropie naftowej myślał o rozwoju górnictwa węgla kamiennego we wschodniej Galicji Węgla nie znalazł, a pieniądze przepadły. W międzyczasie okazało się, że GKO straciła płynność finansową. Skończyło się to katastrofą dla tej instytucji. Takie były

eprasa.pl 340eab0e61

skutki niekontrolowanej akcji kredytowej wywołanej gorączką naftową.

Łukasiewicz miał nadzieję, że dzięki ropie naftowej uda się wyciągnąć Galicję z biedy. Na ile ziściły się marzenia naszego genialnego wynalazcy?

Przemysł naftowy stworzył ogromną szansę dla rozwoju Galicji i w znacznej mierze była to szansa dobrze wykorzystana. Fabryka w Gliniku Mariampolskim była największa, ale mniejszych fabryk zaopatrujących sektor wydobywczy też nie brakowało. Przemysł naftowy nakręcał koniunkturę w całym regionie i pociągał za sobą inne dziedziny gospodarki. Zmiany widać było też w edukacji. We Lwowie w Szkole Politechnicznej powołano katedrę geologii, by stworzyć lepsze zaplecze naukowe do poszukiwań. Niestety, z kopalniami ropy naftowej nie szedł w parze rozwój przemysłu rafineryjnego. Z tego powodu dochodziło w Galicji do klasycznych kryzysów nadprodukcji. W okresie, o którym rozmawiamy, wystąpiły trzy takie załamania. Ropa naftowa tak taniała, że jej wydobycie właściwie przestawało być opłacalne.

Na przełomie wieków XIX i XX, gdy cena ropy naftowej szorowała po dnie, nafciarze galicyjscy szukali nowych rynków zbytu. Nakłaniali przykładowo koleje, by opalać lokomotywy tzw. ropałem, który był tanim półfabrykatem ropy naftowej. Namawiali też właścicieli przeróżnych przedsiębiorstw, by opalali swoje piece właśnie ropą. Zachęcano również do ogrzewania tym paliwem domów i instytucji publicznych.

Branży naftowej z Galicji na pewno nie pomagał tzw. falsyfikat rosyjski. Czym była ta substancja?

„Falsyfikat rosyjski", zwany też „falsyfikatem kaukaskim", był mieszanką zawierającą ponad 90 proc. już przedestylowanej nafty, którą celowo zanieczyszczano ciężkimi olejami. W ten sposób unikano płacenia wysokich ceł, które nakładano na czystą naftę. Rafinerie austriackie i węgierskie dosyć niewielkim nakładem kosztów odzyskiwały z tego naftę, co siłą rzeczy nie mogło się podobać galicyjskim nafciarzom. Naciskali oni w związku z tym na władze galicyjskie i centralne w Wiedniu, by wspierały lokalny przemysł naftowy. Te starania zostały uwieńczone sukcesem. Przedsiębiorcy z Galicji zmusili też władze wiedeńskie do zbudowania nowoczesnej rafinerii w Drohobyczu. Nawiasem mówiąc, Niemcy po rozpoczęciu wojny z Sowietami przejęli ją i korzystali z jej dużego potencjału. W 1944 r. zbombardowali ją Amerykanie, którzy poważnie ją uszkodzili, a w czasach sowieckich instalacja ta nie powróciła już do dawnej świetności.

Przemysł naftowy stworzył ogromną szansę dla rozwoju Galicji i w znacznej mierze była to szansa dobrze wykorzystana

William Henry MacGarvey

FOT. PETROLEUM HISTORY INSTITUTE

W jakiej kondycji galicyjski przemysł naftowy został przejęty przez rodzącą się II RP?

W czasie pierwszej wojny światowej sektor naftowy w Galicji bardzo mocno ucierpiał. Nie tyle chodziło o same działania wojenne, ile o niszczenie instalacji przez wycofujących się Rosjan. Chcieli oni pozostawić za sobą spaloną ziemię. Na pewno wszyscy kojarzą zdjęcia z Kuwejtu po ataku wojsk irackich. Podobnie wyglądała Galicja w czasie pierwszej wojny światowej. Szacuje się, że Rosjanie zniszczyli wówczas ok. 320 szybów naftowych.

Po wojnie doszło do zmiany struktury właścicielskiej. O ile w okresie galicyjskim kapitał był mieszany – sporo było inwestycji niemieckich, austriackich, żydowskich oraz amerykańskich, o tyle po 1918 r. doszło tu do dużych zmian. Państwa ententy przeprowadziły po wojnie przymusowy wykup firm należących do państw centralnych. Francuzi byli na tym polu bardzo aktywni. Należąca do nich grupa kapitałowa Societé Français des Pétroles de Malopolska przejęła zdecydowaną większość spółek wydobywających ropę naftową na terenie byłej Galicji. Połowa kapitału w tym sektorze należała do Francuzów, a ponad 20 proc. do Amerykanów. Polacy jednak bronili swoich praw i już w 1919 r. przyjęli ustawę stanowiącą, że rurociągi i gazociągi mogą należeć jedynie do państwa polskiego. Chlubą polskiego przemysłu naftowego była firma Polmin, do której zresztą należała rafineria w Drohobyczu.

Chyba nie będzie przesadą nazwanie tego przedsiębiorstwa przedwojennym Orlenem? Polmin nie tylko przecież przerabiał ropę naftową, lecz także posiadał sieć stacji benzynowych.

To chyba dobre porównanie. Polmin, tak samo jak dziś Orlen, należał do państwa polskiego. Podlegał jednak bezpośrednio rządowi, a konkretnie Ministerstwu Przemysłu i Handlu.

Polska była wówczas w kwestiach energetycznych w pełni niezależna?

Oczywiście, ale pamiętajmy, że zużycie ropy naftowej było w latach międzywojennych nieporównanie niższe niż dziś, więc nie tak trudno było osiągnąć niezależność. W 1927 r. w całym kraju zapotrzebowanie na benzynę nie przekraczało 40 tys. ton. W latach 30. liczba ta dochodziła już do 100 tys. ton, ale wciąż była to śladowa ilość w porównaniu z dzisiejszymi czasami. Co ciekawe, byliśmy wówczas również niezależni pod względem wydobycia gazu, co dziś brzmi jak marzenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Piotr Franaszek jest wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim, znawcą historii gospodarczej Polski w XIX i XX w., a także autorem wielu prac na temat dziejów galicyjskiego przemysłu naftowego. Profesor Franaszek jest współautorem biografii Ignacego Łukasiewicza.

eprasa.pl 340eab0e61

Szejkowie z Podkarpacia

Wojciech Simon

Historia globalnego przemysłu naftowego początek miała w Polsce. Na przełomie XIX i XX w. znajdująca się pod austriackim zaborem Galicja była jednym z najważniejszych wytwórców bituminów na świecie. A wszystko to dzięki takim genialnym Polakom jak Łukasiewicz, Wolski, Odrzywolski i Szczepanowski

Ropa naftowa. „Pozwala przemieszczać się w mgnieniu oka, dokąd chcesz. Przekształciła przemysł, politykę i handel. Wykreowała sukces Churchilla, sprowadziła klęskę na nazistów i dała majątek Rockefellerowi. To ona rozstrzyga o tym, które państwa są mocarstwami, a które uzależnionymi od mocarstw klientami" – tak o czarnym złocie w książce „Krew cywilizacji. Biografia ropy naftowej" pisał Andrzej Krajewski. Ropa swoją karierę „rozpoczęła w Polsce za sprawą Ignacego Łukasiewicza, pierwszego światowego potentata naftowego" – stwierdza Krajewski. I nie jest to wcale przesada. Pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej otworzyła przecież w Bóbrce w roku 1854 spółka trzech Polaków, w skład której wchodził wybitny polski farmaceuta Ignacy Łukasiewicz. Wcześniej ten właśnie Łukasiewicz opracował genialną technologię rafinacji ropy naftowej i uzyskiwania z niej benzyny, ropy, asfaltu etc. Polscy przemysłowcy wykopali wówczas 60 studni naftowych. W roku 1856 w Ulaszowicach pod Jasłem powstała zaś pierwsza na świecie rafineria ropy naftowej. Łukasiewicz słusznie prognozował bowiem, że w przemyśle naftowym najwięcej zarabiać będą ci, którzy zarówno posiadają własne roponośne działki, jak i mają własne rafinerie i dopracowane systemy sprzedaży swoich produktów.

Zbieracze ropy naftowej spływającej z dużych szybów w Borysławiu

FOT. NAC

GALICYJSKA GORĄCZKA... OLEJU SKALNEGO

Oczywiście ciemna, tłusta maź, która spływała potokami i wypełniała rowy oraz kałuże w wielu miejscach Polski, znana jako olej skalny lub skałoolej, na Podkarpaciu wykorzystywana była od wieków. Miejscowi zbierali ją za pomocą wierzbowych gałązek. Robili z nich preparaty do leczenia schorzeń skórnych, leki dla bydła i owiec, smarowidła do wozów i zawiasów drzwi, impregnaty do drewna czy smary do uszczelniania łodzi. Tak zwaną kipiączką nasączano również pochodnie i kaganki służące do oświetlania izb.

Po sukcesie kopalni Łukasiewicza w jego ślady szybko poszło więc wielu innych inwestorów, błyskawicznie dając Galicji – będącej wówczas jednym z najbardziej zacofanych zakątków tej części Europy – szansę na ogromny cywilizacyjny skok. Gorączka czarnego złota wybuchła w okolicach Gorlic, a także na wschodzie regionu, w pobliżu Borysławia i Drohobycza. W cieniu kolejnych szybów, które wyrastały jak grzyby po deszczu, błyskawicznie powstały również nowe drogi, mosty, szkoły, szpitale i modernistyczne wille. Fortun dorabiali się inwestorzy, ale szybko bogacili się nawet miejscowi chłopi, którzy dotąd skazani byli na klepanie biedy i jadłospis oparty głównie na ziemniakach.

Ignacy Łukasiewicz zatrudniał wiele osób, unowocześnił również sposób wydobycia ropy – np. zastępując ręczne kopanie naftowych szybów innowacyjnym jak na owe czasy świdrem na żerdziach. Pracował również nad coraz bezpieczniejszymi rafinerami (jeden z jego zakładów strawił bowiem potworny pożar), wyznaczając standardy dla współczesnych techników naftowych nie tylko na terenie Galicji.

Do Galicji szybko zaczęli więc ściągać poszukiwacze ropy z całego świata. Wśród nich William MacGarvey z Kanady czy John Bergheim z Wielkiej Brytanii, którzy do Galicji przywieźli nowoczesną technikę wiercenia udarowego. Rozwój technologii

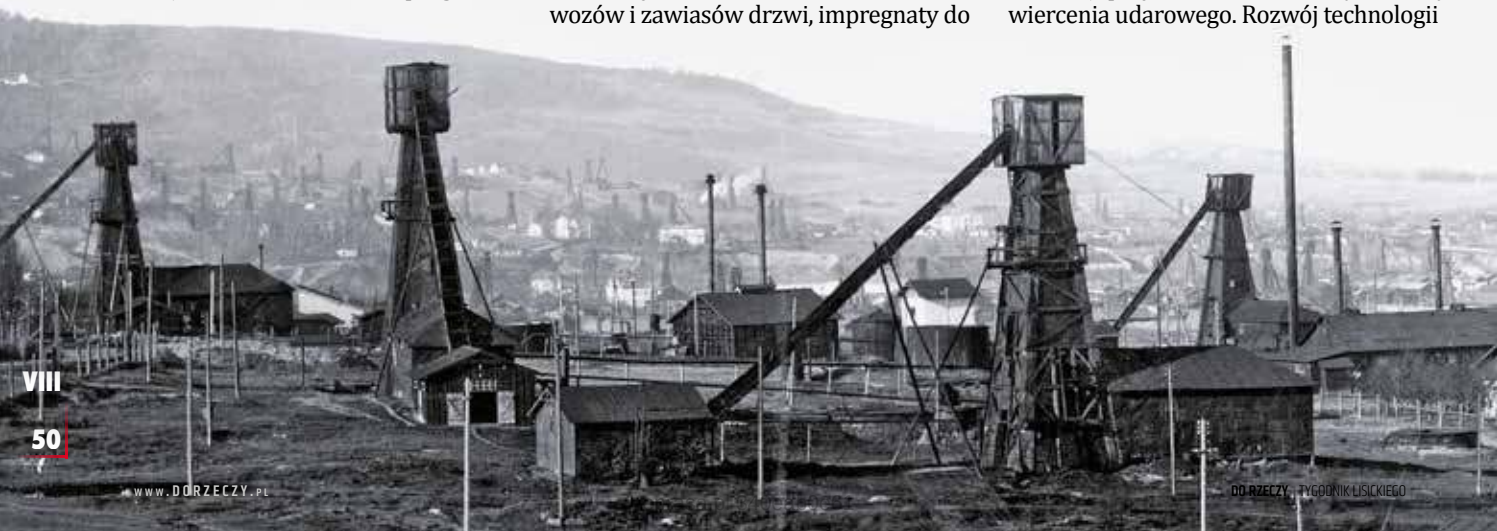

dawał nadzieję na większe zyski. Nie żałowano więc pieniędzy na zdobycie wiedzy i nowe projekty. Polski inżynier i wynalazca Wacław Wolski wymyślił tzw. świder ekscentryczny, dzięki któremu choć przez rury przedostawało się dłuto o średnicy mniejszej od rur zabezpieczających, to sam otwór był od tych rur szerszy. Wynalazek umożliwiał zwiększenie głębokości odwiertu z ok. 400 m do ponad 1 km.

Jeszcze większą sławę przyniósł Wolskiemu tzw. taran hydrauliczny, jedno z najbardziej zaawansowanych technologicznie urządzeń stosowane w przemyśle naftowym pod koniec XIX w.

Woda pod wysokim ciśnieniem, wynoszącym ok. 14,5 atmosfery, uderzała od sześciu do dziesięciu razy na sekundę w narzędzie wiercące, gwałtownie popychając stalowy trzon z narzędziem wiertniczym coraz głębiej i głębiej. Technologia wyprzedzała swoje czasy tak bardzo, że prowadziła do nadprodukcji surowca – były to bowiem czasy, gdy ropa naftowa nie była jeszcze potrzebna do napędzania samochodów. Wacław Wolski wpadł również na pomysł użycia gazu ziemnego do wypychania ropy w miejscach, gdzie niemożliwy był jej samoistny wypływ. Jak czytamy na stronie Wirtualnego Muzeum Gazownictwa, „jako jeden z pierwszych (a być może nawet pierwszy) inżynier na świecie" prowadził również próby skraplania gazu ziemnego. Ten pomysł też wyprzedzał epokę, ponieważ popyt na gazolinę pojawił się na rynkach dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Największy wkład w rozwój przemysłu naftowego w Galicji miał jednak Stanisław Szczepanowski – ekonomista i chemik z dyplomami uczelni paryskiej i londyńskiej, który w latach 80. XIX w. zbił majątek, eksploatując w Słobodzie Rungurskiej złoża ropy tak potężne, że nie starczało beczek do jej transportu.

W latach 80. Szczepanowski otworzył pierwszą w regionie fabrykę maszyn

Glinik Mariampolski – dzielnica Gorlic z jedną z trzech największych w Galicji rafinerii ropy, 1912 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

górniczych, a także uruchomił w Peczeniżynie nowoczesną rafinerię połączoną kilkunastokilometrowym rurociągiem ze Słobodą Rungurską. Jak zauważają Koper i Stańczyk w swej książce „Ostatnie lata polskich kresów", rafineria w Peczeniżynie była trzecim pod względem wielkości zakładem w Europie (po rafineriach w Budapeszcie i Rijece).

„Zanim Szczepanowski odkrył Słobodę Rungurską, mierzyło się ropę u nas na garnce, od czasu Słobody liczyliśmy produkcję na baryłki, od czasu zaś, gdy Szczepanowski odkrył Schodnicę, liczy się już tylko na wagony" – tłumaczył naftowy magnat Władysław Długosz.

Gdy w latach 90. na wschodzie Galicji odkryto jeszcze potężniejsze złoża niż na zachodzie, w regionie błyskawicznie wyrosło Borysławsko-Drohobyckie Zagłębie Naftowe. W krajobrazie Borysławia, oddalonego o kilkanaście kilometrów Drohobycza czy pobliskich Tustanowic dominujący stał się las drewnianych wież wiertniczych. Tylko w okolicach Borysławia liczbę szybów w szczytowym momencie naftowego eldorado szacuje się na 4 tys.

„Kiedy nocą się szło po Borysławiu, syk pary i poddudnianie tłoków towarzyszyły ci na każdym kroku, a szyby wiertnicze obwieszone były lampkami jak choinki, nad miastem była łuna gwiazd i lamp, i rozjaśnionych słupów pary" – pisał Andrzej Chciuk w książce „Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku".

Wiele było przypadków karier w stylu od pucybuta do milionera. „Galicyjski sen" nie każdemu przynosił jednak szczęście i fortunę. Ze względu na często wybuchające pożary oraz wybuchy, a także zwodnicze tereny, narażające inwestorów na różnego rodzaju ryzyko, niektóre fortuny upadały czasem tak samo szybko, jak powstały. Wielu traciło oszczędności życia, inwestując w niewielkie działki, które nawet w okolicach Borysławia nie zawsze musiały być bogate w roponośne złoża.

ZMIERZCH ELDORADO

Przed pierwszą wojną światową, w 1909 r., Galicja była trzecim producentem ropy na świecie po Stanach Zjednoczonych oraz Rosji, z wydobyciem przekraczającym 2 mln ton (sic!). Tylko szyb Wilno dawał 400 ton na dobę, szyb Litwa – 800 ton, a z kopalni Oil City wywożono każdej doby 2,5 tys. ton surowca. Tak ogromna nadprodukcja doprowadziła do drastycznego spadku cen, przez co czarne złoto przez pewien czas było tańsze nawet niż woda używana przy jego wydobyciu.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej surowiec zaczął się wyczerpywać. A gdy znaczenie regionu na mapie największych producentów ropy zaczęło maleć, skończył się również naftowy boom na Podkarpaciu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:
Boryń M., Duraj B., Chodubski A. (red.), „Historia polskiego przemysłu naftowego", Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2014.
Chciuk A., „Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku", Wydawnictwo LTW 2015.
Koper S., Stańczyk T., „Ostatnie lata polskich kresów", Fronda, Warszawa 2020.
Krajewski A., „Krew cywilizacji. Biografia ropy naftowej", Wydawnictwo MANDO, Kraków 2018.
Rymar L., „Galicyjski przemysł naftowy", Kraków 1915.
Wacław Wolski, Wirtualne Muzeum Gazownictwa, wmgaz.pl.
Wolwowicz R. (red.), „Historia polskiego przemysłu naftowego", Brzozów-Kraków 1995.

Kopalnia ropy naftowej w Tustanowicach
FOT. NAC

Ignacy Łukasiewicz, 1884 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rockefeller spod Rzeszowa

Wojciech Simon

Filantrop, patriota, konspirator, a przede wszystkim wizjoner i jedna z najwybitniejszych postaci nie tylko polskiej, lecz także światowej nauki. To również znakomity przemysłowiec, który zmienił bieg historii, przyspieszył naftową rewolucję i stworzył w Polsce nowoczesne zagłębie naftowe

Polski Sejm ustanowił 2022 r. Rokiem Ignacego Łukasiewicza, ponieważ akurat w tym roku przypada 200. rocznica urodzin patrona przemysłu naftowego i gazowniczego. To dzięki niemu, jego wizjonerskim projektom oraz uporowi w dążeniu do celu ludzkość cieszy się obecnie nie tylko benzyną, lecz także tworzywami sztucznymi, smarami oraz wszelkimi pochodnymi ropy naftowej. Jako utalentowany farmaceuta Łukasiewicz dowiódł, że czarne złoto może mieć wiele różnych zastosowań. Może być więc postrzegany jako wzór naukowca, który potrafi przekuwać wiedzę i wyniki eksperymentów na praktyczne wynalazki, służące rozwojowi ludzkości.

TRUDNE POCZĄTKI

Urodzony w małej wsi Zaduszniki nad Wisłą Łukasiewicz nie miał prostej drogi do majątku i sławy. Pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej. W domu powstańca kościuszkowskiego było tak biednie, że wyraźnie uzdolniony Ignacy musiał przerwać naukę w gimnazjum ojców pijarów, porzucić marzenia o kontynuowaniu nauki już po skończeniu czterech klas i w wieku 14 lat zacząć pracować, aby zarobić na swoje utrzymanie. Na szczęście dla przemysłu naftowego pracę znalazł jako praktykant w aptece Antoniego Swobody w Łańcucie, a cztery lata później – już po zdaniu egzaminu tyrocynalnego – jako pomocnik aptekarski w Rzeszowie. Apteka w większym mieście dawała mu większe możliwości rozwoju i zarobku, co było tym ważniejsze, że Ignacy wspomagał finansowo swoją rodzinę. W Rzeszowie skontaktował się również z tajną organizacją patriotyczną. Został agentem Edwarda Dembowskiego, emisariusza Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. W 1846 r. siatkę spiskowców rozbito, a Łukasiewicz został wraz z innymi polskimi patriotami aresztowany i oskarżony o nielegalną działalność wymierzoną przeciwko austriackiemu zaborcy.

Po wyjściu z ciężkiego więzienia „u karmelitów" długo poszukiwał pracy. W końcu znalazł zatrudnienie w największej we Lwowie aptece Pod Złotą Gwiazdą Piotra Mikolascha, która słynęła ze świetnego wyposażenia oraz przeprowadzania analiz chemicznych zarówno do celów wojskowych, jak i gospodarczych. Na początku lat 50. XIX w. przerwał pracę, aby pójść na wymarzone studia. Nauki pobierał najpierw we Lwowie, następnie na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie – uczył się tam tak pilnie, że dwuletni program zaliczył w rok – a ostatni semestr ukończył na Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie przedłożył pracę dyplomową „Baryta et Anilinum" i uzyskał tytuł magistra farmacji.

Po powrocie do apteki we Lwowie dostał awans na prowizora i nowe polecenie od swojego szefa: miał sprawdzić, czy i jak można w farmacji wykorzystać ropę naftową. Do apteki Piotra Mikolascha, słynącego z umiłowania do najnowszych odkryć – to w jego aptece wyprodukowano pierwszą w Galicji wodę sodową – zgłosili się bowiem żydowscy kupcy, którzy sprzedali mu beczułki z „borysławskim rafinatem", tłumacząc, że z występującej na Podkarpaciu ropy można

eprasa.pl 340eab0e61

łatwo i tanio wydestylować przezroczysty płyn, który przypominał spirytus.

Na zapleczu ze starszym Janem Zehem Ignacy Łukasiewicz zaczął więc prace nad oczyszczeniem ropy naftowej. Udało im się otrzymać substancję przypominającą drogi włoski preparat wykorzystywany do leczenia chorób skórnych – „Oleum Petrae album". Licząc na bardzo godziwy zarobek panowie Mikolasch, Zeh i Łukasiewicz założyli więc spółkę mającą handlować nowym preparatem, ale zamówień i przychodów było o wiele mniej, niż się spodziewali. Na szczęście komercyjny zawód nie zniechęcił badaczy do kontynuowania eksperymentów. W roku 1852 Zeh i Łukasiewicz jako pierwsi na świecie przeprowadzili destylację ropy metodami naukowymi. Za pomocą frakcjonowanej destylacji w temperaturze 200–250 st. C uzyskali naftę oczyszczoną na tyle, że była niemalże bez zapachu i miała jasnobrązową barwę. Nie był to co prawda spirytus, ale nafta była pozbawiona lekkich benzyn i oddzielona od ciężkich węglowodorów, dzięki czemu spalała się mocnym, jasnym płomieniem, a jej spalaniu nie towarzyszył czarny, gryzący dym. Co ważne, nowa substancja była tańsza zarówno od oleju, jak i od kamfiny, które były wówczas używane w lampach oświetleniowych.

Przełomowe dla przemysłu osiągnięcie sprawiło, że już 30 marca 1853 r. w oknie wystawowym apteki Łukasiewicz zapalił lampę naftową. I chociaż do dziś jego biografowie toczą spory, czy było to okno apteki Pod Złotą Gwiazdą we Lwowie czy może jednak apteki w Gorlicach – gdzie Łukasiewicz również pracował i destylował ropę oraz pracował nad konstrukcją nowych lamp – to nie ma wątpliwości, że była to pierwsza lampa naftowa na świecie.

Znaczenie tego wynalazku dla życia ludzi było ogromne. Lampy naftowe wpłynęły nie tylko na lepszy komfort życia, lecz także na bezpieczeństwo oraz zdrowie mieszkańców miast. Zaledwie cztery miesiące po rozpaleniu lampy naftowej w oknie apteki, 31 lipca lampy nowej konstrukcji – było to konieczne, bo stosowane do tej pory lampy oliwne wybuchały przy próbie spalania nafty – wykorzystano do oświetlenia szpitala we Lwowie i przeprowadzenia pierwszej nocnej operacji chirurgicznej. Ogromny sukces zainspirował Łukasiewicza do dalszych prac nad możliwościami zastosowania ropy naftowej, a dzień 31 lipca 1853 r. przyjmuje się za symboliczną datę narodzin polskiego przemysłu naftowego. W drugiej połowie XIX w. lampy naftowe tak bardzo się zaś rozpowszechniły, że stanowiły najpopularniejszy i stosunkowo tani sposób oświetlania domów i izb mieszkalnych.

W dużych kubłach zwożono na dno kopanki górników. Szyby kopane umacniano drewnem, do ich wentylacji stosowano tzw. lutnie, a więc ręczne wentylatory wtłaczające powietrze

PIERWSZA NA ŚWIECIE KOPALNIA ROPY

Właściciel apteki – Piotr Mikolasch – nie był zainteresowany prowadzeniem dalszych eksperymentów z ropą. Zeh założył zaś we Lwowie własny sklep z produktami naftowymi. Pod Drohobyczem zbudował niewielką destylarnię. Porzucił jednak przemysł naftowy i powrócił do farmacji, gdy w tragicznym pożarze sklepu, wywołanym przez podrzucony przez kogoś niedopałek, zginęły jego 21-letnia żona i szwagierka.

Prototyp lampy naftowej skonstruowanej przez Ignacego Łukasiewicza FOT. PIOTRUS/WIKIPEDIA/CC-BY-SA-3.0

Ignacy Łukasiewicz przeniósł się do Gorlic, gdzie miał w dzierżawie aptekę. Jednocześnie nadal prowadził eksperymenty związane z ropą, destylacją i ulepszaniem konstrukcji lamp naftowych. Dzięki polskiemu wynalazcy w grudniu 1853 r. Gorlice rozświetlił blask pierwszej na świecie lampy ulicznej. W roku 1854 Łukasiewicz – za namową Tytusa Trzecieskiego – założył spółkę zajmującą się eksploatacją złoża w Bóbrce niedaleko Krosna. W tym samym roku zaczęła więc działać pierwsza na świecie spółka naftowa, która zbudowała – pierwszą na świecie – kopalnię oleju skalnego (jak wówczas nazywano ropę). Polakom udało się aż o pięć lat wyprzedzić amerykańskich konkurentów. Pułkownik Edwin Laurentine Drake pierwszy szyb naftowy w Stanach Zjednoczonych, a dokładniej w Titusville w Pensylwanii, uruchomił bowiem dopiero w kwietniu roku 1859.

Łukasiewicz nie miał wątpliwości, że wydobywana przez niego substancja ma ogromną wartość. „Olej skalny to przyszłe bogactwo kraju, to dobrobyt i pomyślność dla jego mieszkańców, to źródło zarobków dla biednego ludu i nowa gałąź przemysłu, która obfite zrodzi owoce" – mówił w 1854 r. Ignacy Łukasiewicz, cytowany przez biografa Jana Dębskiego. Sposoby wydobycia tego bogactwa początkowo były bardzo prymitywne. W miejscach, gdzie obserwowano obfite wycieki oleju skalnego, kopano bowiem rowy, z których ropę czerpano wiadrami. Aby polepszyć efektywność wydobycia, zaczęto kopać studnie. Nad nimi umieszczano wysokie na siedem metrów drewniane trójnogi, służące do obsługi drewnianych wiader, za pomocą których wyciągano zmieszaną z wodą ropę. Z czasem w dużych kubłach zwożono na dno kopanki górników. Szyby kopane umacniano drewnem, do ich wentylacji stosowano tzw. lutnie, a więc ręczne wentylatory wtłaczające powietrze.

Łukasiewicz jako dyrektor kopalni nieustannie pracował nad doskonaleniem technik wydobycia. W 1862 r. w kopalni ruszyła więc specjalna ręczna wiertnica, a następnie – w roku 1867 – wiertnice napędzane przez maszyny parowe (w tej kwestii Amerykanie okazali się szybsi, bo napęd parowy do odwiertów zaczęli wykorzystywać już w roku 1859). Wiertnice udarowe

eprasa.pl 340eab0e61

dzięki zastosowaniu nożyc wolnospadowych Fabiana pozwalały kruszyć skały na dnie otworu wiertniczego i wydobywać ropę z głębokości do 150 m. Z kolei zastosowanie napędu parowego nie tylko eliminowało konieczność angażowania wielu robotników, lecz także pozwalało na kopanie jeszcze głębiej, a więc na głębokości sięgającej aż 240 m.

W latach 1868–1881 z inicjatywy Ignacego Łukasiewicza powstało kilka nowych kopalni ropy w Beskidzie Dukielskim: Ropianka, Wilsznia, Smereczne, a także w Gorlickim: Ropa i Wójtowa. Łukasiewicz wybudował również destylarnie w Ulaszowicach oraz w Klęczanach niedaleko Nowego Sącza. Jego produkty – kamfina (używany w lampach czysty olejek terpentynowy zmieszany z alkoholem), gudrina (rodzaj parafiny), smarowidła do wozów, oleje do maszyn, asfalt oraz świece parafinowe – były niezwykle wysokiej jakości. Wyroby z polskich destylarni zdobyły więc uznanie nie tylko we Lwowie czy w Krakowie, lecz także podczas Międzynarodowej Wystawy w Wiedniu.

W 1880 r. Łukasiewicz został pierwszym prezesem Krajowego Towarzystwa Naftowego. Pod koniec życia parał się również polityką jako poseł do Sejmu Galicyjskiego. Był autorem projektu ustawy uchwalonej przez Sejm Krajowy w roku 1862, na mocy której olej skalny oraz wosk ziemny przestały być własnością państwa.

PRZEDSIĘBIORCA I SPOŁECZNIK

Łukasiewicz stał się tak sławny, że ściągali do niego żądni wiedzy o nafcie rafinerzy nie tylko z całej Europy, lecz także ze Stanów Zjednoczonych. Dom polskiego naukowca odwiedzili m.in. wysłannicy słynnego króla nafty Johna Davisona Rockefellera, z którymi Polak – przekonany, że jego wiedza nie należy do niego, ale do całej ludzkości – bezpłatnie podzielił się „know-how" dotyczącym wszystkich etapów procesu destylacji ropy. W zamian poprosił jedynie amerykańskich delegatów o to, aby część przyszłych dochodów przeznaczali na cele charytatywne. Z jego wiedzy korzystał również znany austriacki potentat naftowy Gustav Wagemann.

Łukasiewicz był nie tylko wybitnym naukowcem, lecz także zdolnym przedsiębiorcą, sprawnie wykorzystującym możliwości wielkich zarobków, jakie już na przełomie XIX i XX w. dawała ropa naftowa. Podobnie jak Rockefeller zdolny Polak również zbił fortunę na czarnym złocie. Z prywatnych pieniędzy finansował programy walki z alkoholizmem, budowę szpitali, szkół oraz remonty infrastruktury drogowej. Wraz ze swoim wspólnikiem – Karolem Klobassą-Zrenckim – ufundował również kościół w stylu neogotyckim w miejscowości Zręcin w gminie Chorkówka z okazałą, wysoką na 56 m wieżą. Dbał również o los swoich pracowników. Zakładał kasy zapomogowe oraz tzw. kasy brackie oferujące swego rodzaju system ubezpieczeń społecznych i wypłacające pieniądze robotnikom w razie inwalidztwa lub ciężkiego zachorowania. Łukasiewicz zapewniał swoim pracownikom opiekę medyczną – co w XIX w. nie było wcale częste – a po 20 latach pracy wypłacał im nawet swoistą emeryturę.

Działalność charytatywna Ignacego Łukasiewicza zyskała taki rozgłos w Europie, że ówczesny papież Pius IX odznaczył go za nią Orderem św. Grzegorza, a w 1873 r. nadał nafciarzowi z Polski tytuł Szambelana Papieskiego. Pracowników oraz okolicznych mieszkańców Łukasiewicz traktował na tyle dobrze, że znany był po prostu jako ojciec Ignacy. Gdy zaś 7 stycznia 1882 r. zmarł w wyniku ciężkiego zapalenia płuc, na jego pogrzeb przyszły tłumy pogrążonych w żałobie ludzi.

W 2018 r. pierwsza na świecie kopalnia ropy w Bóbrce – która jest dziś częścią Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza – została rozporządzeniem prezydenta uznana za pomnik historii i świadectwo polskiej sztuki inżynierskiej.

Kopalnia ropy naftowej w Borysławiu, okres między 1880 a 1939 r. FOT. NAC

Łukasiewicz był nie tylko wybitnym naukowcem, lecz także zdolnym przedsiębiorcą, sprawnie wykorzystującym możliwości wielkich zarobków, jakie dawała ropa naftowa

Aparat destylacyjny z apteki Ignacego Łukasiewicza w Gorlicach FOT. MUZEUM REGIONALNE PTTK IM. IGNACEGO ŁUKASIEWICZA W GORLICACH

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:
Bonusiak W., „Życie i działalność Ignacego Łukasiewicza", Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego 1985.
Brzozowski S, „Ignacy Łukasiewicz", Wydawnictwo Interpress 1974.
Krajewski A., „Krew cywilizacji. Biografia ropy naftowej", Mando 2018.

eprasa.pl 340eab0e61

Niezwykłe odkrycia „polskiego Nobla”

Jacek Przybylski

Witold Zglenicki zapisał się na kartach historii nie tylko jako inżynier, który opracował pierwszą na świecie platformę wiertniczą, lecz także jako filantrop, który zapisał polskiej nauce testament o wartości większej od kapitału fundacji noblowskiej, a także przewyższający zapisy królowej św. Jadwigi na odnowienie Akademii Krakowskiej

Baku. Stolica i największe miasto Azerbejdżanu, a jednocześnie największy i najstarszy port na Morzu Kaspijskim. Sto lat temu nie było na świecie większego ośrodka wydobycia ropy naftowej. Marzenia o gigantycznych dochodach ukrytych na roponośnych polach pomógł współczesnym zrealizować polski inżynier Witold Zglenicki. Nazywany jest „ojcem bakijskiej nafty”, ponieważ to właśnie on, zainspirowany wynalazkami Ignacego Łukasiewicza, w 1896 r. opracował nowe urządzenia do wydobycia ropy, w tym pierwszą na świecie platformę wiertniczą. Wynalazek kluczowy dla gospodarczego rozwoju ludzkości. Platformy wiertnicze bowiem – jak zauważyli na łamach książki „25 polskich wynalazców i odkrywców, którzy zmienili świat” Andrzej i Irena Fedorowiczowie – zapewniają obecnie jedną trzecią całego wydobycia ropy naftowej platform wiertniczych, bez którego nasza

Witold Zglenicki FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 340eab0e61

cywilizacja nie przetrwałaby obecnie nawet miesiąca.

TALENT I DETERMINACJA

Witold Leon Julian Zglenicki urodził się 6 stycznia 1850 r. we wsi Wargawa Stara w bogatej ziemiańskiej rodzinie polskich patriotów. Jego rodzice starannie pielęgnowali narodowe tradycje. W domu noszono zarówno kontusze oraz żupany, jak i przypięte u pasa szlacheckie szable. Jednocześnie dbano o staranne wykształcenie dzieci. Jako jeden z lepszych uczniów Witold Zglenicki skończył więc prestiżowe Gimnazjum Gubernialne w Płocku. Ze świetnym wynikiem ukończył też studia na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Szkoły Głównej Warszawskiej oraz – znów jako wybitny student – w Instytucie Górniczym w Petersburgu, gdzie uczył się pod okiem samego prof. Dymitra Mendelejewa.

Zanim Zglenicki rozpoczął epokę podmorskiego wydobycia ropy naftowej nad Morzem Kaspijskim i zamienił Baku w naftowy raj, pracował m.in. w Mroczkowie koło Skarżyska-Kamiennej oraz w urzędzie probierczym w Rydze. Do Baku wyjechał dopiero w 1891 r. Już wówczas było to miasto, którym interesowali się znani światowi przemysłowcy, łaknący wielkich zysków z czarnego złota, a jednocześnie było to miejsce owiane złą sławą, w którym stosowano prymitywne, niebezpieczne i mało efektywne metody wydobycia ropy. Surowiec wydobywano np. z kopanych ręcznie studzien lub z prymitywnych szybów naftowych.

Dopiero polski inżynier, pracując nad możliwie jak najbardziej bezpiecznymi i opłacalnymi wynalazkami do eksploatacji roponośnych złóż, przekształcił to miasto w największy na świecie ośrodek wydobycia ropy naftowej. To on skonstruował m.in. aparat do pomiaru odchyleń i krzywizn szybów, co umożliwiło nie tylko bezpieczniejsze wydobycie drogocennego surowca – poprzez ograniczenie tzw. dzikich wybuchów oraz pożarów ropy i gazu – lecz także o wiele szybsze tempo wierceń. Jego innowacje pozwalały również m.in. na wykonywanie głębszych odwiertów i pozyskiwanie surowca ze złóż położonych na znacznej głębokości.

Dzięki nowym wynalazkom i ogromnym inwestycjom takich przemysłowców jak bracia Alfredowie, bracia Noblowie czy rodzina Rothschildów w 1901 r. w Baku wydobyto aż 11 mln ton ropy, co stanowiło mniej więcej połowę całej globalnej produkcji tego surowca. Na światowym podium największych potęg naftowych były wówczas jeszcze Stany Zjednoczone (z drugą lokatą) oraz – dzięki projektom Ignacego Łukasiewicza – polska Galicja.

Pole naftowe z szybami wiertniczymi i rafinerią w Baku, 1903 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Jeszcze pod koniec XIX w. jego badania pokazały, że na działkach położonych bliżej morza znajdują się bogatsze złoża czarnego złota. Pływając po Morzu Kaspijskim i analizując wybuchy gazowo-błotnych podwodnych wulkanów, polski inżynier kreślił mapy z lokalizacjami złóż i rozwijał pomysł wydobycia ropy z dna morskiego za pomocą szybów naftowych stawianych na wodoszczelnych platformach o wysokości 2,5 m.

Swój pomysł – powszechnie uważany w ówczesnych czasach za szalony – odważny naukowiec zaprezentował pod koniec XIX w., podczas zebrania członków Rosyjskiego Towarzystwa Technicznego. Nie udało mu się wówczas zarazić innych entuzjazmem odnośnie do swego projektu. Pomysł uznano, co prawda, za ciekawy, ale jednocześnie za zbyt kosztowny i w praktyce niewykonalny bezpośrednio znad powierzchni morza. Nie zmienia to faktu, że dezyderat złożony urzędowo przez Zglenickiego 29 lipca 1986 r. zawierał pierwszy w historii ludzkości projekt budowy platformy wiertniczej na pełnym morzu wraz ze szczegółowym opisem sposobu załadunku wydobytego surowca na barki naftowe lub potężne żelazne tankowce.

Badający sprawę eksperci Komisji Technicznej ds. Ochrony Bakińskiego Przemysłu Naftowego doszli wówczas do wniosku, że jedynym sposobem byłoby zasypanie przybrzeżnej części Baku… Zglenicki nie poddawał się jednak i doskonalił projekt wydobycia ropy za pomocą instalacji umieszczonych na wieżach wiertniczych, jednocześnie dokonując szczegółowych analiz dotyczących opłacalności tej formy wydobycia. Podczas samotnych wypraw po stosunkowo płytkiej Zatoce Bibi-Ejbatskiej oraz po poszukiwaniach prowadzonych na wyspach Archipelagu Apszerońskiego przygotował również niezwykle dokładne plany ponad 160 działek morskich i oszacował zasobność znajdujących się na ich terenie złóż naftowych.

Polski naukowiec wyodrębnił i szczegółowo opisał ponad 30 rejonów geograficznych. W swych opracowaniach zauważył również, że wulkany błotne mogą wskazywać na miejsca występowania bogatych złóż ropy naftowej. Jego naukowe osiągnięcia przyniosły mu rozgłos na całym świecie. Za prace geologiczne prowadzone na terenie Persji został nagrodzony najwyższym odznaczeniem przez perskiego szacha. Mozaffar ad-Din Szah Kadżar przyznał mu Order Lwa i Słońca. Jako dowód uznania dla swych zasług w Baku otrzymał zaś od władz rosyjskich dwie działki roponośne w okolicy Surachan, a także działkę morską nr 29 w okolicy zatoki Bibi-Ejbat.

WIELKI MAJĄTEK DLA POLSKIEJ NAUKI

Jeszcze zanim ukończono prace nad wydobywaniem ropy z morskiego dna w 1901 r., Witold Zglenicki dowiedział się, że cierpi na nieuleczalną w owych czasach chorobę – cukrzycę. Już wówczas polski inżynier wydawał duże kwoty na działalność charytatywną. Wspierał budowę kościoła rzymskokatolickiego pw. Najświętszej Maryi Panny w Baku, a także projekt budowy wodociągów w mieście.

eprasa.pl 340eab0e61

Trzy lata później inżynier, który potrafił nie tylko pracować nad nowymi wynalazkami i mapami, lecz także zręcznie rozbudowywać swój majątek, postanowił, że większość przyszłych dochodów z pól roponośnych – po zaspokojeniu potrzeb swojej życiowej partnerki i nieślubnego syna – przekaże na rozwój nauki. Zostawił więc zapis testamentowy, w którym dochody uzyskane z eksploatacji swojej działki polski inżynier przekazywał działającej na rzecz rozwoju nauki w Polsce Kasie im. Józefa Mianowskiego w Warszawie (jej patron, były rektor prestiżowej Szkoły Głównej Warszawskiej, był szczególnie bliski sercu polskiego inżyniera). Zgodnie z paragrafem ósmym testamentu procenty od kapitału miały być przeznaczane na nagrody za „najlepsze dzieła dotyczące ogólnoeuropejskiej literatury, sztuki i nauki, w rodzaju noblowskich nagród". Zglenicki nawiązał do noblowskich nagród, bo z Alfredem Noblem miał w Baku nieraz okazję spotkać się osobiście.

Zglenicki zmarł 6 października 1904 r. w Baku i zgodnie ze swoją wolą został przewieziony salonką do Warszawy i pochowany w rodzinnej ziemi obok rodziców i brata Bolesława w Woli Kiełpińskiej, niedaleko podwarszawskiego Zegrza. W miejscowości tej działa też szkoła nazwana jego imieniem.

Zapis testamentowy twórcy bakijskiego imperium naftowego miał na początku XX w. tak wielką wartość, że nie tylko przewyższał kapitał fundacji noblowskiej, lecz także – jak zauważył Marek Zawadzki, prezes Fundacji Nauki Polskiej im. Witolda Zglenickiego w artykule zamieszczonym na stronie ambasady RP w Azerbejdżanie – przerastał […] zapisy królowej św. Jadwigi na odnowienie Akademii Krakowskiej czy też jej ufundowanie w XIV w. przez króla Kazimierza Wielkiego.

Zyski z należących do zmarłego polskiego inżyniera działek szybko rosły, przez co coraz większe wpływy od dzierżawców odnotowywała również Kasa im. Mianowskiego. Z wypłacanych przez nią pieniędzy korzystali m.in. Maria Konopnicka, Oskar Kolberg, Samuel Adalberg czy Maria Skłodowska-Curie. Kasą czy – jak współcześnie byśmy powiedzieli – „fundacją" kierowali zaś tak znani Polacy jak Tytus Chałubiński (słynny lekarz, profesor patologii, botanik oraz wybitny badacz tatrzańskiej przyrody i twórca Towarzystwa Tatrzańskiego), pisarze Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus.

Przez krótki czas ogromne kwoty, które wpływały do Kasy – w roku 1911 było to ponad 185 tys. rubli, a w roku 1912 już ponad 470 tys. rubli – przewyższały nawet potrzeby przedwojennej polskiej nauki. Tak ogromnego wsparcia finansowego ze strony jednego mecenasa polska kultura, sztuka i nauka nie otrzymywały nigdy wcześniej i nigdy później. Stąd też inżynier Witold Zglenicki zyskał u potomnych przydomek Polski Nobel.

Niestety, najpierw pierwsza wojna światowa, a następnie przewrót komunistyczny w Baku i utworzenie Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej uniemożliwiły dalszą realizację testamentu wielkiego polskiego naukowca, bo pola naftowe zostały przez komunistów wywłaszczone bez odszkodowania. Chociaż działania w tej sprawie podejmowały zarówno polski rząd, jaki i zarząd Kasy, która w latach 50. XX w. została oficjalnie rozwiązana. Obecnie znacjonalizowane działki Zglenickiego należą do azerskiego państwowego przedsiębiorstwa, a ich rynkowa wartość szacowana jest na kilka miliardów dolarów. Szanse na ich odzyskanie wydają się jednak nikłe.

CZŁOWIEK Z PRZYSZŁOŚCI

Marlena Strojecka i Mirosław Pakuła – w książce wydanej z okazji 170. rocznicy urodzin Witolda Zglenickiego – podkreślają, że polski wizjoner i propagator nauki był wyjątkowo zdolnym badaczem i wyjątkowo zaradnym przedsiębiorcą, więc gdyby nie przedwczesna śmierć,

Współczesna platforma wiertnicza
FOT. ADOBE STOCK

Dzięki dogłębnym badaniom i śmiałym pomysłom polskiego inżyniera udało się wówczas wyprzedzić Amerykanów

byłby zapewne w stanie dorównać takim potentatom jak bracia Noblowie czy rodzina Rotschildów.

Zanim władze w Baku zdecydowały się zrealizować pomysł genialnego polskiego inżyniera, próbowano zasypać Zatokę Bibi-Ejbatską, co pozwoliłoby na wydobycie ropy ze sztucznego lądu. Taki projekt był jednak o wiele droższy w realizacji niż budowa platform na pełnym morzu. Projekty w Baku kontynuował inny znany polski inżynier i specjalista przemysłu naftowego – Paweł Potocki.

Pierwsza pełnomorska platforma wiertnicza Neft Daşları powstała w Azerbejdżanie w 1949 r. (zbudowane na palach osiedle nafciarzy było na tyle imponujące, że pojawiło się w jednej ze scen filmu o Jamesie Bondzie „Świat to za mało"). Dzięki dogłębnym badaniom i śmiałym pomysłom polskiego inżyniera udało się wówczas wyprzedzić Amerykanów, którzy swoją pierwszą platformę w Zatoce Meksykańskiej postawili dopiero w roku 1954. Niestety, zarówno odkrycia genialnego polskiego inżyniera, jak i historia jego testamentu są obecnie w Polsce za mało znane, choć osiągnięcia Zglenickiego śmiało można porównać choćby z dokonaniami ojca polskiej geologii Stanisława Staszica. Warto uczyć o nim zwłaszcza w szkołach. Jak bowiem zauważył genialny polski inżynier w swoim testamencie: „Kto liczy na tygodnie, ten sieje trawę, kto liczy na lata, sadzi drzewa, ale kto liczy na stulecia, ten wychowuje i kształci dzieci".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:
Chodurski A., „Witold Zglenicki. Polski nobel. 1850–1904", Towarzystwo Naukowe Płockie 1984.
Fedorowicz A., Fedorowicz I., „25 polskich wynalazców i odkrywców, którzy zmienili świat", Fronda, Warszawa 2017.
Kozicka-Kołaczkowska A., „Witold Zglenicki. Ropa z głębi morza", Instytut Polityki Energetycznej im. I. Łukasiewicza, „Historia Sektora Energii" nr 2/2018.
Strojecka M., Pakuła M., „Witold Zglenicki (1850–1904). Wizjoner i filantrop", 2020.
Zija Ali Ogły Buniat-Zade, „Witold Zglenicki a problem wydobycia ropy naftowej z dna morskiego", „Notatki Płockie" 1978.

eprasa.pl 340eab0e61

Elita polskich nafciarzy

Piotr Włoczyk

Stanisław Szczepanowski i Wacław Wolski byli genialnymi inżynierami i przedsiębiorcami, którzy wnieśli ogromny wkład w rozwój galicyjskiej branży naftowej

W tamtych czasach trudno było sobie wyobrazić, by Polak mógł zdobyć lepsze wykształcenie. Stanisław Szczepanowski studiował na Politechnice Wiedeńskiej, następnie kształcił się w paryskiej École Centrale des Arts et Manufactures, a dyplom inżyniera uzyskał w Londynie (studiował tam w latach 1869–1871). Początkowo wszystko wskazywało na to, że uzdolniony inżynier z Polski zostanie na dobre w Londynie i będzie pracował na rzecz gospodarczego rozkwitu imperium. W latach 1870–1879 Szczepanowski był urzędnikiem India Office (przyznano mu obywatelstwo brytyjskie), gdzie pracował m.in. nad rozwojem brytyjskiego przemysłu przędzalniczego.

W 1879 r., w wieku 35 lat, porzucił on jednak karierę urzędniczą i postanowił przenieść się do Galicji. Skłoniły go do tego wieści o mającym tam miejsce ogromnym boomie naftowym. Od samego początku sprzyjało mu szczęście, ponieważ założona przez niego kopalnia ropy naftowej w Słobodzie Rungurskiej okazała się wyjątkowo wydajna. Przez pewien okres nie miała ona sobie równych wśród podobnych instalacji w Galicji.

Jego kolejna duża inwestycja w Schodnicy okazała się jeszcze większym sukcesem finansowym. Jak wspominał jego konkurent naftowy Władysław Długosz: „Zanim Szczepanowski odkrył Słobodę Rungurską, mierzyło się ropę u nas na garnce, od czasu Słobody liczyliśmy produkcję na baryłki, od czasu zaś, gdy Szczepanowski odkrył Schodnicę, liczy się już tylko na wagony". Sam potentat ze Słobody Rungurskiej i Schodnicy tak

Stanisław Szczepanowski

FOT. BN/WIKIPEDIA

Wacław Wolski

FOT. JBC/WIKIPEDIA

wspominał czasy naftowej gorączki: „Ropa zahipnotyzowała nawet trzeźwych lwowskich bankierów i wystarczyło kilka słów, aby dostać całkiem wysoki kredyt". Jednak Stanisław Szczepanowski nie prowadził swojej działalności jedynie dla zysku. Był znanym filantropem i wzywał władze Austro-Węgier do kompleksowego rozwoju Galicji. W 1888 r. opublikował książkę „Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego", w której przedstawiał diagnozę ówczesnej trudnej sytuacji społeczeństwa galicyjskiego oraz pokazywał sposoby na wyjście z biedy.

W końcu jednak również Szczepanowski padł ofiarą zmiennych kolei losu galicyjskich nafciarzy. Kilka nieudanych inwestycji w połączeniu z rosnącym zadłużeniem sprawiło, że niegdysiejszy potentat stał się bankrutem. Problemy finansowe odbiły się na zdrowiu Szczepanowskiego, co ostatecznie doprowadziło do jego przedwczesnej śmierci w wieku zaledwie 54 lat.

Stanisław Szczepanowski był wujem drugiego wielkiego inżyniera, który był gwiazdą galicyjskiego przemysłu naftowego. Pochodzący z Brzeżan Wacław Wolski po raz pierwszy zasłynął w 1896 r., gdy opracował innowacyjną metodę użycia sprężonego gazu w procesie wydobycia ropy naftowej. Dzięki jego pomysłowi powstał też pierwszy mimośrodowy świder wiertniczy. Jednak największym jego sukcesem było opracowanie nowatorskiej techniki wiercenia hydraulicznego zwanego taranem wodnym, taranem wiertniczym lub po prostu taranem Wolskiego. Urządzenie to wykorzystywało zjawisko tzw. udaru wodnego.

„Jeżeli płynąca rurami woda zostanie nagle zahamowana, to w miejscu jej zatrzymania powstaje nadciśnienie ok. 14,5 atmosfery na każdy metr na sekundę prędkości płynu. W konstrukcji Wolskiego, nazwanej »taranem«, samoczynnie pod wpływem ciśnienia płynącej wody zamykający się zawór powodował zatrzymanie wody, a powstałe ciśnienie udarowe popychało gwałtownie trzon stalowy z narzędziem wiercącym. Uderzenia te powtarzały się sześć do dziesięciu razy na sekundę" – tłumaczył historyk Antoni Plutyński w publikacji „Inżynier Wacław Wolski". Praktyka pokazała, że była to wówczas najbardziej efektywna metoda wiercenia szybów.

Jesienią 1902 r. Wacław Wolski zorganizował w Westfalii zawody w wierceniu. W szranki stanęły z nim cieszące się doskonałą renomą niemieckie firmy Internationale Tielbohrgesselschaft-Raky oraz Deutsche Tiefbohrgesellschaft. Urządzenie Wolskiego było bezkonkurencyjne. Zawody pokazały, że jego metoda jest o 50 proc. szybsza od techniki stosowanej przez Niemców.

Obie firmy postanowiły połączyć siły, by pozbyć się konkurencji. Słusznie bowiem oceniały, że taran wiertniczy autorstwa Polaka grozi im plajtą. Przedstawiciele niemieckich firm obiecywali Wolskiemu, że odkupią od niego patent, zainwestują w promocję i sprawią, że taran wiertniczy zrobi ogromną karierę na całym świecie. Polak wziął to za dobrą monetę i zainkasował od konkurencji astronomiczną w tamtych czasach kwotę 600 tys. marek, pozbywając się praw do tarana. Niemcy odkupili od Wolskiego jego taran tylko po to, by zaledwie po kilku latach zakończyć jego historię.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Iłowiecki M., „Dzieje Nauki Polskiej", Warszawa 1981.

Plutyński A., „Inżynier Wacław Wolski", „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki", 1960, nr 5/3–4, s. 397–416.

eprasa.pl 340eab0e61

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Co robi zdjęcie?

Tytuł bezceremonialnie wziąłem sobie od kuratorów z Muzeum Fotografii w Krakowie, mam nadzieję, że się za to nie obrażą, gdy tuż po tym niekonsultowanym wypożyczeniu pospieszę z pochwałą. Nazwali oni bowiem nową ekspozycję główną MuFo kreatywnie i wielowymiarowo. Odpowiadając na postawione przez nich pytanie, można bowiem zastanowić się, co zdjęcie „robi" w sensie, „jak działa", jak na nas wpływa, jakie zadanie wypełnia, ale też „co robi zdjęcie" w znaczeniu, co sprawia, że zdjęcie jest dziełem sztuki albo chociaż wywołuje emocje, a nie tylko zajmuje megabajty w płatnej chmurze. A to przecież i tak nie wszystkie ścieżki w kierunku poszukiwania odpowiedzi…

FOT. WALERY RZEWUSKI

Skoro już sam tytuł porusza wyobraźnię, to chyba warto sprawdzić, co zrobi wystawa obejrzana od deski do deski. A na niej przede wszystkim zdjęcia najważniejszych polskich fotografów, których prace są w posiadaniu muzeum, ale także m.in. podróż przez warsztat fotografa i prezentacja rozmaitych technik. Bardzo ciekawa wystawa, zwłaszcza w czasach, gdy niemal każdy nosi zaawansowany instrument fotograficzny zamknięty w smartfonie i tak wielu czuje się przez to fotografami. ©℗

GDZIE? ***Kraków, Muzeum Fotografii***
KIEDY? ***wystawa stała***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAK TO JEST W PODRÓŻY

Wystawa o podróży, która prezentowana była jakiś czas temu w Muzeum w Nieborowie i Arkadii, sama wyruszyła w podróż. Oglądać ją można w Puławach. Ekspozycja „W podróży" to przekrojowa opowieść o polskich podróżnikach z czasów, gdy świat zdawał się być znacznie, znacznie większy niż dziś, a w kuferkach i sepecikach trzeba było przewozić wszystkie niezbędności, także te, o które teraz się nie martwimy, bo czekają na nas w każdym pokoju hotelowym. ©℗

GDZIE? ***Puławy, Muzeum Czartoryskich***
KIEDY? ***do 30 grudnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Taniec św. Wita

Inspiracją dla piątego albumu Florence Welch był szwedzki horror „Midsommar", XIII-wieczny ruch społeczny zwany choreomanią, oparty na zbiorowych tańcach do wyczerpania.

W otwierającym album utworze „King" Angielka koronuje się na króla, odrzucając rolę panny młodej i matki. We wspomnianej „Choreomanii" śpiewa: „Nie wiem, jak to się zaczęło / Nie wiem, jak to zatrzymać / Nagle tańczę / Do wyimaginowanej muzyki". Muzyka przybiera na sile rozkręcana potężnymi, ambientowymi pulsacjami, wedle których rytmu wokalistka rusza w taniec do zatracenia. Każda z piosenek opowiada alegoryczną historię. Florence nie tylko śpiewa, lecz także szepcze, sapie, chrząka, tupie i dudni do mikrofonu. W finałowej piosence „Morning Elvis" leci samolotem do Memphis, by odszukać Presleya, jedynego godnego niej króla.

Czas pandemii był dla artystki, uzależnionej od koncertowania, wręcz fizyczną karą. Stąd utwory mają hymniczny charakter, a album jako całość przywodzi na myśl odę do wspólnotowego, rytualnego tańca. Piosenki ubrane w barokowy pop wymieszany z pogańskim folklorem są sprzeciwem wobec bezruchu. Szaleńcze wybuchy muzycznego katharsis mieszają się z balladami w średnich tempach i teatralnymi interludiami budującymi nastrój płyty jako całości.

To kolejny krążek artystki, który sięga w przeszłość, by świętować przyszłość. ©℗

★★★★★☆
FLORENCE + THE MACHINE
„DANCE FEVER"
POLYDOR

★★★★☆☆
NATALIA KUKULSKA
„MTV UNPLUGGED"
AGORA

Ćwierć wieku po „dorosłym" debiucie, albumie „Światło", Natalia wydała pierwszy album koncertowy. Jedenaście osób na scenie, oryginalne instrumentarium (m.in. klarnet basowy, marimba, handpany), goście (Natalia Szroeder, Igor Herbut), a nawet cover „Nie ma wody na pustyni" Bajmu.

★★★☆☆☆
JOHN SCOFIELD
„JOHN SCOFIELD"
ECM

Potrzebował ponad 30 albumów i 50 lat, aby wydać solowy album gitarowy. Zręcznie interpretuje standardy jazzowe, bluesowe, rockowe i melodie folkowe. Jednocześnie opowiada historię gitary jazzowej od Charliego Christiana do Wesa Montgomery'ego. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

Prawda jest kotem

Piotr Gociek

Ile czasu potrzeba, byśmy na poważnie zaczęli rozmawiać o swoich ojcach? Haruki Murakami uczynił to dopiero kilka lat po tym, jak własnego złożył do grobu

Długa to historia. Rok 1949 – Haruki Murakami przychodzi na świat. Rok 1979 – wydaje pierwszą powieść. Droga do wielkiej kariery otworzy się wkrótce przed ambitnym 30-latkiem. Rok 2019 – ukazuje się „Porzucenie kota. Wspomnienie o ojcu". Siedemdziesiąt lat życia, pięćdziesiąt lat pisania – ile czasu potrzeba, byśmy na poważnie zaczęli rozmawiać o swoich ojcach? Może trzeba doczekać chwili, gdy sami zamieniamy się w ojców albo jeszcze lepiej – w dziadków? Taka przyczyna akurat jest wykluczona w przypadku Murakamiego. Chociaż żonaty od roku 1971 (z Yoko Murakami), to dzieci ani wnucząt nie ma. Jak tłumaczył w wywiadzie z roku 1984: „Po prostu brak mi pewności, którą miało pokolenie moich rodziców, że świat będzie się stawał coraz lepszym miejscem".

Na jednej z ostatnich stron pisarz kokietuje: „Nie wiem, na ile taki tekst o sprawach osobistych okaże się interesujący dla czytelników". Wiemy, że się okaże, to przecież Murakami, jedna z tych figur, które są otoczone przez swych czytelników tak wielkim kultem, że przeczytaliby nawet spis jego rzeczy oddawanych do pralni. Zdaje mi się jednak, że „Porzucenie kota" może się okazać niezwykle interesujące przede wszystkim dla tych, którzy po Murakamiego regularnie nie sięgają. To, że będzie niezwykle przydatna biografom, uważam za oczywiste.

POJEDNANIE OJCA I SYNA

Z książki Jaya Rubina „Haruki Murakami i muzyka słów" (biografia wydana po polsku w roku 2008) o ojcu pisarza dowiadujemy się niewiele. Miał na imię Chiaki, był synem buddyjskiego kapłana (i sam kapłanem przez kilka lat dorosłego życia), licealnego nauczyciela literatury. Rodzice poglądy mieli raczej liberalne, horyzonty szerokie, przy obiadach

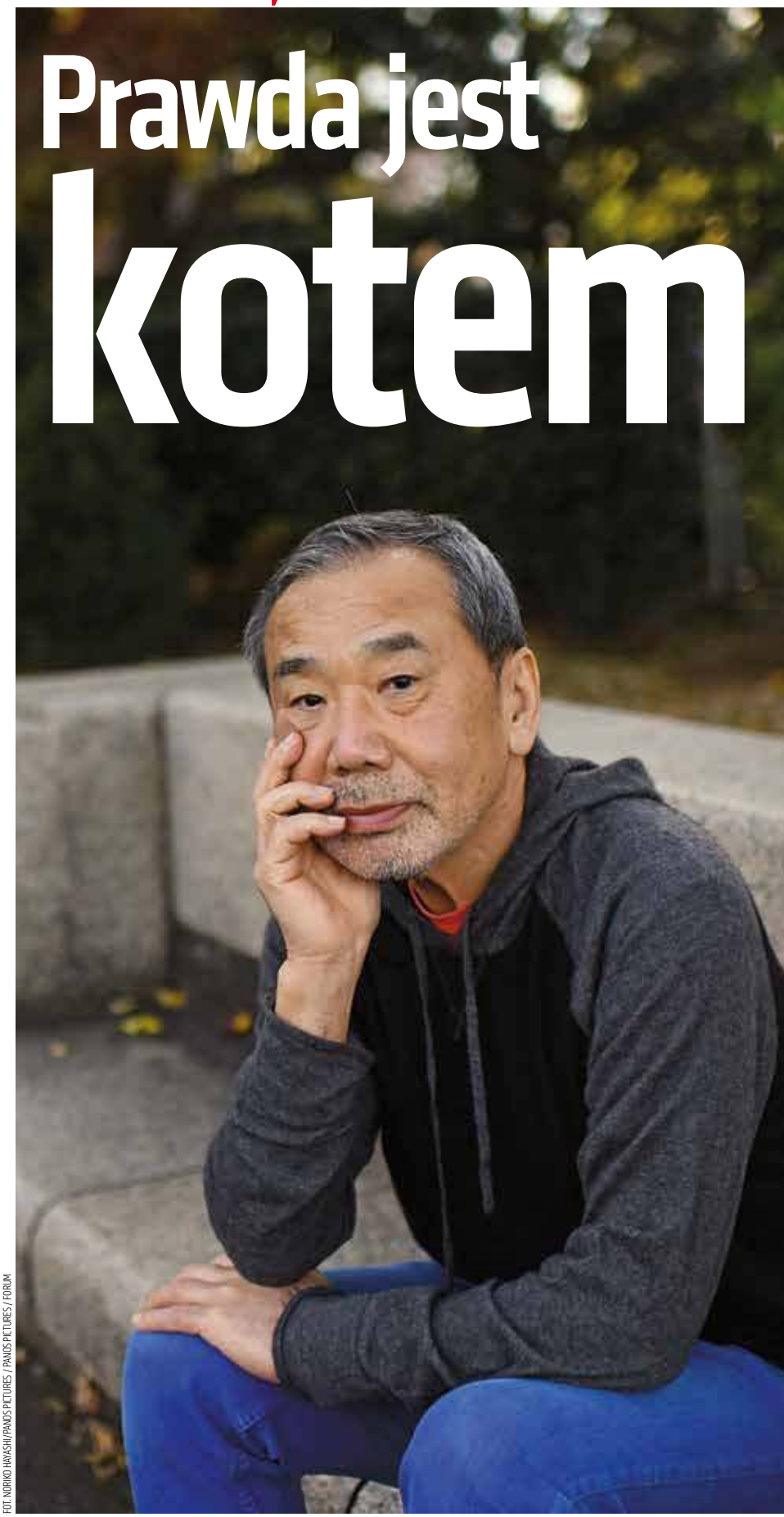

FOT. NORIKO HAYASHI/PANOS PICTURES / PANOS PICTURES / FORUM

eprasa.pl 340eab0e61

dyskutowali o poezji VIII stulecia albo o średniowiecznych wojennych eposach. Ojciec wprowadzał syna w historię literatury japońskiej, ale „Haruki wolał Stendhala, a potem rozsmakował się w Tołstoju, a szczególnie cenił Dostojewskiego". Rubin nie miał więcej nic do powiedzenia, a przecież jakże szczegółowo zgłębiał tajniki życia i twórczości Murakamiego.

Za tą niemal encyklopedyczną dawką informacji kryje się dramat: ojciec nie rozumiał – a w każdym razie nie pochwalał – literackich fascynacji syna. Sukces Harukiego jako pisarza niczego nie zmienił. Do pojednania ojca i syna doszło dopiero w roku 2008, niedługo przed śmiercią Chiakiego. Trudno nie myśleć o tej podwójnej samotności Murakamiego: przez kilka dekad pozbawiony ojca, sam także zrezygnował z bycia ojcem.

Zaczyna się od wspomnienia. Mały Haruki towarzyszy ojcu w wyprawie nad morze. Cel jest mało chwalebny – chodzi o wywiezienie z domu i pozostawienie na pustkowiu pręgowanej kotki. Misja udaje się połowicznie – pudło zostaje porzucone, ale kiedy zmachani rowerową podróżą ojciec z synem wracają do domu, kotka już tam na nich czeka. W jakiś sposób zdołała wydostać się z kartonu i pokonać drogę powrotną, nim uczynili to jej krzywdziciele. Sugestia jest moim zdaniem oczywista – sam pisarz odsuwał od siebie osobiste wyzwanie, ukrywał emocje związane z ojcem, ale wróciły i już. Nic na to nie poradzisz.

Potem rzecz robi się dużo ciekawsza. Kto oczekiwał lirycznej kroniki dziecięcych wzruszeń, ten odejdzie z kwitkiem. Murakami zaczyna w sprawie własnego ojca prowadzić śledztwo. Kilka lat w świątyni nie wyczerpuje tematu: Gdzie był i co robił w ciemnych latach japońskiej historii? Pisarz, jak się okazuje, był przez długie lata ofiarą własnej wyobraźni (tym razem prowadzącej na manowce) oraz domysłów (tym razem całkowicie błędnych). Haruki wiedział, że ojciec służył w wojsku podczas wojny. Jako dziecko był świadkiem, jak ojciec modli się za poległych towarzyszy broni oraz za „Chińczyków, którzy byli wrogami". „Murakami zawsze pisał o rzeczach na wpół zapomnianych, które czają się w naszych umysłach, by niespodziewanie wyskoczyć stamtąd i nas pochwycić" – charakteryzował Murakamiego wspomniany już Jay Rubin. Tym razem rzeczy zapomniane, czy raczej odsuwane,

Murakami jest przez swych czytelników otoczony tak wielkim kultem, że przeczytaliby nawet spis jego rzeczy oddawanych do pralni

zmusiły japońskiego pisarza do działania dopiero kilka lat po śmierci ojca.

Nie będę streszczał historii tego tragicznego nieporozumienia, które musiało długim cieniem kłaść się na relacji ojca i syna przez długie dekady. Haruki był przekonany, że jego unikający rozmów o tym, co działo się podczas wojny ojciec, służył w 20. Pułku Piechoty, który „zasłynął z wyjątkowego zapału podczas zdobywania Nankinu". Pod tym enigmatycznym stwierdzeniem kryje się jedna z największych zbrodni wojennych armii japońskiej: masakra, do której doszło na przełomie lat 1937 i 1938. Szacunki są różne, ale najczęściej przyjmuje się, że Japończycy zamordowali wówczas ok. 100 tys. cywilów, dokonali egzekucji 100 tys. chińskich jeńców i dopuścili się kilkudziesięciu tysięcy gwałtów. Rzeź trwała sześć tygodni.

Prawda nas wyzwoli, ale Haruki Murakami takiego wyzwolenia nie chciał, wolał więc żyć w przeświadczeniu, że własny ojciec może być zbrodniarzem wojennym, niż skonfrontować się z przeszłością. Kwestia japońskich zbrodni została poruszona w powieści „Kronika ptaka nakręcacza". Pytany w „Tokyo Journal" o to, dlaczego jego pokolenie ma rozliczać się z wojną, która skończyła się, nim przyszli na świat, Murakami odpowiadał: „To było dzieło pokolenia moich rodziców i dziadków. Chcę się dowiedzieć, co popchnęło ich do takich czynów. Chcę to zrozumieć i nie mogę". Nie mógł też, jak widać, lub nie chciał zadać trudnych pytań własnemu ojcu.

ODKRYWANIE PRAWDY

Oczywiście dowiecie się z „Porzucenia kota" wielu innych rzeczy na temat rodziny autora „Norwegian Wood", poznacie dzieje rodziny matki, kulisy przejęcia przez ojca buddyjskiej świątyni, przy wielu wspomnieniach z dzieciństwa pisarza będziecie się zastanawiać, czy aby nie poznaliście ich już w przetworzonej formie z jego powieści i opowiadań (tak, poznaliście). Odkrywanie prawdy o przeszłości ojca jest tu jednak najważniejsze, a początkowa metafora z kotem nabiera nowego znaczenia: możesz porzucić prawdę, ale ona powróci.

„Każdy z nas jest jedynie kroplą w niezliczonej liczbie kropel deszczu padającego na wielkie połacie ziemi" – pisze w finale Murakami. Ale „każda kropla deszczu ma swoje deszczowe myśli, swoją deszczową historię i obowiązek dziedziczenia historii. Nie wolno jej o tym zapominać". Tylko tak może stać się istotną częścią większej zbiorowości – podpowiada pisarz. I tu można by skończyć wywód, gdyby nie jeszcze jedna, bardzo istotna kwestia.

W „Porzuceniu kota" Murakami rezygnuje z szat twórcy fikcji literackiej, przestaje mylić tropy i stapiać fakty ze zmyśleniem (przynajmniej tak nam pozwala myśleć, wybierając formę eseju). Ale kiedy cofniemy się do jego ostatniego zbioru „Pierwsza osoba liczby pojedynczej", znajdziemy piękne i poruszające opowiadanie „Wiersze zebrane o drużynie Yakult Swallows". Historia miłości narratora do tytułowej drużyny baseballowej (nie możemy go utożsamiać w pełni z autorem, wciąż mowa o fikcji literackiej) jest jednak tak naprawdę opowieścią o ojcu, który był „zagorzałym kibicem drużyny Hanshin Tigers. Pamiętam z dzieciństwa, że po przegranym meczu zawsze miał bardzo zły humor".

Po latach Murakami wskaże, że miłość do baseballa, którą zaraził go ojciec, przyniosła moment przełomowy – to siedząc na trybunach podczas jednego z meczów (już w innym mieście i innej drużyny), wpadł na pomysł napisania swojej pierwszej powieści. Pisanie jako poszukiwanie prawdy, także przez tych, którym zabrakło odwagi, by poszukać jej w prawdziwym życiu? Pozostańmy chwilę przy tej myśli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zanim rozpoczniemy lekturę, warto zerknąć do tomu opowiadań „Pierwsza osoba liczby pojedynczej" (polska edycja 2020).

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kasa, misiu, kasa

Po czterech sezonach serialu „Ozark" saga państwa Byrde'ów dobiegła końca. Choć ostatnie sekundy ostatniego odcinka przywodzą na myśl zakończenie „Rodziny Soprano", to nie mieliśmy nigdy do czynienia z aż tak głęboką analizą charakterów jak w hicie HBO.

Z pozoru był też „Ozark" klonem „Breaking Bad" – tak naprawdę pożyczył z arcydzieła Vince'a Gilligana tylko jeden motyw. Tam budujący narkotykowe imperium Walter White wciągnął ostatecznie w tryby machiny przestępstwa swoją żonę, tu rzecz ma się podobnie z Martinem Byrde'em (Jason Bateman), który swą lepszą połowę (Laura Linney) wtajemnicza w biznes prania brudnych pieniędzy.

Byrde cudem ocalił głowę, gdy okazało się, że jego wspólnik oszukał meksykańskich mocodawców. Żył będzie tylko tak długo (jego rodzina też), jak długo będzie udowadniać swą dalszą przydatność dla kartelu. Jego historia to dzieje próby wywikłania się z kłopotów poprzez jeszcze większe uwikłanie. Byrde'owie odkryją bowiem, że nie da się robić brudnych interesów bez wejścia w konflikt z bezlitosną konkurencją. A wtedy wybór jest prosty: my albo oni. Stara lekcja: nie da się być złym tylko na pół gwizdka.

Fabuła rozgrywająca się na głębokiej prowincji, pośród jezior stanu Missouri, sporo zawdzięcza produkcjom typu „Justified: Bez przebaczenia", zwłaszcza gdy idzie o przedstawienie lokalnego półświatka. Czołową przedstawicielką white trash schodzących na złą drogę jest Ruth, fenomenalnie grana przez Julię Garner. To ona szybko stała się – obok małżeństwa Byrde'ów – najciekawszą figurą opowieści. Biedna, ambitna, trochę wulgarna, a zarazem niezwykle uparta i bardzo pomysłowa oraz przedsiębiorcza: self-made woman szemranych interesów.

Miejscowi handlarze heroiną, FBI, dwa rywalizujące kartele – przez cztery sezony „Ozark" działo się bardzo wiele, ale najważniejsze pytanie brzmiało: Czy Byrde'ów czeka odkupienie czy ostateczna katastrofa?

Twórcom (duet Bill Dubuque i Mark Williams) zabrakło na koniec odwagi, a może od początku nie mieli dobrego pomysłu na finał. Bo morał nie jest szczególnie oryginalny: jeśli tylko jesteś odpowiednio bezlitosny i bogaty, to wiele ujdzie ci na sucho. W odróżnieniu od „Breaking Bad" czy „Zadzwoń do Saula" dostajemy więc ostatecznie opowieść nie o ludzkiej duszy, lecz jedynie o pieniądzach. ©℗

★★★★☆☆

SEZON 4, CZĘŚĆ II „OZARK"
USA 2022

wyst. Jason Bateman, Laura Linney, Julia Garner

NOWE SERIALE: „BĘDZIE BOLAŁO"

CANAL+

Książka Adama Kaya „Będzie bolało: Sekretny dziennik młodego lekarza" była kilka lat temu bestsellerem (także w Polsce), teraz jej serialową wersję proponuje BBC (w Polsce pokaże ją Canal+). Kay to zawodowy komik, ale wcześniej pracował jako lekarz stażysta. W serii zabawnych i przerażających książek opisał codzienne szpitalne życie, ukazując obraz daleki od tego z telenowel. Rolę Kaya w fabularnej wersji jego wspomnień gra Ben Whishaw (Q w ostatnich trzech Bondach, znamy go też z serialu „Skandal w angielskim stylu"). ©℗

Piotr Gociek

• ***sezon 1 „Będzie bolało" („This Is Going to Hurt"), Wielka Brytania 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Night Sky"*** prime video

• *sezon 2* ***„Hacks"*** HBO max

• *sezon 2* ***„Kto zje zielone jajka sadzone?" („Green Eggs and Ham")***, *USA 2022*

eprasa.pl 340eab0e61

Zostać wiralem

Kto nie obnosi się ze swym jestestwem w Internecie, ten nie istnieje. Kurt odchodzi od zmysłów, bo jego profil śledzi zaledwie kilkanaście osób (a i to w porywach). W Mieście Aniołów na pewno trudniej się wybić niż w Odrzywole, w tym wypadku jednak niska oglądalność nie wynika z faktu, że oferta 22-latka tonie w morzu podobnych inicjatyw.

Kurt jest wcieleniem przeciętności z zadatkami na przegrywa jeszcze bardziej żałosnego niż jego stary – didżej bez fanów. Zdesperowany influencer wpada na pomysł transmitowania na żywo zabójstw, których dokonuje w nafaszerowanym kamerkami aucie. Ofiarom trudno współczuć, są bowiem jeszcze mniej sympatyczne od swego kata. Seryjny morderca królem streamingu i cesarzem mediów społecznościowych? To znak czasu, jeszcze niedawno podobne filmy kręcono o psychopatach, gotowych na wszystko, byle tylko pojawić się na telewizyjnych ekranach. Teraz na fali są hakerzy, gracze komputerowi tudzież gwiazdy nowych mediów i stand-upu. Życie w permanentnej pogoni za kontentem to koszmar, a z ludzi żebrzących o poklask gawiedzi szydzić jest bardzo łatwo. Kłopot w tym, że twórcy „Spree", miotając się między komedią i slasherem, w pewnym momencie stracili kontrolę nad przekazem. Filmowcy eklektycy nie są bardziej godni zaufania niż taksówkarze z aplikacji. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. EUGENE KOTLYARENKO
„SPREE"
USA 2020

wyst. Joe Keery, Sasheer Zamata, David Arquette

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LUDZIE SĄ ŹLI

W nieodległej przyszłości Ziemia zamieni się w pustynię, a gatunek homo sapiens będzie walczył o przetrwanie. Artykułami pierwszej potrzeby staną się rzecz jasna woda i benzyna, lecz i złoto – odwieczny przedmiot pożądania – nie straci wartości. Gdy dwóch obdartusów, zmierzających w kierunku enigmatycznej Strefy, przypadkiem odkryje zagrzebaną w piachu wielką bryłę kruszcu, na ekranie zrobi się jeszcze goręcej. W porządku: wiem, że takie siermiężne, postapokaliptyczne kino ani Ameryki, ani nawet Australii nie odkrywa, mam jednak do niego słabość. Zwłaszcza jeśli futurystyczny Robinson ma w sobie choć odrobinę charyzmy. Efron, syn marnotrawny Disneya, rzadko się odzywa (zresztą nie bardzo ma do kogo), lecz zręcznie holuje fabułę aż do gorzkiego finału. Dopatrującym się w „Złocie" ekologicznego morału radzę zwrócić uwagę na zamykającą seans balladę Nicka Cave'a „People Ain't No Good".

★★★★★☆
REŻ. ANTHONY HAYES
„ZŁOTO" („GOLD")
AUSTRALIA 2022

wyst. Zac Efron, Anthony Hayes, Susie Porter

GRA W TRÓJKĄCIE

Starzejący się miliarder postanawia wyprodukować film, który go unieśmiertelni. Kupuje prawa do ekranizacji książki noblisty, reżyserię powierza laureatce międzynarodowych festiwali, ona zaś obsadza w głównych rolach aktorów z najwyższej półki. Sęk w tym, że Félix bryluje w Hollywood, a Iván na scenach krajowych. Już podczas prób odruchowa rywalizacja przeradza się w nienawiść. Gwiazdorskie trio łączy jedynie pogarda dla snoba sponsora. Spowodowany przez pandemię wysyp filmów parateatralnych nie przyniósł, jak dotąd, arcydzieł. O tym, że artyści często bywają nadwrażliwymi ekscentrykami lub narcyzami, dla których złe emocje są paliwem wysokooktanowym, wiadomo co najmniej od czasów Nerona. Poza tym „Boscy" są nijacy. Jak na komedię rzecz jest mało śmieszna, jak na psychodramę – zbyt powierzchowna. Aktorski pojedynek dwóch panów wygrywa ta trzecia: Penélope Cruz z fryzurą Króla Lwa. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. MARIANO COHN, GASTÓN DUPRAT
„BOSCY" („COMPETENTIA OFICIAL")
HISZPANIA 2022

wyst. Penélope Cruz, Antonio Banderas, Oscar Martínez

GRA TYGODNIA: „WARHAMMER 40 000: CHAOS GATE – DAEMONHUNTERS" ★★★★☆☆

Popularna franczyza i nieznane szerzej studio. Sceptyczni? Nie dziwię się. Sam byłem. Complex Games pozytywnie mnie jednak zaskoczyło. „Chaos Gate – Daemonhunters" może się podobać fanom uniwersum i miłośnikom taktycznych turówek w stylu „XCOM". Stając na czele oddziału Szarych Rycerzy, nie tylko musimy się sprawdzić w boju, lecz także zadbać o zaplecze logistyczne i rozwojowe (choć to oczywiście stawanie oko w oko z wrogiem stanowi crème de la crème gry). Produkcja niepozbawiona błędów, ale potrafi zmusić do wysiłku i ma w sobie to coś, co sprawia, że choć wiemy, iż już nie bardzo mamy na to czas, mówimy sobie: „No dobra, jeszcze tylko ta jedna misja…" ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Taktyczna turówka*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Complex Games, Frontier Foundry*

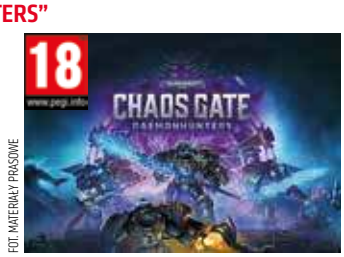

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 340eab0e61

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Młodopolskie marzenie

Z niedowierzaniem przeczytałem te słowa, niemniej przyjąłem je do wiadomości: oto edytor najważniejszych książek o sztuce polskiej, autor niezrównanych albumów poświęconych przede wszystkim Młodej Polsce, znawca i kolekcjoner malarstwa – Ryszard Jeremi Kluszczyński – swoje trzy najnowsze prace: „Historię malarstwa polskiego. Od gotyckiego malarstwa do Stefana Gierowskiego" oraz albumy twórczości Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego traktuje jako pożegnanie z działalnością popularyzatorską i wydawniczą. Jeśli tak jest naprawdę, to żegna się w sposób imponujący, a w pierwszej z wymienionych prac – w świetnym, bogato ilustrowanym kompendium wiedzy o sztuce polskiej – pomieszcza pasjonujący wywiad, będący – z jednej strony – przydatnym poradnikiem dla pasjonatów i zbieraczy, a z drugiej – wyznaniem wiary wielkiego miłośnika malarstwa i to malarstwa najbliższego polskim sercom. I tu całkowicie zgadzam się z wydawcą 60 (!) pozycji dotyczących polskiej sztuki i architektury, że dla prawdziwego miłośnika malarstwa w naszym kraju „nie ma większej przyjemności, jak zanurzenie się na przykład w poetyckim świecie Jacka Malczewskiego i podejmowanie prób odgadnięcia symboliki jego obrazów".

Przestrzega Ryszard J. Kluszczyński kolekcjonerów, szczególnie tych początkujących, przed ekspertami znającymi się na wszystkim. O sobie powiada, że z pełną odpowiedzialnością może wydawać opinie jedynie o kilku malarzach młodopolskich: Malczewskim właśnie, Wyczółkowskim, Stanisławskim, Ślewińskim, Pankiewiczu. A fałszywych obrazów mamy multum. W okresie

FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ/FORUM

międzywojennym np. fałszowano – powiada Ryszard J. Kluszczyński – „nie tylko obrazy Fałata czy Axentowicza, ale również Wierusza-Kowalskiego, Brandta czy też Czachórskiego, a wielkie warsztaty fałszerzy polskiej sztuki miały siedziby w Wiedniu, Monachium i Berlinie. Ponoć fałszerz obrazów tego ostatniego osiągał lepsze efekty niż sam mistrz (śmiech)". Fałszywki trafiają nawet do najpoważniejszych, zdawałoby się, placówek muzealnych. Muzeum Narodowe w Poznaniu – przypomina Kluszczyński – przez wiele lat eksponowało prymitywną kopię „Targu na warzywa" Józefa Pankiewicza, a muzeum w Gdańsku pokazywało fałszywy wizerunek rybaka Leona Wyczółkowskiego. „Każdy, kto był w Sukiennicach – czytamy – i widział choć przez chwilę prawdziwego »Rybaka«, na którym wzorował się fałszerz, nie powinien mieć cienia wątpliwości, że te dwa obrazy dzieli przepaść".

Rady te wydają się bezcenne, włącznie z tymi najbardziej oczywistymi, jak ta, by nie kupować obrazów w Internecie, „bowiem oferowane tam obrazy są z reguły fałszywe". A w ogóle: „Kolekcjonerstwo wymaga pokory, a pycha jest dość boleśnie karana".

W wywiadzie tym pada jeszcze jedno ważne stwierdzenie: „… należy pochwalić rząd za mądrą i przemyślaną decyzję o zakupie kolekcji Czartoryskich. Niezależnie od czynników patriotycznych, narodowych, kulturalnych itp. rząd w moim przekonaniu zrobił bardzo dobry interes, płacąc – według moich ostrożnych szacunków – jedną trzecią rzeczywistej wartości zakupionych dzieł sztuki. Ja też bym tak chciał (śmiech)".

Wypomina jednak rządowi, że ten poskąpił środków na nabycie „Powstańców przed karczmą" Józefa Chełmońskiego. „Wydaje się – zauważył przy okazji – że teraz wśród decydujących o zakupach panuje moda na malarstwo światowe, o czym może świadczyć fakt zakupu kilkunastu prac na papierze mocno przereklamowanego malarza, jakim jest Chagall". Niestety, mamy też nie najlepszą tradycję kupowania drugorzędnych obrazów, w czym wyspecjalizował się uchodzący przez lata za idealnego mecenasa sztuki król Stanisław August Poniatowski, czy kiczów, które upodobał sobie hrabia Atanazy Raczyński, że o przyjmowaniu darów „wątpliwej wartości" tylko tu napomkniemy.

A marzy się bohaterowi tego tekstu, które to marzenie w pełni podzielam, by Sejm ogłosił np. rok 2024 rokiem malarstwa polskiego, a Instytut Pamięci Narodowej bądź Polska Fundacja Narodowa przeprowadziły kampanię „Malarskie ikony polskości", a wtedy któregoś dnia zamiast reklam jogurtu na przystankach pojawią się może plakaty z reprodukcjami „Różowej studni" Jacka Malczewskiego, „Dziewczynki w czerwonej sukience" Józefa Pankiewicza czy fragment „Olszynki Grochowskiej" Wojciecha Kossaka. Czy naprawdę jest to nierealne? ©℗

★★★★★★
RYSZARD JEREMI KLUSZCZYŃSKI „HISTORIA MALARSTWA POLSKIEGO. OD GOTYCKIEGO MALARSTWA DO STEFANA GIEROWSKIEGO"
WBC, KRAKÓW 2022

eprasa.pl 340eab0e61

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Problem Rosji

Nie jest to praca naukowa – zaznacza we wstępie prof. Andrzej Nowak. I wyznaje, że próbował „zebrać myśli i emocje, które towarzyszyły mi od momentu zetknięcia z tymi dziejami". Jakimi? „Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X–XXI w." – taki podtytuł nosi jego najnowsza książka „Polska i Rosja". Sam profesor prac naukowych na ten temat ma w dorobku wiele, zaczął zaś zmagania od pracy magisterskiej z 1981 r. Analizował – już w czasach Solidarności – myśl Nikołaja Danilewskiego, patrona rosyjskich imperialistów.

Dostaliśmy esej niezwykle w tych czasach potrzebny, który może być dla postronnych doskonałym wprowadzeniem w poważniejsze książki prof. Nowaka, ale stanowi także doskonałą lekturę osobną. W erudycyjnej, pełnej pasji opowieści bierze się autor „Dziejów Polski" za bary z kwestią w polskiej historii najważniejszą: problemem Rosji. Tym, co różni go od licznych kolegów po fachu, jest to, że nie boi się wyciągania wniosków z historii, że komentuje i objaśnia najnowsze wydarzenia, korzystając z olbrzymiej wiedzy zawodowego badacza przeszłości.

Czynił tak w znakomitej „Klęsce imperium zła. Rok 1920" wydanej w ubiegłym roku, która była nie tylko książką o Bitwie Warszawskiej, lecz także gorzką i przenikliwą analizą jej następstw w polityce i propagandzie rosyjskiej. Czyni tak i teraz w „Polsce i Rosji", prowadząc swój wykład aż do tegorocznej agresji Rosji na Ukrainę. W ostatnim rozdziale („Rozpad i odbudowa imperialnych stosunków. 1989–2022") ilustracjami są już zdjęcia zniszczonych rosyjskimi rakietami bloków mieszkalnych w Kijowie.

Nigdy nie byliśmy braćmi, nie znaczy to jednak, że musimy zawsze być wrogami. Klucz do pokoju leży jednak w Moskwie, która nie chce z niego skorzystać. „W całej historii okres, kiedy Polska traktowana była przez Rosję jako normalny sąsiad, trwał zaledwie kilkanaście lat" – przypominał prof. Nowak w jednym z wywiadów udzielonych przy okazji premiery książki. W „Dziejach Polski" wskazywał już na to, jak podstawowym problemem w relacjach polsko-rosyjskich były nasze tradycje wolnościowe. Teraz poświęca temu problemowi dużo więcej miejsca. Lektura obowiązkowa nie tylko dla miłośników historii, przede wszystkim dla polityków, bo to od nich będzie zależała przyszłość. Obawiam się, że w Polsce wciąż zbyt wielu będzie wolało wywód profesora zignorować, bo zanadto boleśnie konfrontuje ich z niedawnymi decyzjami. Tak, wiecie, kogo mam na myśli. ©℗

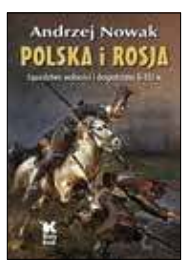

★★★★★☆
ANDRZEJ NOWAK „POLSKA I ROSJA" BIAŁY KRUK 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od przegrywów ponoszących ciężkie straty, do asów walki powietrznej – historia powstania programu US Navy Topgun opisana przez jego twórcę i ojca sukcesów, czyli komandora podporucznika Dana Pedersena.

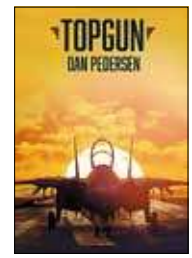

DAN PEDERSEN „TOPGUN" ZYSK I S-KA

Zapiski amerykańskiego fotografika (uwiecznił m.in. obronę Warszawy w 1939 r.) z lat 1946–1947. Bryan był po wojnie w Polsce i ZSRS z misją UNRRA. Robił zdjęcia, rozmawiał ze świadkami zaprowadzania nowego porządku.

JULIEN BRYAN „POLSKA JESIEŃ, ROSYJSKA ZIMA" IPN

Spory religijne czasu 1545–1658 – Frycz Modrzewski kontra Hozjusz, kazania Skargi czy Starowolskiego, edukacja szlachcica według Hieronima Balińskiego. Świetna analiza pióra laureata nagrody Identitas.

MICHAŁ GOŁĘBIOWSKI „OJCOWIE KOŚCIOŁA I DYLEMATY RELIGIJNOŚCI WCZESNONOWOŻYTNEJ" COLLEGIUM COLUMBINUM

„Stanisław Bareja i bliscy", czyli opowieść o życiu prywatnym reżysera „Misia" i „Alternatywy 4" spisana przez jego córkę. Unikatowe zdjęcia, dziecięce rysunki, anegdoty, wspomnienia i mnóstwo, mnóstwo ciepła. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

KATARZYNA BAREJA „ŻABY W ŚMIETANIE" AXIS MUNDI

KOMIKS TYGODNIA: „RAPSODIA WĘGIERSKA"

Rok 1938. W Budapeszcie nieznani sprawcy zabijają członków francuskiej siatki wywiadowczej Rapsodia. Paryż wysyła w teren byłego agenta Maxa Fridmana, który trafia w sam środek gniazda os. Sowieci, Niemcy, Amerykanie, Francuzi, Węgrzy – wszyscy śledzą wszystkich, a mimo to prawdziwe tajemnice pozostają w ukryciu. „Rapsodia węgierska" to świetny komiks historyczno-szpiegowski znakomitego włoskiego twórcy powstały 40 lat temu. Nie zestarzał się ani trochę. Dał początek serii o Maxie Fridmanie, kontynuowanej do roku 2008. Cykl przełożono na 18 języków. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

VITTORIO GIARDINO „RAPSODIA WĘGIERSKA" WYDAWNICTWO KURC 2022

eprasa.pl 340eab0e61

Zakończenie „Konferencji o przyszłości Europy", wspólnego przedsięwzięcia Parlamentu Europejskiego, Rady Europejskiej i Komisji Europejskiej, która trwała ponad rok. Poza zawodowo w sprawy europejskie zaangażowanymi osobami niemal nikt o niej nie słyszał

FOT. PHILIPPE STIRNWEISS

Projektowanie naszej przyszłości

Łukasz Warzecha

Spotkałem się z niemieckim analitykiem, pracującym dla jednego z berlińskich think tanków, skupionego na zielonej polityce UE. Chciał ze mną rozmawiać o „Konferencji w sprawie przyszłości Europy"... Mogę się założyć, że w tym miejscu większość czytelników zrobiła wielkie oczy, pytając: O czym?!

Konferencja o przyszłości Europy", wspólne przedsięwzięcie Parlamentu Europejskiego (z jego ramienia współprzewodniczył jej znany wielbiciel naszego kraju Guy Verhofstadt), Rady Europejskiej i Komisji Europejskiej, trwała ponad rok i już się zakończyła, a nawet oficjalnie ogłoszono jej wyniki. Tyle że poza zawodowo w sprawy europejskie zaangażowanymi osobami niemal nikt o niej nie słyszał – choć oficjalnie jej głównym celem było skonsultowanie pomysłów na przyszłość UE z obywatelami krajów Unii. Mój niemiecki rozmówca, któremu wyjaśniłem, że w Polsce sprawa jest znana może ułamkowi promila ludzi, przyznał, że go to nie zaskakuje, ponieważ podobnie jest we wszystkich właściwie państwach, gdzie na ten temat rozmawiał.

Jak to możliwe, że przedsięwzięcie, które miało wciągnąć do debaty obywateli, odbywa się nie tylko gdzieś na marginesie, lecz także prawie w tajemnicy? A może właśnie o to chodzi? Może celem jest upozorowanie konsultacji?

KONSULTACJE W TAJEMNICY

Ci, którzy śledzą życie UE od lat, z pewnością pamiętają lata 2003–2004, gdy w Unii trwały prace nad Konstytucją dla Europy. Funkcjonowało wówczas ciało nazwane Konwentem Europejskim, które miało przygotować wspomniany akt. Przewodniczącym Konwentu został nieżyjący już były prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing. W ramach przybliżania projektu obywatelom w różnych krajach UE odbywały się spotkania w sprawie konstytucji, które w gruncie rzeczy funkcjonowały jak objazdowy teatr. Nie miały absolutnie żadnego znaczenia dla ostatecznego kształtu traktatu, który zresztą nie wszedł w życie (jako traktat ustanawiający Konstytucję dla Europy) z powodu przegranych referendów we Francji i w Holandii. Wrócił następnie w niewiele zmienionej postaci jako traktat lizboński, który jest dzisiaj podstawą funkcjonowania UE.

Czemu służyły spotkania wokół projektu, nad którym czuwał d'Estaing? Miały stwarzać pozór obywatelskich konsultacji i poparcia. Dokładnie tak samo jest obecnie z „Konferencją na temat przyszłości Europy" – to niemal dosłowne powtórzenie tego schematu, jedynie przy użyciu nowszych technologii (spotkania, debaty i panele mogą być on-line).

W jaki sposób „Konferencja..." angażowała obywateli UE? Odbywały się tzw. panele obywatelskie oraz wydarzenia wokół inicjatywy. Panele obywatelskie odbyły się – uwaga! – całe 12 razy, z czego cztery spotkania były on-line. Były cztery obszary tematyczne: silniejsza gospodarka, sprawiedliwość społeczna, zatrudnienie, edukacja, młodzież, kultura i sport, transformacja cyfrowa; demokracja europejska, wartości i prawa, praworządność, bezpieczeństwo; zmiana klimatu, zdrowie; Unia w świecie, migracje. Jedno ze spotkań odbyło się nawet w Warszawie w styczniu tego roku i dotyczyło polityki klimatycznej. W każdym panelu brało udział 200 losowo wybranych obywateli z 27 państw członkowskich. Trudno jednak powiedzieć, jak ową losowość godzono z założeniem „odzwierciedlenia różnorodności UE" pod względem pochodzenia geograficznego, wieku czy płci. Nietrudno dostrzec, że wartość opinii tak skonstruowanych paneli była żadna. W istocie były to spotkania dla wyjątkowo zainteresowanych, nijak nieprezentujące poglądów unijnych społeczeństw.

Pod informacją o panelu zorganizowanym w Warszawie Rafał Subocz pytał, jak mógłby wziąć udział w spotkaniu i czy jest ono ogólnodostępne. Pytał po polsku.

eprasa.pl 340eab0e61

Po niemiecku odpowiedział mu Siegbert Brand, uprzejmie informując, że wydarzenie jest niedostępne dla osób z zewnątrz, bo jego uczestnicy zostali wcześniej wylosowani. Są to jedyne dwa komentarze dotyczące warszawskiego spotkania. Na stronie z terminarzem spotkań jest to norma: większość ma po kilka, a nawet zero komentarzy. Najwięcej – aż 28! – komentarzy zebrał dubliński panel z lutego tego roku, poświęcony m.in. kwestiom języków narodowych. W sumie pod informacjami o panelach pozostawiono – uwaga – całe 55 komentarzy, co dobitnie ilustruje skalę zainteresowania. W skali całej Europy.

Były jeszcze panele i wydarzenia krajowe. W Polsce odbyło się sześć dyskusji – wszystkie na poziomie eksperckim i dla ekspertów przeznaczone. W Niemczech takich wydarzeń było o wiele więcej, w tym dużo otwartych. We Francji z kolei zorganizowano 18 regionalnych konferencji, każda z udziałem kilkudziesięciu losowo wybranych osób. W sieci swoje opinie o przyszłości Europy wyraziło 50 tys. młodych Francuzów. W porównaniu z innymi państwami aktywność Polski w tej sferze należała do najniższych. Lecz i tak w skali UE trudno mówić o masowej partycypacji, nawet wziąwszy pod uwagę, że w wielu państwach spotkań zorganizowanych w ramach „Konferencji…" było o wiele więcej niż w Polsce.

Sposób organizacji uczestnictwa obywateli w „Konferencji…" był zmanipulowany, a wyciągane wnioski dopasowywane do z góry przyjętych założeń, zgodnych z federalistycznym nurtem myślenia o Unii – stwierdziła w kwietniu, niedługo przed majową prezentacją ostatecznych rezultatów, grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której w Parlamencie Europejskim należy PiS. EKR stwierdziła, że postulat przyznania Brukseli większych uprawnień kosztem krajów członkowskich był „brutalnie przepychany" za pomocą manipulacji doborem uczestników i ekspertów. Zarzucono nawet organizatorom „Konferencji…" nieprawidłowości finansowe.

Eurodeputowany PiS Zdzisław Krasnodębski stwierdził: „[»Konferencja o przyszłości Europy«] miała być polem szerokiej konsultacji na temat tego, w jakim kierunku UE powinna zmierzać w kolejnych latach, na podstawie wolnej debaty uwzględniającej rozmaite wizje. Zamiast tego okazała się jeszcze jedną próbą, podjętą przez niektóre polityczne rodziny, stworzenia fałszywego wrażenia, że w sprawie przyszłości Europy istnieje konsensus nieuwzględniający żadnej alternatywy wobec dalszej centralizacji i ograniczania roli krajów członkowskich". Trzeba odnotować, że EKR nie odrzuciła procesu a priori. Chociaż przecież już wówczas można było mieć poważne podejrzenia co do jego natury i intencji inicjatorów.

W WIADOMYM KIERUNKU

Jakie wnioski przyniosła „Konferencja…"? Pogrupowano je w pakiety 49 propozycji. Wszystkie napisane są klasycznym eurożargonem i posługują się typowymi frazami kluczami, takimi jak „zrównoważony rozwój", „lepsza przyszłość", „dbanie o różnorodność". Kiedy jednak wczytać się w detale, widać, że wszystko zmierza wyłącznie w kierunku jedynie słusznym.

Na przykład w pakiecie o zmianie klimatu i transporcie mamy promocję współdzielenia pojazdów elektrycznych (czyli w konsekwencji rezygnację z własności samochodów), lecz również „uregulowanie »wydobywania« kryptowalut, co pochłania duże ilości energii". Jest też oczywiście postulat maksymalnego przyspieszenia przejścia na odnawialne źródła energii. W pakiecie o rolnictwie na pierwszym miejscu pojawia się promocja „zielonego rolnictwa", czyli z grubsza tego, co forsuje z upodobaniem komisarz Janusz Wojciechowski, a co oznaczałoby uderzenie w najbardziej dzisiaj potrzebnych, bo najefektywniejszych dużych rolników, produkujących najwięcej żywności. W przypadku hodowli zwierząt nie pojawia się wprawdzie postulat jej zakazania, ale ma ona być skoncentrowana na „dobrostanie zwierząt". W sferze zatrudnienia mamy rytualny nacisk na równowagę płci (gender equality), a także niebezpieczne postulaty ujednolicania standardów płacy minimalnej. Postulowane jest wymuszanie na prywatnych firmach określonej polityki zatrudniania, tak aby zapewnić odpowiednią liczbę miejsc pracy niesprecyzowanym „mniejszościom". Jak nietrudno sobie wyobrazić, w praktyce mogłoby to oznaczać przymus przyjmowania osób niekompetentnych, ale za to identyfikujących się z którąś z literek wciąż wydłużanego skrótu LGBTQ+.

Szczególnie groźnie wyglądają postulaty dotyczące funkcjonowania samej UE. Jest zatem postulat obowiązkowego przyjęcia unijnej Karty praw podstawowych i wymuszenia jej przestrzegania, a także ofensywnego stosowania mechanizmu warunkowości. Pojawia się również postulat wprowadzenia „minimalnych standardów niezależności mediów". O takiej koncepcji pisałem w „Do Rzeczy" kilka miesięcy temu z Brukseli, gdzie przewinęła się w kuluarowych rozmowach. W praktyce oznaczałoby to możliwość nieustannych interwencji Brukseli w ład medialny państw członkowskich. Oczywiście tylko wówczas, gdyby uznano to za politycznie użyteczne.

Mamy wreszcie postulat, który chyba jako jedyny przebił się do politycznego mainstreamu w Polsce: kwestię rezygnacji z jednomyślności w Radzie UE we wszystkich kwestiach, gdzie taki wymóg jeszcze zachowano, w tym w sprawach wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Te sprawy miałyby być oparte na głosowaniu większościowym. Przy okazji wzmocniona miałaby być rola wysokiego przedstawiciela ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Za taką rewizją traktatów zdążyła się już opowiedzieć przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen – tymczasem byłaby to zmiana absolutnie fundamentalna. Decyzje w tych kwestiach dlatego wciąż należą do sfery jednomyślności, że suwerenna polityka zagraniczna jest jednym z podstawowych wyróżników państwa. Przekazanie suwerenności w tej sprawie zbiorowemu gremium, jakim jest Rada UE, oznaczałoby de facto koniec UE państw narodowych i przekroczenie granicy federalizacji Unii. Nie jest to zmiana kosmetyczna, ale trzęsienie ziemi. Symbolicznym tego świadectwem jest kolejny postulat, aby zmienić nazwy europejskich instytucji. Rada UE miałaby się nazywać Senatem UE, a Komisja Europejska – Komisją Zarządzającą (Executive Commission). Pojawia się także wezwanie do powrotu do dyskusji o konstytucji.

EUROPA DWÓCH PRĘDKOŚCI?

Konferencja o przyszłości Europy już zaczyna być traktowana – widać to choćby po wypowiedzi pani von der Leyen na temat skasowania reguły jednomyślności – jako podstawa do gruntownej przebudowy UE w kierunku koncepcji federalnej, przedstawianej m.in. przez kanclerza Olafa Scholza. Wojna na Ukrainie, jak widać, niczego tutaj nie unieważniła – przeciwnie, zaczyna być traktowana jako dodatkowy impuls i okazja do zmiany sposobu funkcjonowania Unii. Co z kolei może w konsekwencji oznaczać powrót do groźby powstania Europy dwóch prędkości. Ale to już inna opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

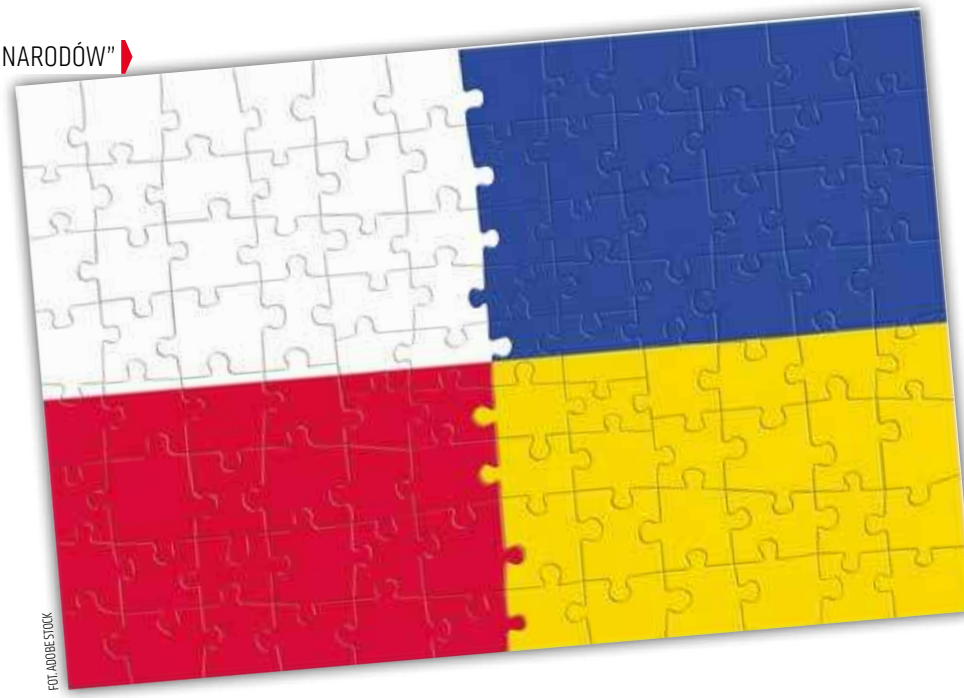

FOT. ADOBE STOCK

Jan Fiedorczuk

Niebezpieczne fantazje na prawicy

W ostatnich tygodniach uaktywniła się grupa fantastów marzących o pogrzebaniu polskiego państwa narodowego i czy to o budowie unii polsko-ukraińskiej czy wręcz o wskrzeszeniu wieloetnicznej Rzeczypospolitej. Wiele takich głosów pada niestety po prawej stronie debaty publicznej

Najpierw w obliczu pandemii i federalistycznych zapędów Brukseli, a obecnie w perspektywie wojny na Ukrainie ujawniło się całe spektrum przeciwników państwa narodowego. Część z nich działa powodowana strachem przed rosyjską agresją, część z kolei marzy o budowie regionalnego mocarstwa. Ani strach, ani fantazje nie są jednak dobrymi doradcami. O ile jednak lewica i liberałowie konsekwentnie kolportując zachodnią narrację, mówią o rozpuszczeniu polskiego narodu w europejskiej federacji (tzw. unijczycy polskiego pochodzenia, o których kilkukrotnie pisałem w „Do Rzeczy”), o tyle prawicowa krytyka państwa narodowego przebiega po zupełnie innej linii.

PAŃSTWO NARODOWE POD OSTRZAŁEM

Pierwsze skrzypce wydaje się grać tutaj środowisko Nowej Konfederacji. Szef organizacji, Bartłomiej Radziejewski, od kilku lat poszukuje nowej formy „realizmu politycznego”, co doprowadziło go do postulatu zredefiniowania polskiej tożsamości narodowej. Owa nowa tożsamość miałaby zostać ukształtowana m.in. poprzez otwarcie państwa na masy imigrantów, które wyprowadziłyby Polskę z kryzysu demograficznego (w jednym ze swych tekstów Radziejewski wręcz rzuca hasło „100 milionów Polaków na dwusetną rocznicę odzyskania niepodległości”). Za Radziejewskim poszli inni publicyści NK, którzy na przestrzeni ostatnich lat, pisząc o rzekomej niewystarczalności modelu Polski „piastowskiej”, argumentowali za przekształceniem Unii Europejskiej w kontynentalne imperium. W ostatnich tygodniach głos w tej dyskusji zabrał na łamach NK były ambasador na Łotwie i w Armenii Jerzy Marek Nowakowski, którego zdaniem polskie państwo narodowe już de facto przestało istnieć, a na jego miejsce należy powołać „nową Rzeczpospolitą wielu narodów”.

Nowakowski twierdzi, że napływ uchodźców jest szansą na powrót do idei Międzymorza i odrzucenia endeckiego, narodowego, rozumienia polityki. „Nie ma już miejsca na hasło »Polska dla Polaków«” – przekonuje publicysta. Projekt wieloetnicznej Rzeczypospolitej – twierdzi publicysta NK – oznacza konieczność rezygnacji z dotychczasowej „polityki asymilacji”, czyli stopniowego wchłaniania mniejszości i prezentowania im polskości jako atrakcyjnego modelu, i zastąpienia jej „polityką integracji”. W tym celu muszą powstać całe „organizacje ukraińskich inżynierów, lekarzy, kluby rodziców i dziesiątki innych form organizacji życia społecznego”. Taka strategia może jednak prowadzić nie tyle do integracji, ile raczej do izolacji mniejszości, a w końcu wręcz do ich gettoizacji. Idea budowy państwa dwunarodowego (bo tak to trzeba określić) jest najprostszą drogą do alienacji milionów uchodźców, co w oczywisty sposób musi generować konflikty na tle narodowościowym (nie mówiąc nawet o konsekwencjach natury politycznej i ekonomicznej). Przykładów w krajach zachodnich mamy na to aż nadto.

Problem zarówno z manifestem Nowakowskiego, jak i z innymi krytykami państwa narodowego polega na zburzeniu podstawowego rozróżnienia „gospodarz – gość”. Zniesienie tego podziału musi prowadzić do zaburzenia naturalnej hierarchii i destabilizacji porządku społecznego. Pomoc uchodźcom jest oczywistym odruchem, jednak bez fundamentalnej dychotomii „gospodarz – gość” zostaje ona spłycona do infantylnych klisz oraz staje się zarzewiem przyszłych konfliktów. Ponadto w tym instrumentalnym traktowaniu Ukraińców jest też pewna doza impertynencji, by nie powiedzieć – arogancji. Wszak mowa o narodzie, który od kilku tygodni każdego dnia przelewa krew właśnie po to, aby mieć własne suwerenne państwo. Tymczasem zwolennicy państwa wieloetnicznego głoszą swe wizje, jakby wojna była już rozstrzygnięta na korzyść Rosji, a ukraińscy uchodźcy stanowili budulec pod nową „nieksenefobiczną” Rzeczpospolitą. Polscy imperialiści ma-

eprasa.pl 340eab0e61

rzący o wieloetnicznym mocarstwie zupełnie lekceważą samych Ukraińców i ich aspiracje. Grzebiąc rozróżnienie „gospodarz – gość", grzebią tym samym szanse na zdrowe relacje z naszymi partnerami z Ukrainy. Mówiąc wprost, Ukraińcy nie zastąpią nam Polski. Co więcej, nie możemy od nich tego wymagać.

POLSKA TO ZA MAŁO?

Zdaniem Nowakowskiego Polacy powinni pożegnać się z „państwem jednonarodowym", jednak zaznacza, że obecnie jest za wcześnie, aby podnosić pomysł unii polsko-ukraińskiej. Zamiast tego trzeba dążyć do „domknięcia projektu wspólnej Europy" poprzez włączenie Ukrainy (a w dalszej perspektywie również Białorusi) do Unii Europejskiej. Dopiero wówczas można podjąć temat wspólnego, ponadnarodowego państwa. – Możemy wtedy zacząć mówić o tym, o czym marzył marszałek Piłsudski – o jakiejś federacji czy konfederacji, będącej częścią większego bytu europejskiego – stwierdził w wywiadzie udzielonym Piotrowi Zychowiczowi. To, co proponuje Nowakowski, nie jest zatem wyłącznie rozmyciem polskiej suwerenności na dwa, ale już na trzy narody, z perspektywą jej całkowitej dezintegracji w „domkniętym" projekcie europejskim.

Warto też zwrócić uwagę na ten trop Piłsudskiego. Przeciwnicy państwa narodowego chętnie odwołują się do jego osoby, widząc w nim dziedzica wyidealizowanej, romantycznie postrzeganej I Rzeczypospolitej. I jeżeli np. prezydent Andrzej Duda w święto Konstytucji 3 maja ogłasza publicznie „zaręczenie obu narodów" i przekonuje, że już niedługo „nie będzie granicy i będziemy żyli razem, na tej ziemi, odbudowując się i budując swoje wspólne szczęście i swoją wspólną siłę", to można te słowa – z pewną dozą dobrej woli – traktować jedynie jako symboliczne odwołanie do wspólnego dziedzictwa I RP i wsparcie dla unijnych aspiracji Ukrainy. Jeżeli jednak tej odrobiny dobrej woli mieć nie będziemy, to zaczniemy się zastanawiać, czy i głowa państwa nie należy do obozu fantastów na polskiej prawicy. Niestety, prezydent Polski powtarzający za Wołodymyrem Zełenskim, że „wobec tego, co zrobili Polacy, cała historia jest nieważna", sprawia, że ciężko traktować jego słowa w wymiarze czysto symbolicznym. W podobny sposób jego oświadczenie odczytała z jednej strony Joanna Senyszyn, a z drugiej choćby politycy Konfederacji czy Marek Jakubiak. Z tym że warto dodać, że akurat były poseł Kukiz'15 jest zachwycony wizją unii polsko-ukraińskiej. W programie telewizji wPolsce.pl Jakubiak przekonywał, że taka unia jest „marzeniem krzewionym od kilkuset lat". – Wielkość nasza brała się z tego, że reprezentowaliśmy dwa, trzy, nawet cztery narody. Ja bym kierował się nawet na pięć narodów – mówił Jakubiak. Urzeczony tymi słowami był prowadzący rozmowę Łukasz Jankowski. Prawicowy dziennikarz przyznał, że „odbudowanie pax jagiellonica" jest jego „chłopięcym marzeniem". – Może lepiej ten proces [akcesyjny – przyp. J.F.] przyspieszyć i powołać państwo federacyjne polsko-ukraińskie i nagle Ukraina wejdzie tym samym do UE. Nie byłoby szybciej, milej i lepiej? – pytał Jankowski pół żartem (chyba), pół serio.

Tutaj dotykamy następnego, fundamentalnego, problemu w argumentacji fantastów, jakim jest nieustanne odwoływanie się do dziedzictwa rzekomo wielonarodowej I Rzeczypospolitej. „Mamy szansę, by w sensie społecznym budować nową Rzeczpospolitą wielu narodów, nawiązującą do najlepszych tradycji polskiego złotego wieku. Sukces polityki integracyjnej może również stworzyć szansę na to, by w niedalekiej przyszłości rozmawiać o zacieśnieniu związków z sąsiednimi narodami i powrócić do mocnej i zakorzenionej w Projekcie Europejskim wspólnoty Międzymorza" – przekonuje Nowakowski na łamach Nowej Konfederacji, a podobnych głosów na prawicy jest znacznie więcej. Również były wiceszef MON Romuald Szeremietiew nie kryje radości z szans na zanik państwa narodowego. „Powstaje wreszcie koniunktura, której nie było po 1918 r., aby wskrzesić Rzeczpospolitą wielu narodów, a nie tylko [sic!] państwo Polaków. Tej szansy historycznej nie wolno nam zmarnować" – apelował były polityk w mediach społecznościowych. Z kolei Tomasz Terlikowski w swoim artykule poświęconym problematyce „przemyślenia konserwatyzmu" (ten projekt niedawno recenzował Tomasz Rowiński – „Do Rzeczy" 16/2022) – zastanawia się, co mogłoby posłużyć za narrację spajającą ten „nowoczesny konserwatyzm", i szybko znajduje odpowiedź: jest to „wieloetniczna, wieloreligijna, republikańska I Rzeczpospolita, a może wręcz Polska jagiellońska".

Problem z tego typu myśleniem polega na tym, że opiera się on na zupełnych kliszach i popada w ahistorycyzm. Zwolennicy państwa wieloetnicznego nie dostrzegają, że ich próba przeniesienia porządku narodowościowego I RP do dzisiejszych czasów bazuje na wizji historii, która pomija fundamentalny fakt, iż tych kilkaset lat temu, gdy Rzeczpospolita opierała się o Morze Czarne i Smoleńsk, a polskie wojska urzędowały w Moskwie, to w tychże odległych czasach masowe narody – w naszym rozumieniu tego terminu – po prostu nie istniały. Są one wykwitem wielowiekowego procesu, a nie odwieczną wspólnotą. Dlatego pomysł przekroczenia państwa narodowego w kierunku modelu wieloetnicznego nie jest projektem rozwojowym, tylko wprost przeciwnie – to cywilizacyjny regres. I RP może stanowić punkt odniesienia dla polskiej polityki wschodniej, jednak nie może być jej celem. Naród szlachecki, jeżeli to w ogóle odpowiednie słowo, stanowiła stosunkowo wąska elita, oddzielona murem od reszty społeczeństwa. Ten podział był wyjątkowo ekskluzywny, o wręcz – z dzisiejszej perspektywy przynajmniej moglibyśmy to tak ująć – rasowym zabarwieniu (zresztą było to zjawisko powszechne w ówczesnej Europie).

Jakkolwiek Ukraińcy, Litwini czy Białorusini mają oczywiste prawo odwoływać się do dziedzictwa I RP, to nie można się zgodzić z coraz częściej pobrzmiewającą tezą, że Rzeczpospolita nadal znajduje się pod Smoleńskiem, Mariupolem czy w Kijowie. Państwo polskie znajduje się tam, gdzie się znajduje – między Odrą a Bugiem, między Bałtykiem a Tatrami. I to interesami tego realnie istniejącego bytu powinni kierować się politycy oraz polskie elity. III RP to państwo w wielu aspektach nieudolne i niesprawiedliwe, jednak nadal jest to jedyne państwo, jakie mamy. Prawica, która w XXI w. rezygnuje ze swego narodowego zobowiązania, tym samym dokonuje ideowej apostazji. Stabilna, racjonalna struktura państwa narodowego to jeden z niewielu niepodważalnych atutów współczesnej Polski. Jest to atut, którego może nam zazdrościć coraz więcej państw Zachodu. Byłoby to wyjątkowo bezmyślne z naszej strony, gdybyśmy z własnej woli z niego zrezygnowali, goniąc senne fantazje i chłopięce marzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Polska na krawędzi wyporności

Z Witoldem Gadowskim, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: W ostatnim czasie niektórzy polscy politycy – wśród nich prezydent RP – wygłaszali publicznie twierdzenia, które mogą być interpretowane jako otwarcie na pewną formę federacji polsko-ukraińskiej. Czy tego rodzaju wypowiedzi należy traktować w kategoriach politycznej fantastyki, czy może ktoś na serio przymierza się do unii z Ukrainą?

WITOLD GADOWSKI: To koncepcja kuriozalna i bezprawna, bo z nikim niekonsultowana. Mówiąc wprost – tego rodzaju pomysły ocierają się o zdradę polskich interesów, polskiej racji stanu. Naszą racją stanu jest trwanie w państwie, w którym większość stanowią Polacy, w którym polski interes jest najważniejszy.

W tej chwili Ukraińcy stanowią prawie 10 proc. ludności Polski. Jaki scenariusz jest bardziej prawdopodobny. Pierwszy, w którym gros Ukraińców zostaje u nas na dobre, asymilując się, dając pozytywny impuls gospodarce i nową energię społeczną? Czy drugi, w którym Ukraińcy spełnią w Polsce rolę „konia trojańskiego", zachowując odrębność i wskazując z czasem zadania ekonomiczne, socjalne i polityczne, co rozsadzi polskie państwo od środka?

Zauważam u wielu Ukraińców postawy roszczeniowe. Nie wiem, czy oni otrzymują takie informacje u siebie, na Ukrainie, że jadąc tutaj, wszystko im się należy, czy też są w ten sposób informowani w Polsce. Te roszczeniowe postawy szokują zwłaszcza u ludzi, którzy zostali przyjęci jak swoi w naszym kraju. Rozumiem, że trzeba pomagać, że oni muszą mieć tutaj opiekę. Każdy cywilizowany naród zachowałby się w tej sytuacji podobnie. Ale tu chodzi o system państwowy, który w ogóle nie broni interesów swoich obywateli, nastawiając się na ochronę interesów obywateli obcego państwa. Tak to jest odbierane przez przeciętnego Kowalskiego. To jest bardzo niepokojące. Oczywiście mamy największą katastrofę demograficzną chyba od 100 lat i ekonomiści mogą sobie roić, że Ukraińcy uzupełnią dziurę demograficzną. Ale to jest czysto matematyczna kalkulacja, podczas gdy w społeczeństwie obowiązują jednak inne reguły. To nie jest prosta suma prawdopodobieństw, dochodzą jeszcze emocje, przekonania, konkretne sytuacje, postawy, charaktery itp.

– Jesteśmy na progu katastrofy budżetowej – ostrzega Witold Gadowski

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 340eab0e61

Tutaj może zrodzić się potencjalny konflikt pomiędzy wyobrażeniami uchodźców z Ukrainy o tym, co im się należy, a tym, co im się rzeczywiście należy. Bo o tym, co im się rzeczywiście należy, mogą się bardzo szybko przekonać, przekraczając granicę polsko-niemiecką. Niemcy podchodzą do tego zupełnie inaczej, wysyłając przybyszów z Ukrainy do obozów dla uchodźców, a nie do hoteli czy pensjonatów.

Nie wspominając o przyjęciu do własnych domów, jak zrobiły to tysiące Polaków. Czy nie uważasz, że ta wyjątkowa ofiarność, solidarność i empatia okazana uchodźcom z Ukrainy przez Polaków będzie owocować wymiernym dobrem wręcz w mistycznej perspektywie? Zapominając o ukraińskich bestialstwach wobec Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, okazując im dziś tyle serca, być może otworzymy drogę do pojednania, wzbudzimy w Ukraińcach gotowość do ekspiacji za zbrodnie UPA?

Na razie ani w postawach polityków ukraińskich, ani u prominentnych przedstawicieli diaspory nie widać gotowości do przyjęcia winy za Wołyń, nie widać, żeby chcieli dokonać ekspiacji. Taki krok na pewno oczyściłby naszą historię i zbudowałby perspektywę na przyszłość, która mogłaby być dobra. Ale do tego konieczne jest otwarcie ze strony ukraińskiej. My zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by zbudować pojednanie polsko-ukraińskie. Dalsze kroki mogłyby być krokami, na których tracą polscy obywatele i polski rząd. Uważam, że zachowaliśmy się wspaniale. To w ogóle cud, jak zachowali się Polacy, przyjmując Ukraińców. Ale teraz nadszedł czas na rozwiązania systemowe, które nie będą krzywdziły obywateli polskich, wypracowujących budżet i fundusze ZUS. Oni nie mogą być poszkodowani dlatego, że przybysze z Ukrainy uzyskują darmowy dostęp do świadczeń, na które składa się praca kilku pokoleń Polaków. Stoimy w obliczu katastrofy systemu opieki zdrowotnej w Polsce, nie oszukujmy się – przyjmując do tego systemu setki tysięcy Ukraińców, wysadzamy ten system w powietrze. Jesteśmy na progu katastrofy budżetowej, bo deficyt jest na poziomie nienotowanym w historii, a my lekką ręką wydajemy następne pieniądze, które są drukowane bez pokrycia. W ten sposób rząd okrada obywateli. Doszliśmy do czasów komunistycznych. W sposób totalitarny, kłamliwie zwalcza się każdą racjonalną opinię, zdroworozsądkowe pytania. To komunistyczna cenzura. Każdy, kto zadaje racjonalne pytanie, skąd wziąć pieniądze na utrzymanie Ukraińców, jest wyzywany od ruskich agentów. Spędziłem kilkadziesiąt lat na walce z rosyjskimi wpływami w Polsce, robiłem na ten temat filmy, napisałem setki artykułów, a dziś jestem wyzywany od ruskich onuc przez gówniarzy, którzy mają mleko pod nosem, szczutych przez propagandę.

Polacy i Polska stają na głowie, żeby wspomóc Ukrainę w wojnie z Rosją. Czy Ukraińcy potrafią to docenić?

Ukraińcy ciągle wymierzają nam symboliczne policzki. To może są nieistotne rzeczy, ale w momencie, gdy minister spraw zagranicznych Ukrainy mówi, iż liderem pomocy zagranicznej dla Ukrainy są Niemcy, to ja pytam: Zaraz?! A ilu uchodźców z Ukrainy jest w Niemczech, a ilu w Polsce? Ile uzbrojenia na Ukrainę wysłała Polska, nie informując zresztą o tym swoich obywateli, a ile Niemcy?

Kiedy ostatnio toczył się konkurs tej dziwnej Eurowizji i nastąpiła punktacja, dostaliśmy kolejny policzek od ukraińskiego jury. A później te tłumaczenia, że to rosyjska agentura… że byli tam ludzie związani z Rosją. To oczywiste bzdury, bo w jury byli ludzie wyznaczeni przez czynniki ukraińskie. Nadszedł czas na polityka w Polsce, który głośno powie: „Polacy, nikt nie będzie was bił i obrażał we własnym kraju!". Myślę, że ten, kto powie to pierwszy, zyska ogromne poparcie społeczne. Ludzie boją się wygłaszać tego rodzaju opinie. Ale ja rozmawiam z wieloma ludźmi, nie z warszawskimi elitkami, które hodują maleńkie pieski i wożą je w wózkach, a teraz pobrały sobie do domów Ukraińców, bo to jest modne.

Opisałem ostatnio zdarzenie, które widziałem w Krakowie. Grupka pijanych Ukraińców, wykorzystując przekleństwa, wymachiwała ukraińskim flagami, ledwo trzymając się na nogach. Podszedłem do nich i powiedziałem: „Zachowujcie się normalnie, bo jesteście w normalnym kraju, w którym obowiązuje prawo. Tu jest Polska. Obowiązują biało-czerwone symbole i proszę to uszanować". Po tym wpisie spadła na mnie lawina hejtu od Polaków, którzy wyzywali mnie od ostatnich, przywoływali najgorsze emocje tylko dlatego, że śmiałem coś powiedzieć w kwestii ukraińskiej, i to nie w związku z polityką, tylko na temat chamskiego zachowania grupki Ukraińców, którzy – o dziwo! – uspokoili się po moich słowach.

Jaką rolę twoim zdaniem Stany Zjednoczone przypisały w Polsce w związku z wojną na Ukrainie? Hubu humanitarnego i logistycznego czy potencjalnie aktywnego uczestnika działań wojennych ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu? Co z amerykańskimi zobowiązaniami sojuszniczymi? Czy USA dotrzymają ich w sytuacji rozlania się konfliktu?

Bardzo charakterystyczna jest tu sprawa polskich migów. Kiedy pojawił się pomysł przekazania ich Ukraińcom, ktoś w Polsce, w polskiej dyplomacji, poszedł po rozum do głowy i oświadczył Amerykanom, że dobrze, przekażemy te samoloty, ale poprzez bazę w Rammstein, czyli de facto przekazującymi Ukraińcom samoloty byliby Amerykanie. O ile wcześniej Departament Stanu USA wyraził zgodę na przekazanie samolotów przez Polskę Ukrainie, abstrahując od tego, co amerykański Departament Stanu ma do dysponowania przez Polskę jej uzbrojeniem, to po propozycji Warszawy te same amerykańskie czynniki oświadczyły, że tego rodzaju operacja byłaby zbyt ryzykowna.

Polacy mają ryzykować, nadstawiać głowy w imię amerykańskich interesów, ale jeśli w sprawę miałyby być wciągnięte oficjalnie USA, usłyszeliśmy, że to zbyt ryzykowne. Niestety, w oficjalnym obiegu politycznym nikt nie wyciągnął wniosków z tej sytuacji. Czy naprawdę nie widać zagrożeń, które sobie zafundowaliśmy? Ile grup terrorystycznych i gangów ściągnie do Polski? To będą ludzie, którzy przeżyli wojnę, którzy strzelali i zabijali. Oni przyjadą tu z bronią. Jesteśmy bezbronni wobec takich grup. Tu nie ma nic do rzeczy to, czy ktoś kocha Ukraińców czy nie. Taki rozwój wydarzeń czeka nas po prostu w przyszłości.

Kiedy rok temu w gronie kilku osób prognozowaliśmy, że w momencie wybuchu wojny na Ukrainie do Polski napłyną rzesze uchodźców i zdestabilizują państwo, wszyscy się śmiali i mówili, że to futurologia. Teraz to rzeczywistość. Państwo jeszcze nie jest zdestabilizowane, ale jest na krawędzi wyporności.

Ktoś powie, że Gadowski ma kompleks Kasandry, widzi przyszłość wyłącznie na czarno…

Wolę mieć kompleks Kasandry, a potem obudzić się i zobaczyć, że świeci słońce i że żyjemy, niż żeby było odwrotnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Anglik na dachu świata

Łukasz Czarnecki

Nazwisko Thomasa Manninga (1772–1840) nie mówi współczesnemu człowiekowi nic. Tymczasem był on bez wątpienia jednym z najodważniejszych podróżników XIX w.

Thomas Manning jeszcze w młodości dał się poznać jako postać niestandardowa. Odbywszy studia matematyczne na prestiżowym uniwersytecie w Cambridge, dyplomu uczelni nie zyskał, gdyż... ze znanych tylko jemu samemu powodów odmówił podejścia do egzaminów. Następnie przeskoczył na medycynę i zdobył uprawnienia lekarskie. Jednak nie dla niego była cicha praktyka w ojczystym Norfolk!

Żądny doznań i wiedzy młodzieniec obracał się w towarzystwie wczesnoromantycznych poetów, bywając również częstym gościem posiedzeń londyńskich instytucji naukowych. Przypuszczalnie sporo czytał i chyba temu właśnie zajęciu poniekąd zawdzięczać mógł obsesję, która ogarnęła go w pierwszych latach XIX w. Na angielskim rynku wydawniczym sporą popularnością cieszyły się wówczas książki opisujące przebieg zakończonej totalną klapą misji dyplomatycznej lorda Macartneya, wysłanej w roku 1792 do Chin. Choć poselstwo nie osiągnęło żadnego z zakładanych celów, to członkowie biorącego w nim udział personelu – począwszy od samego lorda, a skończywszy na jego lokaju – po powrocie do Anglii zaczęli opisywać swe perypetie i chińskie realia w książkach, które z księgarnianych półek schodziły jak świeże bułeczki. I raczej na pewno jednym z ich czytelników był właśnie Manning, który zafascynowany opisem egzotycznego Państwa Środka postanowił do niego czym prędzej wyruszyć i poświęcić się badaniu jego kultury.

MISJA NIEMOŻLIWA

Idea odwiedzenia Chin, która zalęgła się w głowie naszego bohatera, była kompletnym szaleństwem. Wyprawić się

eprasa.pl 340eab0e61

Lhasa w Tybecie FOT. WELLCOME COLLECTION

na Daleki Wschód było bowiem wówczas prawie tak trudno, jak polecieć na Księżyc. Chińskie władze kategorycznie odmawiały wpuszczania Europejczyków. Jedynym otwartym dla nich punktem na chińskiej mapie był kantoński port, do którego zawijały statki zachodnich kupców kupujących herbatę, jedwab i porcelanę. Nawet tu jednak ludzi Zachodu obowiązywały liczne ograniczenia – wstęp do samej metropolii był im zakazany i przebywać musieli na mikroskopijnym obszarze nadbrzeżnych faktorii. Jakby nie dość było tych komplikacji, poddany Korony mógł się do Kantonu dostać tylko na pokładzie jednostki Kompanii Wschodnioindyjskiej, mającej monopol na handel z Chinami. Na statki owe nie mieli zaś wstępu niezwiązani z tą firmą cywile.

Już wszystkie powyższe przeszkody każdemu rozsądnie myślącemu człowiekowi wybiłyby z głowy marzenia o chińskich przygodach, ale Manning nie miał zamiaru odpuszczać. W swoich fantazjach wędrował swobodnie po całym Państwie Środka, poznając obyczaje jego mieszkańców, więc uznał, że aby móc wcielić je w życie, koniecznie musi nauczyć się chińskiego. Konkluzja taka brzmi bardzo rozsądnie. Był jednak spory problem. W całym ówczesnym imperium brytyjskim językiem chińskim posługiwał się tylko jeden człowiek – sir George Thomas Staunton, który przebywał w... Kantonie.

Nasz bohater nie dał się jednak złamać piętrzącym się przed nim trudnościom. W poszukiwaniu nauczyciela wyjechał w 1802 r. do Paryża i tam udało mu się poznać pewnego sinologa. Uczony zgodził się wziąć Manninga pod swe skrzydła. Nastąpił jednak kolejny zwrot akcji – Wielka Brytania i Francja znalazły się w stanie wojny i Thomas został aresztowany. W niewoli spędził dwa lata, aż w roku 1804 wydano mu wreszcie paszport i pozwolono wrócić do domu.

Dotychczasowe perypetie nie ostudziły zapału młodego Anglika. Chińskiego postanowił nauczyć się już w samych Chinach od rezydującego w Kantonie Stauntona. Awanturnikowi wsparcia udzielił przewodniczący Towarzystwa Królewskiego, przyrodnik Joseph Banks. Dzięki jego protekcji Manning został oficjalnie zatrudniony przez Kompanię Wschodnioindyjską w charakterze medyka. Rozradowany w roku 1806 zameldował się na pokładzie płynącego na Daleki Wschód statku i pożeglował ku wymarzonej przygodzie.

NIE DRZWIAMI, TO OKNEM

W styczniu 1807 r. był już w brytyjskiej faktorii w Kantonie. Przybycie do południowochińskiego portu „szaleńca" pragnącego poświęcić się nauce chińskiego George Staunton uznał za istny dar z niebios. On sam nie cierpiał Chin i niecierpliwie wyglądał okazji do powrotu do wesołej Starej Anglii. Tyle tylko że będąc jedynym potrafiącym porozumieć się z tubylcami w ich własnym języku agentem Kompanii, był de facto przykuty do faktorii. Teraz znalazł kogoś mogącego go w przyszłości zastąpić. Świat nagle wydał się Stauntonowi o wiele przyjaźniejszym miejscem. Choć całkiem możliwe, że gdy sir George po raz pierwszy zobaczył swojego ucznia, przeżył szok, podczas gdy ten w trakcie rejsu do Azji zapuścił potężną brodę nadającą mu cokolwiek osobliwy wygląd.

I tak płynęły pracowite dni, które Manning spędzał na studiach językowych i świadczeniu brytyjskim kupcom opieki medycznej. Nie czuł się jednak usatysfakcjonowany. Co prawda, postępy w nauce robił błyskawiczne i wkrótce już płynnie mówił po chińsku, ale Kanton mimo wszystko był klatką. Dusza Thomasa rwała się w głąb lądu, chciał zobaczyć Pekin. Kilka miesięcy po przyjeździe, przy wsparciu reprezentantów Kompanii, podjął próbę zrealizowania tego pragnienia. Odpowiedzialnemu za kontakty z cudzoziemcami kantońskiemu urzędnikowi, zwanemu „hoppo", przekazana została petycja sugerująca, że angielski lekarz mógłby udać się do stolicy, by tam dołączyć do służących cesarzowi europejskich uczonych. Nic wskórać się jednak nie udało, gdyż „hoppo" odmówił nadania sprawie dalszego administracyjnego biegu.

W tej sytuacji nasz bohater postanowił dostać się do Chin odmienną drogą. Pożeglował do Wietnamu i spróbował wkręcić się w wyruszające właśnie do Pekinu poselstwo tamtejszego władcy, niestety, plan ten spalił na panewce. Manning powrócił zatem do Kantonu, jako pamiątkę z wojaży po Indochinach przywożąc tradycyjne jedwabne wietnamskie szaty, które nosił odtąd zamiast europejskiego odzienia. W połączeniu z coraz dłuższą brodą uczyniło to jego wygląd tak egzotycznym, że trudno było już rozpoznać w nim Anglika.

W roku 1810 awanturnik podjął kolejną próbę dostania się w granice cesarstwa chińskiego. Droga, którą obrał, była jeszcze bardziej okrężna niż poprzednio. Popłynął do kontrolowanego przez Brytyjczyków indyjskiego Bengalu i tam zaczął przygotowania do ekspedycji na północ. Poprzez Bhutan planował dostać się do będącego chińskim protektoratem Tybetu. W Kalkucie udało mu się odnaleźć chińskiego imigranta z Kantonu – katolickiego konwertytę imieniem Zhao, który zgodził się towarzyszyć mu w podróży w charakterze tłumacza.

Ekspedycja, w której jedynymi towarzyszami podróżników mieli być lokalni przewodnicy, ruszyła w drogę wczesną jesienią 1811 r. We wrześniu wędrowcy przekroczyli granicę brytyjskich włości

eprasa.pl 340eab0e61

i znaleźli się w Bhutanie. Zaczęła się ich przygoda.

DACH ŚWIATA

Nieustraszony obieżyświat i jego tłumacz wędrowali himalajskim szlakiem w zależności od warunków – konno lub pieszo. Szybko okazało się jednak, że nasza para była wyjątkowo niedobrana. 16 października Manning odkrył, że Zhao ukradł z bagażu jego sztućce i sprzedał je w miasteczku, w którym ostatnio nocowali. Rozeźlony Anglik chciał koniecznie wrócić, odzyskać swoją własność, ale spotkał się z odmową towarzyszy. Ze zgrozą odnotował później w dzienniku, że wydarzenie to uświadomiło mu, jak bardzo jest zdany na łaskę swojego tłumacza i lokalnego przewodnika.

Sześć dni po nieprzyjemnym incydencie podróżnicy weszli w obręb Tybetu. Brytyjski awanturnik stał się tym samym pierwszym Anglikiem, który dotarł do tego tajemniczego górskiego kraju. Był również dopiero trzecim odwiedzającym go Europejczykiem – jego dwaj poprzednicy, katoliccy misjonarze, dach świata zwiedzili w XVII stuleciu.

W przygranicznym mieście Pagri Manninga czekało spotkanie z lokalnym chińskim urzędnikiem. Spore obawy w Brytyjczyku budziła świadomość, że wieści o brytyjskich podbojach na subkontynencie dotarły do Tybetu. Było całkiem prawdopodobne, że tutejsza administracja, zorientowawszy się, że ma do czynienia z Anglikiem, nie powita go zbyt przyjaźnie. Pamiętając też o niechęci, z jaką władze Państwa Środka traktowały Europejczyków, postanowił ukryć swą narodowość i przedstawił się jako buddyjski mnich z Indii, odbywający pielgrzymkę do Lhasy. Jako że ostrożności nigdy nie było za wiele, zataił też swoją znajomość chińskiego. Na wszelki wypadek, chcąc uniknąć demaskacji, przestał posługiwać się również angielskim. Od tej pory do ludzi napotkanych na szlaku mówił wyłącznie po... łacinie. Szczęśliwie towarzyszący mu Zhao, ukończywszy katolicką szkołę misyjną, znał mowę Cycerona i przekładał wypowiedzi chlebodawcy na język zrozumiały dla miejscowych. Mandaryn uwierzył w ową „legendę" i pozwolił naszemu bohaterowi ruszyć w dalszą podróż w głąb Tybetu.

Wędrowcy dołączyli do udającego się na nowy przydział oddziału chińskiego wojska. Służąc wojakom pomocą medyczną, Manning szybko zyskał ich sympatię. Żołnierze otoczyli go opieką, podarowali mu ciepłą odzież, a na postojach rozbijali dlań namiot. Szczególnie polubił Anglika dowódca oddziału, który wieczorami po długim marszu lubił zasiąść wraz z nim i zapaliwszy fajkę, wziąć do ręki lutnię, na której grał popularne chińskie melodie, do których taktu jego podwładni śpiewali arie operowe.

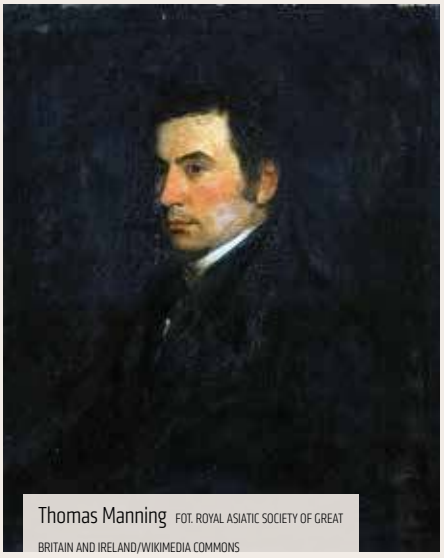

Thomas Manning FOT. ROYAL ASIATIC SOCIETY OF GREAT BRITAIN AND IRELAND/WIKIMEDIA COMMONS

Na początku grudnia 1811 r. rzekomy buddyjski mnich dotarł do Lhasy. Miasto wywołało w nim dysonans poznawczy – wspaniały pałac dalajlamy i bogate klasztory ostro kontrastowały z nędznymi warunkami, w których gnieździła się większość ludności. Tybetańskie domy Manning uznał za odpowiednie raczej dla zwierząt niż ludzi, ulice tonęły w błocie, a jakby tego było mało, biegały po nich watahy bezpańskich psów. Dobre wrażenie zrobił za to na obieżyświacie dalajlama, który przyjął go na audiencji 17 grudnia. Głową tybetańskiego buddyzmu był wówczas zaledwie sześcioletni chłopiec, dziecko tak urocze, że zupełnie zawojowało serce Anglika. Na jednym spotkaniu znajomość ta się zresztą nie skończyła, bo fałszywy pielgrzym w Lhasie został na dłużej. Wbrew swej woli.

W TARAPATACH

Na początku XIX w. Tybet cieszył się w ramach cesarstwa chińskiego sporą autonomią, a dalajlama pozostawał jego oficjalnym zwierzchnikiem. Prawdziwa władza należała jednak do desygnowanego przez Pekin urzędnika znanego jako amban. Pełniący u schyłku roku 1811 ową godność mandaryn powitał przybysza z Indii z nieufnością. Wiedział o brytyjskich porządkach w Bengalu, co gorsza – doskonale orientował się, jak wyglądają ludzie z Zachodu – nim objął stanowisko w Lhasie, pracował w Kantonie i miał styczność z Anglikami. Do Tybetu trafił zresztą w ramach kary za nieuporanie się z problemami sprawianymi przez brytyjską flotę, dlatego poddanych Korony darzył szczerą nienawiścią. Już wkrótce Manning przekonał się, że każdy jego krok jest śledzony, a mieszkanie, które zajął, regularnie przeszukiwane. Na koniec amban oświadczył awanturnikowi, że uważa go za szpiega lub katolickiego misjonarza, i nałożył na niego areszt domowy. Uwięziony został też Zhao. Mandaryn tymczasem spisał wszystkie swoje podejrzenia i wysłał je do Pekinu wraz ze skierowanym do cesarza Jiaqinga zapytaniem o to, jak postąpić z rzekomym indyjskim mnichem i towarzyszącym mu chińskim zdrajcą.

Odpowiedź imperatora nadeszła pod koniec lutego 1812 r. Syn Niebios chwalił swego sługę za czujność, schwytanie barbarzyńskiego szpiega i jego nikczemnego pomagiera. Podszywającego się pod pielgrzyma Europejczyka nakazywał deportować tam, skąd przyszedł, a kolaborującego z nim Chińczyka osądzić i ukarać.

Dzień po nadejściu cesarskiego dekretu Manninga i Zhao rozdzielono. Awanturnik już nigdy więcej nie ujrzał swego tłumacza, a historia milczy na temat dalszych jego losów, lecz znając okrucieństwo ówczesnego chińskiego prawa, raczej nie były one zbyt wesołe. Nasz bohater nie miał jednak czasu zbyt długo rozważać przeznaczenia czekającego nieszczęsnego konwertytę. Żołnierze ambana zakuli szyję Anglika w przenośne dyby i popędzili go ku granicy z Bhutanem, gdzie został uwolniony. Upokorzony, lecz szczęśliwy, że wykręcił się małym kosztem, doszedłszy do siebie, po długim marszu Manning ruszył w kierunku Kalkuty.

Resztę życia Manning poświęcił pracy naukowej, co spowodowało, że anglojęzyczna Wikipedia tytułuje go dziś, niezgodnie zresztą z prawdą, „pierwszym europejskim sinologiem". Choć może się to wydawać zaskakujące, nie opublikował dziennika, w którym opisywał przebieg swej ekspedycji w Himalaje. W efekcie o wyprawie Manninga głośno zrobiło się dopiero ponad trzy i pół dekady po jego śmierci, gdy w roku 1876 diariusz ten ukazał się drukiem za sprawą Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Tajna klęska Sowietów

Rywalizacja wywiadów II RP i Związku Sowieckiego w dwudziestoleciu międzywojennym zakończyła się katastrofą. Mowa oczywiście o bolszewickiej operacji „Trust". Tajne służby Sowietów ograły i dogłębnie spenetrowały nasz Oddział II. Była to klęska, z której wywiad Rzeczypospolitej na kierunku wschodnim nie podniósł się już do końca istnienia Niepodległej. Do 17 września.

Polsko-bolszewicka wojna na tajnym froncie nie składała się jednak z samych porażek. Dużo lepiej polskiemu wywiadowi poszło w trakcie wojny 1920 r. Według Andrzeja Kowalskiego, Oddział II odniósł wówczas zdecydowane zwycięstwo. Była to tytułowa „założycielska klęska" GRU, słynnego sowieckiego wywiadu wojskowego.

Przyczyn, dla których służba ta spisała się fatalnie, było kilka. Przede wszystkim był nim rewolucyjny chaos panujący w szeregach Sowietów. Bolszewicy tępili zawodowych oficerów i fachowców z czasów ancien régime'u. Czołowe stanowiska zajmowali działacze partyjni. Mierni, bierni, ale wierni. Wywiad znalazł się więc w rękach ludzi niekompetentnych i niedoświadczonych. Do tego trzeba dodać złą organizację i rozgardiasz panujący w Armii Czerwonej. W 1920 r. było to wojsko w dużej mierze improwizowane, które miało nieść na Zachód „płomień rewolucji", a nie uprawiać fachową sztukę wojenną. Takie założenia nie mogły nie przełożyć się na jakość wywiadu. „Nierealistyczne cele polityczne – czytamy – postawione przed ludźmi o słabych charakterach musiały doprowadzić do niedopuszczalnego w wywiadzie procesu, gdy opis rozpoznawanej rzeczywistości był dopasowany do żądań kierownictwa państwa".

Źródłem satysfakcji dla polskiego czytelnika może być to, że nasze służby również stawiały w 1920 r. pierwsze kroki. Rzeczpospolita też była młodym państwem, które niemal od zera musiało organizować swoje struktury. Zwycięstwo w wojnie wywiadów z Sowietami jest więc tym bardziej cenne.

„Jest to wspaniała karta z historii polskiego wywiadu – pisze Kowalski – oraz niechlubna karta rosyjskiej historii. Nic dziwnego, że tak długo skrywana". ©℗

★★★★★☆

ANDRZEJ KOWALSKI
„ZAŁOŻYCIELSKA KLĘSKA GRU"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy polski rekord świata

Halina Konopacka ze sportem wyczynowym zetknęła się podczas studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Zapisała się do Akademickiego Związku Sportowego, gdzie ze względu na wzrost (181 cm) początkowo trenowała koszykówkę. Nigdy jednak nie chciała poświęcić się tylko jednej dyscyplinie.

„Wielostronność zainteresowań sportowych – tłumaczyła kilka lat później – pozwoliła mi na wszechstronne rozwinięcie sił fizycznych i cech psychicznych, które w sportowej walce odgrywają niepoślednią rolę. Zdolność koncentracji wszystkich sił, aby w jednej krótkiej chwili wyładować całą posiadaną energię, opanowanie nerwów, wiara we własne siły i wola zwycięstwa są nieodzownie potrzebne".

Przełomowa chwila w jej życiu nadeszła, gdy pojawiła się na treningu lekkoatletycznym. Trenerzy błyskawicznie zauważyli jej predyspozycje i po kilku miesiącach została mistrzynią Polski w pchnięciu kulą i rzucie dyskiem.

Halina nie miała budowy typowej miotaczki, jednak braki w muskulaturze nadrabiała wzrostem i znakomitą koordynacją ruchową. Była bardzo wszechstronna, odnosiła również sukcesy w rzucie oszczepem, skoku wzwyż i biegach. Podczas mistrzostw Polski w 1928 r. wzięła udział w 10 (!) konkurencjach i zdobyła aż siedem złotych medali. To była jednak zupełnie inna epoka, przy dzisiejszej specjalizacji trudno sobie wyobrazić podobne sukcesy.

Koronną dyscypliną Konopackiej pozostał jednak rzut dyskiem, 23 maja 1926 r. ustanowiła rekord świata w tej konkurencji, co było w ogóle pierwszym polskim rekordem świata w lekkoatletyce. Trzy miesiące później zdobyła złoty medal na kobiecych igrzyskach w Göteborgu, uchodziła też za jedną z faworytek olimpiady w Amsterdamie. Uważano nawet, że polska reprezentacja lekkoatletyczna to „kilka dodatków do Konopackiej", a pani Halina faktycznie nie zawiodła i zdobyła złoty medal.

Ciekawostką natomiast pozostaje fakt, że w czasach Konopackiej rozgrywano zawody w konkurencjach obecnie już zapomnianych. Należał do nich rzut dyskiem czy oszczepem oburącz (!), sumowano wyniki uzyskane przez zawodniczki za pomocą lewej i prawej ręki. Ale Halina osiągała również sukcesy w tak egzotycznych dyscyplinach jak rzut piłką uszatą (!) o wadze 800 g. Ale skoro na olimpiadach rozgrywano zawody w przeciąganiu liny czy skokach wzwyż z miejsca, to trudno się dziwić rywalizacji w rzucie piłką uszatą. Dla ówczesnych kibiców zresztą zupełnie niezrozumiała byłaby dzisiejsza rywalizacja w pływaniu synchronicznym… ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. KREMLIN.RU

Car jest nagi. Albo umiera

Maciej Pieczyński

Mnożą się spekulacje na temat fatalnego stanu zdrowia Putina. Ponadto niepowodzenia na froncie i naciski Zachodu wpływają na wzrost niezadowolenia kremlowskich i prokremlowskich elit oraz resortów siłowych. Dyktator zdaje się słabnąć

Według informacji włoskiego dziennika „La Stampa" w ubiegłym tygodniu, w nocy z poniedziałku na wtorek, Putin przeszedł poważną operację. Jego chorobie towarzyszą jakoby „urazy, drżenia oraz bladość". Prawdopodobnie chodzi o nowotwór. Stan zdrowia rosyjskiego dyktatora jest owiany tajemnicą – stąd operację przeprowadzono pod osłoną nocy. Aby ukryć nieobecność prezydenta, służby specjalne przygotowały nagrania wideo, przedstawiające całego i zdrowego Putina jakoby w czasie rzeczywistym, a także sobowtóra, który miałby w razie potrzeby zastępować go przez okres do 10 dni. W momencie ukazania się tego numeru „Do Rzeczy" władca Kremla powinien już znać diagnozę. Oczywiście według włoskiego dziennika, który powołuje się na swoje – anonimowe, rzecz jasna – źródła w rosyjskich służbach specjalnych. Jednoznacznych dowodów na prawdziwość tych rewelacji brak.

Putin nie miał za bardzo czym się pochwalić podczas przemówienia 9 maja. Bardziej więc od tego, co powiedział, uwagę mediów przykuło to, jak wyglądał. Wydawał się kuleć, siedział przykryty kocem, choć towarzyszący mu weterani nie byli niczym przykryci, a temperatura w Moskwie tego dnia wynosiła 9 st. C. Kilka dni wcześniej, podczas spotkania z ministrem obrony Siergiejem Szojgu, kurczowo trzymał się stołu prawą ręką tak, jakby chciał ukryć jej drżenie. To miałby być dowód, że Putin cierpi na parkinsona. Wyraźnie opuchnięta twarz prawdopodobnie nie jest efektem botoksu, jak powszechnie uważano, tylko skutkiem zażywania sterydów – być może w ramach leczenia choroby onkologicznej.

CZEKAJĄC NA ŚMIERĆ DYKTATORA

„Absolutnie potwierdzam, że on [Putin] jest w niezbyt dobrym psychiczno-emocjonalnym i fizjologicznym stanie. Jest bardzo chory. Cierpi jednocześnie na kilka chorób, a jedną z nich jest rak" – powiedział w rozmowie z telewizją Sky News gen. Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego. Stwierdził też, że pod wpływem porażek na froncie praktycznie już się zaczął przewrót, którego celem jest obalenie Putina. Konkretnych dowodów czy argumentów na potwierdzenie tej tezy nie przedstawił. Nie wiadomo, na ile podał rzeczywiście posiadane informacje wywiadowcze, a na ile był to element wojny informacyjnej przeciwko Rosji. Tak czy inaczej, wypowiedź Budanowa jest jedną z wielu tego typu diagnoz stanu Putina, pojawiających się w przestrzeni publicznej. 1 kwietnia niezależny portal Projekt opublikował rezultaty śledztwa dziennikarskiego, z których wynika, że rosyjskiemu prezydentowi stale towarzyszą lekarze. W tym chirurdzy głowy i szyi, traumatolog ortopeda oraz neurochirurg, specjalizujący się w chorobach (również onkologicznych) tarczycy.

Putin jest „ciężko chory na raka krwi" – twierdzi rosyjski oligarcha, nagrany potajemnie przez zachodniego biznesmena, inwestującego w Rosji. Nie znamy nazwiska ani jednego, ani drugiego.

eprasa.pl 340eab0e61

Wiemy jedynie, że do nagrania dotarł amerykański portal New Lines. Oligarcha, należący do bliskiego otoczenia Kremla, został nagrany w połowie marca. „On [Putin] całkowicie zniszczył gospodarkę Rosji, gospodarkę Ukrainy i wiele innych gospodarek […]. On ma problemy z głową. Jeden chory psychicznie może przewrócić świat do góry nogami" – mówi oligarcha. Redakcja ustaliła jego tożsamość, ale jej nie podała, żeby uchronić go przed represjami. Oligarcha, nazwany na potrzeby tekstu Jurijem, należał do wąskiego kręgu ok. 20–30 osób, z którymi Putin potajemnie spotkał się tuż przed aneksją Krymu, aby wyjaśnić motywy swojej decyzji. Był też jednym z 200 najbogatszych Rosjan według rankingu „Forbes". Wiele stracił na sankcjach. Jurij mówi na nagraniu, że „my wszyscy mamy nadzieję", iż Putin umrze na raka albo w rezultacie przewrotu pałacowego. Nie wiadomo, czy zaimek „my" został użyty przypadkowo, czy Jurij mówił w imieniu rosyjskich oligarchów. W nagranej rozmowie biznesmen mówił też o problemach Putina z kręgosłupem, sugerując, że mogą być one związane z rakiem krwi. Ponadto wspomniał o tym, że prezydent Rosji w październiku 2021 r. przeszedł operację kręgosłupa. Dziennikarzom New Lines nie udało się tej informacji potwierdzić.

Plotki (lub prawdziwe informacje) na temat stanu zdrowia Putina stały się na tyle głośne, częste i poważne, że 13 marca z Łubianki rozesłano do wszystkich regionalnych dyrektorów FSB tajną zapiskę na ten temat. „Jej treść nakazywała nie wierzyć słuchom o nieuleczalnej chorobie prezydenta […]. Według słów mojego źródła w jednym z oddziałów regionalnych efekt był odwrotny – większość pracowników FSB nagle uwierzyła, że Putin rzeczywiście poważnie zachorował" – mówił w rozmowie z New Lines dobrze poinformowany dziennikarz śledczy Christo Grozev z portalu Bellingcat. Jego zdaniem w kremlowskiej i okołokremlowskiej elicie oraz służbach specjalnych powoli, ale jednak rośnie niezadowolenie. Na antenie opozycyjnego Radia Swoboda stwierdził, że konflikt na linii Putin – siłowicy jest oczywisty, nie wiadomo tylko, czy na tyle ostry, by przerodzić się w rewolucję. Przedstawiciele elit oraz służb specjalnych na wojnie więcej stracili, niż zyskali i nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja się odwróciła. Nie zarobili nic na inwazji na Ukrainę, za to mocno uderzyły w nich sankcje. Nie mogą już zapewnić dzieciom wykształcenia na prestiżowych zachodnich uczelniach, nie mogą już bezpiecznie trzymać swoich fortun w zachodnich bankach. Za niepowodzenia na froncie winią Putina.

W rozmowie z Radiem Swoboda Grozew przyznał, że możliwe jest pojawienie się „rosyjskiego Stauffenberga", który podjąłby próbę obalenia Putina, ale tylko w momencie, gdyby sytuacja na froncie stała się katastrofalna. Podobnie jak w przypadku niemieckiego spiskowca celem nie byłaby zmiana systemu, tylko odsunięcie od władzy nieudolnego lidera (i też nie wiadomo, czy spisek nie skończyłby się tak jak w przypadku Stauffenberga). W mediach społecznościowych można znaleźć wpisy wagnerowców i innych walczących po stronie Rosji najemników, którzy krytykują indolencję dowództwa rosyjskiego. Osobnym zjawiskiem jest Igor „Striełkow" Girkin – były oficer FSB, bohater separatystycznej rebelii z 2014 r. Girkin od wielu lat, już z pozycji „zasłużonego weterana", komentuje wojnę na Ukrainie. Jako „ideowy imperialista" krytykował Kreml za to, że zadowolił się zajęciem Krymu i Donbasu. Po 24 lutego z kolei wytyka błędy w prowadzeniu „specoperacji", zarzucając Siergiejowi Szojgu rażące zaniedbania, a nawet zdradę stanu. Pomstuje też na przedstawicieli kremlowskich elit, którzy jego zdaniem „nie chcą tej wojny", bo wolą wysyłać swoje dzieci do szkół na zgniłym Zachodzie zamiast na front.

MOŻLIWY PRZEWRÓT?

Zdaniem Grozeva słabość Putina może też sprawić, że rosyjski prezydent nie zdecyduje się na użycie broni jądrowej. Możliwe bowiem, że w obawie przed konsekwencjami takiego kroku odmówiono by wykonania tego rozkazu. To zaś mógłby być sygnał do niesubordynacji i początek końca Putina. Również redaktor naczelny portalu Agentura.ru Andriej Sołdatow jest przekonany, że w rosyjskich resortach siłowych panuje niezadowolenie. Jednak, jego zdaniem, nie oznacza to, że realny jest w najbliższym czasie zamach stanu. Putin nie zostanie obalony, ale między nim a siłowikami tworzyć się będą coraz większe dystans i bariera nieufności. „To spowoduje, że staną się pasywni w odpowiedzi na pojawiające się kryzysy" – komentował Sołdatow w rozmowie z Radiem Swoboda.

Nieśmiałe głosy niezadowolenia słychać nawet w zazwyczaj zgodnym chórze kremlowskiej propagandy. Zarówno ze strony radykałów, którzy oczekują ostatecznej i pełnej „denazyfikacji" Ukrainy, jak i realistów, dostrzegających błędy w ocenie sytuacji. Politolog Siergiej Michiejew oraz były agent KGB i były izraelski dyplomata Jakow Kedmi wielokrotnie na antenie państwowej telewizji potępiali pomysł rozmów pokojowych z władzami w Kijowie, wzywając do całkowitego zniszczenia „reżimu". Michiejew wykpił też pomysł pozostawienia Zełenskiego przy władzy, komentując: „To tak, jakby denazyfikować Niemcy i pozwolić dalej rządzić Himmlerowi". Wszystko jednak wskazuje na to, że Kreml nie spełni oczekiwań tych radykałów.

Do realistów można natomiast niewątpliwie zaliczyć Karena Szachnazarowa – reżysera i komentatora politycznego. Szachnazarow już w marcu wskazał na błąd, którym było niedocenienie siły ducha i patriotyzmu ukraińskiego. Przyznał też, że nie widać, aby Ukraińcy witali Rosjan z kwiatami, co oznacza, że „trudno będzie ten kraj okupować". W podobnym duchu w ubiegłym tygodniu wypowiedział się płk Michaił Chodarionok, ekspert ds. wojskowości. W programie „60 minut" przekonywał, że nieprawdą są głosy o upadku morale w armii ukraińskiej, przewidywał ponadto, iż sytuacja na froncie będzie się zmieniać na niekorzyść wojsk rosyjskich.

SŁABNĄCY DUCH W REŻIMIE

Michiejew, Kedmi Szachnazarow i Chodarionok są prokremlowskimi komentatorami, często goszczącymi w państwowej telewizji, jednak ich sceptyczne opinie wciąż są mniejszością w generalnie hurraoptymistycznym głównym nurcie rosyjskiej propagandy. Ponadto żaden z nich nie ośmielił się skrytykować samego Putina. Jednak sam fakt, że tego typu głosy się pojawiają na antenie państwowej telewizji i nie skutkują nawet ostrą polemiką ze strony prowadzących, świadczy o tym, iż duch w reżimie powoli, ale jednak słabnie. Podobnie jak sam car. Jego ewentualny upadek – związany czy to ze stanem zdrowia czy to z klęskami na froncie, czy to z jednym i z drugim – wciąż wydaje się pieśnią przyszłości. Przewrót pałacowy doprowadziłby zapewne do taktycznych ustępstw Moskwy, obliczonych na powrót do dialogu z Zachodem. Rosja pozostałaby imperium, tyle że mniej agresywnym i mniej nieobliczalnym, a przez to – niestety – być może nawet i groźniejszym, bo bardziej skutecznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Wojny przyszłości

FOT. ADOBE STOCK

Witold Repetowicz

Do niedawna większość Europejczyków żyła w złudnym przeświadczeniu, że od końca drugiej wojny światowej panuje pokój, zakłócany tylko lokalnymi konfliktami. Trzecią wojnę światową widziano bowiem jako nuklearną konfrontację zimnowojennych mocarstw, prowadzącą do totalnej zagłady. Wyobraźnię pobudzały też wizje wojen kosmicznych. Sprzyjało to specyficznej ślepocie i niedocenianiu roli kałacha, bomby i noża. Dopiero wojna na Ukrainie wybudziła Europejczyków z tego letargu

Druga wojna kongijska nie jest wydarzeniem, które szczególnie pozostałoby w pamięci międzynarodowej opinii publicznej. Być może dlatego, że nie było w niej nic spektakularnego. Żadnej nuklearnej eksplozji, a nawet intensywnych nalotów. Być może nie warto byłoby zatem wspominać o tym konflikcie, toczącym się w latach 1998–2003, gdyby nie kilka szczegółów. Po pierwsze, w jego wyniku zginęło bagatela ok. 6 mln ludzi. Po drugie, konflikt ten nazywany jest czasem światową wojną afrykańską, gdyż brało w nim udział kilkadziesiąt ugrupowań zbrojnych, militarnie było w niego zaangażowanych co najmniej osiem państw, a pośredni udział brały w niej również korporacje z Europy i Ameryki, czerpiące korzyści z eksploatacji kongijskich zasobów naturalnych.

Druga wojna kongijska mówi dużo o tym, jak międzynarodowa opinia publiczna, a zwłaszcza w Europie, USA i innych państwach „wolnego świata", postrzega wojny. W okresie zimnej wojny panowała obsesja na punkcie nuklearnej zagłady. Taka wizja trzeciej wojny światowej obecna była w kulturze masowej, zwłaszcza w kinie. Nie było zagłady, a zatem nie było żadnej wojny. No może z wyjątkiem Wietnamu czy Korei. Skoro brali w nich udział Amerykanie, to i interesowało się nimi kino, a więc został jakiś ślad. Śladem takim są też trumny wracające do kraju z poległymi żołnierzami. W ZSRS był to „gruz 200", czyli cynkowe trumny z żołnierzami poległymi w Afganistanie, więc ta wojna również przebiła się do świadomości międzynarodowej opinii publicznej i w niej pozostała. Takiego „szczęścia" nie miały jednak dziesiątki, o ile nie setki innych konfliktów toczących się w tym czasie.

NIEWIELE SIĘ ZMIENIŁO

Lata 90. kojarzą się z kolei z wojną w byłej Jugosławii oraz wojną w Czeczenii, choć jednocześnie kontynent afrykański spływał krwią milionów ofiar. Nie tylko zresztą we wspomnianym Kongu-Zairze. Wojny toczyły się zresztą też w Azji i Ameryce Południowej. Lata 90. wydają się już zamierzchłą przeszłością, a świat zrobił ogromny technologiczny skok do przodu, również w zakresie uzbrojenia i technologii militarnych. Dlatego to, że niektóre strony ówczesnych konfliktów nie dysponowały nawet lotnictwem, a często głównym ich uzbrojeniem były kałasznikow, maczeta i prymitywne wyrzutnie rakietowe, mogłoby nie mieć znaczenia dla współczesności i przyszłości wojen, gdyby nie drobny szczegół: niewiele się zmieniło.

Dwie najważniejsze (do czasu wybuchu wojny na Ukrainie) wojny

eprasa.pl 340eab0e61

XXI w., przynajmniej w naszej percepcji (tzn. Zachodu, w tym Polski), to wojna w Iraku i w Afganistanie. Ta pierwsza, w pierwszej swej fazie, była klasycznym starciem konwencjonalnym, w którym przewaga technologiczna jednej strony doprowadziła do zmiecenia przeciwnika. W przypadku drugiej przeciwnik nie miał zaś żadnych zdolności stawienia konwencjonalnego oporu. Tyle że nie miało to właściwie żadnego znaczenia, gdyż w obu przypadkach (choć w dość odmiennych warunkach) konflikty te przeszły do fazy asymetrycznej, w której nowoczesne technologie były bezużyteczne. Fakt, satelity wielokrotnie skutecznie tropiły przeciwnika i go likwidowały, ale nie było to w stanie przesądzić o losach wojny.

Na początku drugiej dekady XXI w. pojawiły się prognozy globalnego starcia mocarstw, przede wszystkim USA i Chin, i związane z nimi wizje walk w kosmosie. Uprawdopodabniało to tworzenie przez kolejne kraje sił kosmicznych. Tyle że fakt, iż kolejne kraje w XX w. wchodziły w posiadanie broni nuklearnej, wcale nie spowodował, że taki konflikt wybuchł, i jest bardzo prawdopodobne, że tak samo będzie z wizją gwiezdnych wojen. Tak jak w przypadku konfliktów nuklearnych toczyć się one będą na ekranach kin. Innym nowoczesnym rodzajem sił zbrojnych są wojska cybernetyczne. Ataki w cyberprzestrzeni są już częste i stanowią spore zagrożenie, ale w konfrontacji między mocarstwami może się wytworzyć stan równowagi determinujący nieopłacalność wzajemnych ataków. Chwilowo jakieś państwo może wprawdzie zdobyć absolutną przewagę i trzymać w szachu resztę świata, ale nie będzie to stan trwały. Ponadto działania te będą bezskuteczne wobec przeciwnika opierającego swoją aktywność na prymitywnym uzbrojeniu i środkach łączności. A takich przeciwników wciąż nie brakuje.

Talibowie w Afganistanie nie dysponowali ani siłami kosmicznymi, ani nawet zwykłymi samolotami bojowymi, a mimo to Amerykanie przez 20 lat nie zdołali ich pokonać. Również siły cybernetyczne były bezsilne wobec pasów szahida oraz IED-ów (improvised explosive device, czyli domowej roboty ładunków wybuchowych). W Iraku Amerykanie pod koniec pierwszej dekady doprowadzili co prawda do zdławienia aktywności swych głównych przeciwników, tj. z jednej strony zwolenników obalonego Saddama Husajna i Al-Kaidy, a z drugiej proirańskich milicji i Muktady as-Sadra. Co z tego jednak, skoro gdy tylko się wycofali, Al-Kaida odżyła jako Państwo Islamskie, milicje szyickie są obecnie częścią irackich sił zbrojnych, a ostatnie wybory wygrał As-Sadr? Celem wojny nie jest wygranie bitwy czy też zaprezentowanie swojej przewagi militarnej, tylko osiągnięcie określonych celów.

BROŃ DEMOGRAFICZNA

Wojenna teraźniejszość pokazuje, jakie będą też wojny w przyszłości. Dotyczy to w szczególności wojny na Ukrainie, ale nie tylko. Przełom wieków XX i XXI przyniósł pewne zmiany w sposobie prowadzenia wojen. Przede wszystkim zatarła się granica między wojną a niewojną, a klasyczna definicja wojny opierająca się na założeniu, że stronami mogą być tylko państwa, straciła znaczenie. Wojna z ISIS miała charakter międzynarodowy, wręcz światowy, a przeciwnikiem nie było państwo. Również bronią coraz częściej są przedmioty, które bynajmniej nie zostały w tym celu stworzone. 11 września 2001 r. były to samoloty pasażerskie, a w 2015 r. w Europie np. ciężarówki wjeżdżające w tłum. Ataki terrorystyczne, towarzyszące wojnie z ISIS i dokonywane poza obszarem działań zbrojnych, były częścią tego konfliktu, podobnie zresztą jak wykorzystywanie strumienia migrantów jako broni demograficznej. Takie działania asymetryczne wciąż mają przed sobą przyszłość i zdominują konflikty w XXI w. Wojna na Ukrainie pokazała jednak, że klasyczne, konwencjonalne starcie dwóch państw, i to w Europie, również jest wciąż możliwe. I pokazała, że fakt dysponowania przez jedno z nich bronią nuklearną niczego nie przesądza. Ponadto mimo że wojna ta jest przede wszystkim wojną konwencjonalną, również w jej przypadku mamy elementy hybrydowe: operacje cybernetyczne, psychologiczno-dezinformacyjne itp.

Początek XXI w. to również intensyfikacja konfliktów zastępczych, czyli unikanie bezpośredniej konfrontacji przez niektóre państwa i zamiast tego prowadzenie działań zbrojnych na terenie państw trzecich przy użyciu pośredników, najczęściej podmiotów niepaństwowych. Jest to znów mniej spektakularne, gdyż owi pośrednicy nie używają zwykle zaawansowanych technologii. Wystarczy prześledzić losy wojny w Syrii czy Libii, by się o tym przekonać. Konflikty te, nawiasem mówiąc, wciąż nie są zakończone i będą się ciągnąć jeszcze długo, podobnie jak wojna w Jemenie, gdzie niedysponujący lotnictwem szyiccy bojownicy w sandałach od ośmiu lat blokują ofensywę koalicji złożonej z krajów wydających miliardy dolarów na najnowocześniejszą broń.

Pełna robotyzacja wojny, czyli zastąpienie żołnierza z karabinem androidem mordercą, to kolejna futurystyczna wizja, od której niestety jesteśmy już o krok. Niektórzy starają się przy tym sugerować, że wojna stanie się przez to bardziej humanitarna, co jest oczywiście całkowitą bzdurą. Efektem będzie za to brak trumien wracających z poległymi żołnierzami, a zatem obniżenie społecznego kosztu wojny. Wspomniana na początku wojna w Kongu pokazuje, że to oznacza brak zainteresowania takim konfliktem ze strony opinii publicznej, nawet jeśli liczba ofiar cywilnych jest ogromna. Czyli wojen będzie więcej i będą bardziej krwawe, bo robot odpowiedzialny za masakrę nie będzie miał wyrzutów sumienia i nie pójdzie zwierzać się w studiu telewizyjnym. Problem w tym, że ta przerażająca wizja dehumanizacji wojny znów będzie miała swój asymetryczny koszt w postaci intensyfikacji zamachów terrorystycznych i intensyfikacji przepływów migracyjnych, również stymulowanych, a zatem mających charakter ataków bronią demograficzną.

Nie bez znaczenia jest również rywalizacja o surowce, choć często rola tego czynnika jest wyolbrzymiana. Dotyczy to w szczególności konfliktogennej roli ropy w XX w. Wszystko wskazuje na to, że w XXI w. rolę ropy w stymulacji konfliktów przejmie woda, co znów wydaje się mało spektakularne, choć w rzeczywistości może się okazać inaczej. Już wkrótce mogą bowiem wybuchnąć wielkie wojny wodne między krajami dolnego biegu wielkich rzek takich jak Nil, Eufrat i Tygrys czy Amu-daria i Syr-daria. Chodzi o „kradzież wody" w wyniku budowy wielkich tam przez państwa górnego biegu. Konflikt Egiptu z Etiopią już od dawna wisi na włosku, a tamy mogą być również bronią masowej zagłady. Już w 2014 r. były obawy, że Państwo Islamskie wysadzi tamę w Mosulu i doprowadzi to do gigantycznej i niszczycielskiej fali powodziowej. Prędzej zobaczymy taką zagładę niż nuklearną czy kosmiczną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Kara dla purpurata

Piotr Włoczyk

Chińscy komuniści zdecydowali się pójść na otwartą wojnę ze słynnym niepokornym kard. Josephem Zenem. Czy Watykan zmieni w związku z tym swoją politykę wobec Pekinu?

Zarzuty, jakie chińska bezpieka stawia kard. Zenowi, należą do kategorii najcięższych zbrodni wobec państwa komunistycznego: zmowa z obcymi państwami i sianie zamętu w społeczeństwie.

Oficjalnie purpurat został aresztowany w Hongkongu 11 maja w związku ze swoją działalnością w Funduszu Pomocy Humanitarnej 612. Organizacja – zamknięta już w zeszłym roku – pomagała aresztowanym w czasie wielkich demonstracji opozycji demokratycznej, które przetaczały się przez Hongkong w 2019 r.

Informacja o aresztowaniu kard. Zena wywołała falę oburzenia na całym świecie. Chińskie władze wypuściły wprawdzie 90-letniego niezłomnego kapłana z aresztu już po kilku godzinach (za kaucją), ale wszystko wskazuje na to, że będzie czekał go proces o zdradę państwa, co może się wiązać z wieloletnim wyrokiem. Prochińskie gazety w Hongkongu już wydały na niego wyrok, nazywając go „renegatem" i „antychińskim osobnikiem".

DWIE WSPÓLNOTY

Kardynał Zen to emerytowany biskup Hongkongu, który od początku chińskich rządów nad tym miastem (w 1997 r. Wielka Brytania przekazała swoją byłą kolonię Chinom) psuł krew komunistom. Dał się poznać jako odważny obrońca praw tamtejszych katolików, których w liczącym 7,5 mln mieszkańców Hongkongu żyje ok. 400 tys., oraz wielki orędownik utrzymania demokracji. Wielokrotnie przestrzegał Watykan, by nie poświęcać wolności chińskich katolików na ołtarzu normalizowania stosunków z Pekinem (w 1951 r. nowo powstała Chińska Republika Ludowa zerwała wszelkie relacje z Watykanem).

W 2018 r. Stolica Apostolska podpisała tymczasową umowę z ChRL, która – w planach papieża Franciszka – miała uporządkować sytuację chińskich katolików. Istnieją tam bowiem de facto dwie wspólnoty: nadzorowane przez Pekin Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich oraz właściwy Kościół podziemny wierny Rzymowi. Przez lata jedni nie uznawali drugich, a kapłani i wierni z Kościoła podziemnego byli prześladowani przez komunistów. Szacuje się, że w Chinach żyje w sumie kilkanaście milionów katolików.

Papież Franciszek postanowił zawrzeć porozumienie z Pekinem, na mocy którego wspólnie wyznaczano by biskupów, co skutkowałoby zacieraniem granicy między wspólnotą sankcjonowaną przez komunistów a prawdziwym Kościołem podległym Watykanowi.

Kardynał Zen stanowczo sprzeciwiał się takiemu stawianiu sprawy, szczególnie zaś protestował przeciw zmuszaniu prawdziwych biskupów do ustąpienia, by na ich miejsce Pekin mógł powołać własnych hierarchów.

„Czy uważam, że Watykan sprzedaje Kościół katolicki w Chinach? Tak, bez wątpienia, jeżeli dalej będą szli w kierunku, który wyznaczają sobie od lat" – napisał na Facebooku, gdy wyszło na jaw, że Watykan robi przymiarki do porozumienia z chińskimi komunistami. Kardynał Zen szedł jednak w swojej krytyce polityki Watykanu jeszcze dalej. Domagał się nawet dymisji watykańskiego sekretarza stanu Pietra Parolina, który prowadził negocjacje z Pekinem. – Nie sądzę, by on miał prawdziwą wiarę. On jest po prostu dobrym dyplomatą w bardzo świeckim, doczesnym rozumieniu tego słowa – powiedział kard. Zen. – Papież jest naprawdę naiwny i nie zna chińskich komunistów – dodał. Rzecznik Watykanu w odpowiedzi stwierdził tylko, że takie komentarze „szerzą zamęt i kontrowersje".

Przyszłość przyznała jednak w tej kwestii rację duchownemu z Hongkongu. Po podpisaniu we wrześniu 2018 r. umowy pomiędzy Watykanem a Pekinem chińscy komuniści uznali wprawdzie kilku biskupów z Kościoła podziemnego

eprasa.pl 340eab0e61

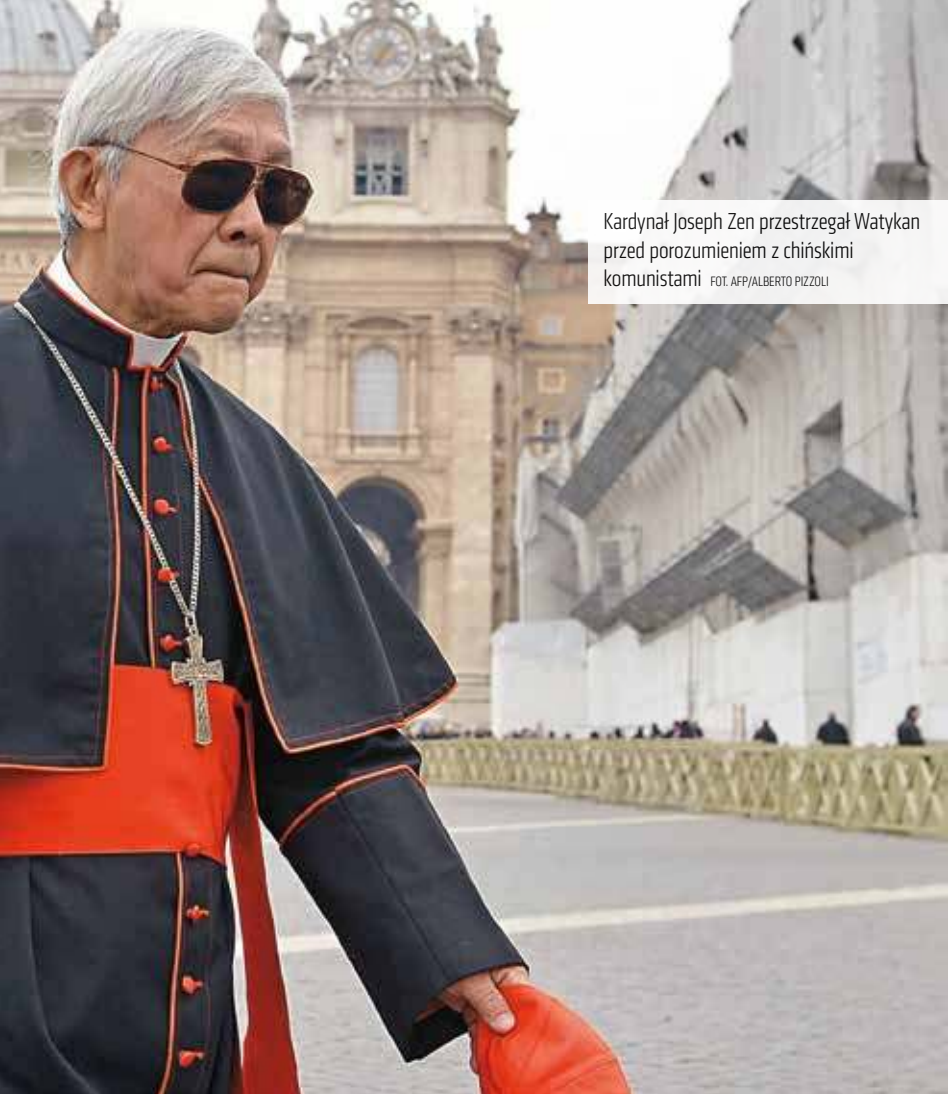

Kardynał Joseph Zen przestrzegał Watykan przed porozumieniem z chińskimi komunistami FOT. AFP/ALBERTO PIZZOLI

(Stolica Apostolska również musiała uznać część biskupów wskazanych przez chińskie władze), ale katolicy w ChRL wciąż są prześladowani. Co kilka tygodni pojawiają się informacje o aresztowaniu kolejnego duchownego, zniszczeniu kościoła lub nękaniu wiernych.

W zeszłym roku głośno było o aresztowaniu bp. Josepha Zhanga Weizhu z prowincji Henan. Władze wysłały w tym celu ponad 100 funkcjonariuszy bezpieki, którzy poza samym biskupem aresztowali jeszcze 10 innych duchownych oraz 10 seminarzystów.

CENA NORMALIZACJI

Znanym krytykiem polityki Watykanu względem Pekinu jest kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. – Bardziej ufam kard. Zenowi, ponieważ ma on pełne doświadczenie z komunistami, z ich kłamstwami i prześladowaniami, których dokonali. Z pewnością papież posiada urząd i zadanie przywołania tych schizmatyków do pełnej komunii z Kościołem, ale pytanie brzmi: „Jaka ma być tego cena?". Czy możemy zawrzeć umowę jako Kościół Święty, Ciało Chrystusa, z komunistycznymi ateistami? – pytał kard. Müller.

Kardynał Zen protestował przeciw zmuszaniu prawdziwych biskupów do ustąpienia, by w ich miejsce Pekin mógł powołać własnych hierarchów

Rzecznik Watykanu Matteo Bruni poinformował, że Watykan śledzi ostatnie informacje na temat kard. Zena z „wielką uwagą", ale już kard. Parolin stwierdził jasno, że aresztowanie hierarchy absolutnie nie przekreśla umowy z Chinami. Jednak nawet sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej przyznał, że dobrze byłoby zmienić zapisy umowy (pozostają one tajne), by interesy katolików w Chinach były lepiej zabezpieczone.

Do aresztowania kardynała doszło tuż po tym, jak Pekin wybrał na swojego namiestnika w Hongkongu Johna Lee. Urzędnik ten w lipcu zastąpi na stanowisku szefa administracji Hongkongu Carrie Lam, która pozwoliła na ostateczne zdeptanie przez Pekin niezależności nadzorowanego przez siebie terytorium. Lee wybrany został na to stanowisko przez specjalny komitet pełen komunistycznych lojalistów. W rzeczywistości, jak pokazują niezależne sondaże, cieszy się on poparciem zaledwie jednaj trzeciej mieszkańców miasta. W administracji Carrie Lam John Lee odpowiadał za sprawy bezpieczeństwa i aresztowanie kard. Zena powszechnie odbierane jest jako zwiastun nowych, twardych porządków. Od teraz nikt w Hongkongu nie będzie się mógł czuć bezpiecznie, jeżeli nawet tak znany obrońca praw człowieka jak kard. Zen może trafić za kratki.

Urodzony w 1932 r. w Szanghaju w biednej rodzinie katolickiej Joseph Zen uciekł do Hongkongu, gdy komuniści przejęli władzę w Chinach. Diecezją hongkońską zarządzał w latach 2002–2009 i wielokrotnie brał udział w zgromadzeniach, których uczestnicy sprzeciwiali się coraz większej ingerencji władz centralnych. W czasie najbardziej znanych manifestacji odbywających się 1 lipca (w rocznicę oddania Hongkongu przez Wielką Brytanię) kard. Zen przewodził modlitwom, w których brali udział chrześcijanie zamieszkujący to miasto (w sumie szacuje się, że żyje tam ponad 1,2 mln chrześcijan).

„Komunistyczny rząd chce, by Kościół się poddał. Oni chcą absolutnej kontroli, nie tylko nad Kościołem katolickim, lecz także nad wszystkimi religiami" – powiedział kard. Zen, uczulając Watykan, że musi pamiętać, iż negocjuje z reżimem, który zabrania młodzieży poniżej 18. roku życia uczestnictwa w mszach świętych. Hierarcha zwracał też uwagę, że uznanie „patriotycznego Kościoła" sprawiło, że podziemna wspólnota poddawana jest naciskom, by w związku z tym dołączyć do Kościoła nadzorowanego przez Pekin.

„Oni [duchowni wspólnoty podziemnej – przyp. red.] nie mogą mieć swoich kościołów, nie mogą udzielać sakramentów w prywatnych domach i Watykan nie daje im już biskupów" – mówił kard. Zen w wywiadzie dla „The Catholic Weekly". „Mają być bardziej urzędnikami rządowymi niż pasterzami owczarni Pana. To tragiczna sytuacja" – załamywał ręce hierarcha.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

FOT. ADOBE STOCK

CHCĄ ZNÓW MIEĆ FLAGĘ ZSRS

Deputowany Michaił Szeremet zaproponował w Dumie Państwowej przywrócenie w Rosji flagi państwowej z okresu Związku Sowieckiego. Twierdził, że wprawdzie jest dumny z obecnej, trójkolorowej flagi, ale „na obecnym etapie rozwoju naszego państwa to właśnie Sztandar Zwycięstwa jest symbolem naszego odradzającego się supermocarstwa". Trudno się z tym nie zgodzić, że flaga sowieckiego zbrodniczego komunistycznego reżimu nadal najlepiej pasuje do Rosji.

ROSJI BRAK BLACHY DO KONSERW

Jak wiadomo, Federacja Rosyjska jest wielka, silna i sankcje gospodarcze za wojnę wcale na nią nie wpływają. I zupełnym przypadkiem jest, że – jak donosiły „Izwiestia" – państwowa agencja połowów i produkcji rybnej poskarżyła się rosyjskiemu rządowi na brak blachy do produkcji konserw. Zapis takiej skargi jest w protokole ze spotkania kierownictwa firmy z wicepremierem Wiktorią Abramczenko.

REKLAMA Z „MĘŻCZYZNĄ" W CIĄŻY

Marka modowa Calvin Klein z okazji zbliżającego się Dnia Matki zaproponowała na Instagramie nową reklamę. Jej stroje prezentuje tam „mężczyzna" w ciąży. To Roberto Bete, który był kobietą, ale teraz jest „mężczyzną". Bete jest żonaty z „kobietą", która wcześniej była mężczyzną – Eriką Fernandes. I teraz właśnie ta para spodziewa się dziecka.

NIEBINARNY KRÓL LICEALNEGO BALU

W Stanach Zjednoczonych wiralem w sieci stało się nagranie z balu kończącego szkołę średnią. Otóż w szkole w stanie Indiana królem balu został 18-letni Cristian Hernandez, który uważa się za „osobę niebinarną" i na bal wybrał się przebrany za drag qeen. Cristian uważa, że „otworzył pewne drzwi" i że chciałby, aby wszyscy byli otwarci i byli sobą. Część chłopców z tego balu nie była otwarta i uważała, że drag queen nie powinna być „królem".

ŁUKASZENKA ZAKAZAŁ ORWELLA

Władze Białorusi zakazały sprzedaży książki „Rok 1984" George'a Orwella. Niezależny portal Nasza Niwa dotarł do rozporządzenia wydanego w tej sprawie. Cytuje jego zapis: „Usunąć ze sprzedaży wszystkie warianty książki G. Orwella »Rok 1984«. O wykonaniu zameldować do 19 maja". No i racja, po co czytać fikcję Orwella, jak się ma Łukaszenkę w realu? ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wojna komputerowa

Władze w Pekinie od lat przekonują, że zarzuty zachodnich wywiadów, oskarżających chińskie firmy o szpiegowanie na rzecz Państwa Środka, są bezpodstawne. To samo zresztą oświadczali chińscy producenci przejmujący pozycje liderów na zachodnich rynkach.

W maju 2022 r. nastąpił jednak istotny zwrot w polityce Pekinu. Jak poinformowała agencja Bloomberg, Chiny nakazały instytucjom rządowym oraz wspieranym przez rząd w Pekinie przedsiębiorstwom pozbycie się zagranicznych komputerów i zakup urządzeń wyłączenie krajowych marek, działających na chińskich systemach operacyjnych. Według informatorów agencji chińskie władze podjęły taką decyzję, aby wyeliminować zagraniczne technologie z najbardziej wrażliwych oraz kluczowych dla gospodarki dziedzin. O ile komputerów chodzi? Tylko w przypadku instytucji rządowych do wyrzucenia jest 50 mln zachodnich urządzeń. Najbardziej ucierpią dwie amerykańskie marki, a więc HP oraz Dell Technologies. Zyskają Lenovo i Huawei.

Ta decyzja to dowód na to, że amerykańsko-chińska wojna technologiczna staje się coraz bardziej zacięta, a Pekin chce zrealizować zapowiadaną od dekady politykę uniezależniania się od importowanych technologii, zwłaszcza z USA. Poza komputerami na własne będą też więc stopniowo wymieniane serwery, smartfony, procesory etc.

Doświadczenia rosyjskiej inwazji na Ukrainę jasno pokazują, że hakerzy sprytnie wykorzystują wszelkie luki. Tym bardziej szkoda, że w Polsce – kraju wybitnie zdolnych inżynierów i informatyków – nie dorobiliśmy się jeszcze własnej silnej marki smartfonów, niezawodnych polskich komputerów oraz polskiego systemu operacyjnego. O polskim Facebooku już nawet nie wspominając… ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

DZIEŃ
Z REPUBLIKĄ

od **Poniedziałku**
do **Piątku**

12:00, 13:00, 14:00
- serwis informacyjny

a ponadto:

komentarze
konferencje
ciekawi goście
rozmowy na żywo
najważniejsze wydarzenia

REPUBLIKA

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz drogą naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2 w Warszawie na kanale 23, Wrocławiu i okolicach tych miast na kanale 41. Można nas oglądać całą dobę za pośrednictwem portalu www.tvrepublika.pl

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

eprasa.pl 340eab0e61

Teresa Stylińska

Na zagranicznych gości Turcy czekają jak na zbawienie. Sezon się zbliża, Europa żegna się z pandemią, turyści zatem powinni zacząć zjeżdżać się na Riwierę Turecką – z pożytkiem dla właścicieli hoteli i restauracji, a także dla całej gospodarki Turcji borykającej się z problemem wysokiej lub wręcz galopującej inflacji

FOT. ADOBE STOCK

Życie z hiperinflacją

Niski kurs liry, tureckiej waluty, której wartość w ubiegłym roku spadła blisko o 50 proc., to bezsprzecznie zachęta do odwiedzin, ale wzrost cen niemal z dnia na dzień może zniechęcać, nie mówiąc o niedogodnościach, które wiążą się z koniecznością wymieniania pieniędzy w małych ilościach, za to często. Cudzoziemcy bez problemu mogą wybrać się gdzie indziej, ale miliony Turków nie mają wyboru innego niż zaciskanie pasa. I chętnie o swej, często dramatycznej sytuacji opowiadają wysłannikom światowych mediów, którzy masowo zjeżdżają ostatnio i do Stambułu, i na turecką prowincję, by zobaczyć, jak kończy się turecki cud gospodarczy.

KAPUSTA, KRYPTOWALUTY I ZŁOTO

„Kilogram cebuli i główka kapusty – oto, na co mnie stać – opowiada mieszkanka Stambułu. – Chleb, jogurt i zupa kapuściana – to musi nam wystarczyć na kolację". Inna mieszkanka tego miasta, matka malutkiego dziecka, mówi, że musi oszczędzać nawet na pieluszkach. Kupuje najtańsze i rzadziej je zmienia. Pensja jej męża, w wysokości 5 tys. lir (ok. 350 dol.) zmusza do maksymalnych oszczędności. Kolejna opowiada, że wraz z rodziną przenosi się do teściów, bo dzięki temu wszyscy zaoszczędzą na czynszu.

Na wsi wcale nie jest lepiej, bo drastycznie wzrosły koszty produkcji: ceny paliwa, maszyn rolniczych, nawozów, środków ochrony roślin. Właściciele sadów, gospodarstw, plantacji skarżą się, że zarobek ze sprzedaży plonów nie pokrywa ponoszonych kosztów. „Aby spłacić długi, które zaciągamy, możemy sprzedawać po kawałku ziemię i winnice. Ale gdy wszystko sprzedamy, z czego będziemy żyć?" – mówi rozgoryczona kobieta z okolic miasta Pamukova.

Oszczędzają wszyscy, nie tylko najbiedniejsi. Zamożniejsi ratują się wyprzedawaniem złotej biżuterii, obrazów czy innych wartościowych rzeczy. Naprawdę bogaci zaś pospiesznie wyzbywają się tureckich lir, zamieniając je na dolary czy właśnie złoto. Jego cena rośnie więc w zawrotnym tempie, już nie z dnia na dzień, lecz niemalże z godziny na godzinę. „Dawniej ceny złota sprawdzałem raz na tydzień. Dziś zaglądam do tabel nawet 50 razy w ciągu dnia" – opowiada dziennikarce „Guardiana" jubiler ze Stambułu.

– Dopóki rząd nie zapanuje nad wzrostem cen, dopóty nie będę płacić za elektryczność – zapowiedział z kolei Kemal Kiliçdaroğlu, lider Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), największego ugrupowania opozycji. I była to bez wątpienia deklaracja bardziej polityczna niż gospodarcza. Odnotujmy także, że niejeden Turek ostatnią deskę ratunku dostrzegł w kryptowalutach, które

eprasa.pl 340eab0e61

w miarę nasilania się kryzysu zaczęły niezwykle zyskiwać na popularności.

NAJWYŻSZA OD 20 LAT

Według danych opublikowanych pod koniec kwietnia stopa inflacji w skali rocznej osiągnęła prawie 70 proc. Miesiąc wcześniej wynosiła 60 proc., w lutym przekroczyła magiczną barierę 50 proc., w listopadzie ubiegłego roku doszła do poziomu 20 proc., który wówczas wydawał się niepokojąco wysoki, ale z dzisiejszej perspektywy już taki nie jest. Tak dramatycznego wzrostu cen nie było w Turcji od ponad 20 lat, czyli od czasu, gdy po latach intensywnych zabiegów zdołano sprowadzić inflację, nieustający problem gospodarki tureckiej, do poziomu 4 proc.

Teraz w ciągu zaledwie pół roku wskaźnik inflacji wzrósł przeszło trzykrotnie. W dodatku w miarę optymistyczne prognozy z końca ubiegłego roku zupełnie się nie sprawdziły, a nowe nie wróżą niczego dobrego. Bank Centralny Republiki Turcji w grudniu przewidywał, że pod koniec obecnego roku inflacja może dojść do 42 proc. – a tymczasem wskaźnik ten został przekroczony już w styczniu. Aktualne oficjalne prognozy ostrzegają, że do jesieni inflacja wyniesie ok. 90–100 proc. Szacunki nieoficjalne rzeczywisty wskaźnik inflacji sytuują na poziomie 142 proc., i to już teraz, a nie w dalszej przyszłości. – To bez wątpienia hiperinflacja – ocenia w rozmowie z „Guardianem" Alp Erinç Yeldan z uniwersytetu Kadir Has w Stambule.

Pesymizm jest uzasadniony. Ceny rosną w każdej dziedzinie, ale na hiperinflację w największym stopniu składa się w Turcji wzrost cen paliw, żywności (już teraz szacowany na 90 proc.) oraz artykułów gospodarstwa domowego – a właśnie paliwa i żywność w zawrotnym tempie drożeją w następstwie wojny na Ukrainie. Turcja odczuwa to dotkliwie jako kraj mocno uzależniony od importu ropy, gazu i zboża z Rosji, zboża, ziaren słonecznika i oleju słonecznikowego z Ukrainy.

Nawet jeśli gwałtowne przyspieszenie inflacji nie pozostaje bez związku z wojną ukraińską i jej gospodarczymi aspektami, to nie jest to powód jedyny, a przy tym, przynajmniej w pewnej mierze, wcale nie najważniejszy. Kryzys ekonomiczny zaczął się rozwijać, gdy nikomu jeszcze nie przychodziło do głowy, że Putinowska Rosja może zaatakować Ukrainę. Osłabianie się tureckiej liry postępowało od dłuższego czasu. Za to, że sytuacja tak bardzo wymknęła się spod kontroli, winę, zdaniem specjalistów, ponosi nie kto inny, jak sam prezydent Recep Tayyip Erdoğan.

Erdoğan nie tylko sprzeciwia się podnoszeniu stóp, lecz także jesienią 2021 r. wymusił na szefie banku centralnego ich obniżenie z 19 do 14 proc.

ŹRÓDŁO WSZELKIEGO ZŁA

Do Recepa Erdoğana i sposobu, w jaki rządzi, można mieć tysiąc zastrzeżeń, faktem jest jednak, że pod jego rządami sytuacja gospodarcza Turcji poprawiła się i ustabilizowała. To zresztą główna przyczyna, dla której on sam i jego ugrupowanie, Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), tak długo utrzymują się u władzy. AKP przejęła władzę jesienią 2002 r., po wygranych wyborach, a w marcu 2003 r. Erdoğan został premierem.

Nie należy lekceważyć pozagospodarczych czynników, które złożyły się na sukcesy AKP i jej lidera, takich jak m.in. umiejętne, zresztą szczere, uderzanie w tony islamskie, a także bezwzględne spacyfikowanie opozycji. Do zwykłych obywateli jednak najmocniej przemawiały przemiany gospodarcze: poprawa poziomu życia, wysokie, sięgające nawet 10 proc. tempo wzrostu (czemu Turcja zawdzięczała miano „tureckiego tygrysa"), rozmach inwestycyjny (seria megaprzedsięwzięć, z których ostatnim jest oddany właśnie do użytku most nad cieśniną Dardanele) czy ekspansja gospodarcza Turcji za granicą. Pojawiające się wątpliwości, spowodowane m.in. podejrzeniami o korupcję wśród rządzących, nigdy nie przełożyły się na wyraźny i definitywny spadek poparcia dla władz.

Teraz jednak Turcy nie kryją rozgoryczenia. Władze, ich zdaniem, nie panują nad sytuacją i, mimo deklaracji, że los ludzi leży im na sercu, tak naprawdę nic dla nich nie robią. Władze – czyli prezydent Erdoğan, który, mając pełnię władzy, zawsze ma też ostatnie słowo. To on decyduje o wszystkim, co się w Turcji dzieje. Także w gospodarce.

Problem w tym, że prezydent Turcji jest zdeklarowanym wrogiem podstawowego, skutecznego, powszechnie stosowanego narzędzia w walce z inflacją, jakim jest podnoszenie stóp procentowych. „Stopy procentowe to matka i ojciec wszelkiego zła" – powiedział kiedyś, lapidarnie ujmując istotę swego podejścia, które chętnie nazywa „ekonomiczną wojną o niepodległość". Erdoğan nie tylko sprzeciwia się podnoszeniu stóp, lecz także jesienią ubiegłego roku wymusił na szefie banku centralnego ich obniżenie z 19 do 14 proc. Pobudzi to, jak twierdzi, inwestycje, produkcję, zatrudnienie i eksport, a w ostatecznym rozrachunku przyniesie korzyści gospodarce i całemu społeczeństwu.

– Obniżenie stóp pociągnie za sobą spowolnienie inflacji – wyjaśniał wówczas prezydent w telewizji. – Stopy procentowe, jak zawsze powtarzam, to przyczyna, a inflacja to skutek. Stopy właśnie obniżamy i, z Bożą pomocą, inflacja również spadnie.

WALUTOWY SZANTAŻ

Erdoğan, przekonany, jak się wydaje, o własnej nieomylności, nie toleruje przy tym sprzeciwu. Przez ostatnie trzy lata Centralny Bank Republiki Turcji miał aż czterech gubernatorów. Kolejni jego szefowie, upierający się przy podnoszeniu stóp, byli zmuszeni do ustąpienia. W ostatnim czasie ze stanowiskiem pożegnał się również minister finansów Lütfi Elvan i szef Tureckiego Instytutu Statystycznego Sait Erdal Dinçer. Z banku i resortu, jak mówią ekonomiści, odeszli ostatni rozsądni ludzie, ustępując miejsca nominatom wiernym prezydentowi.

Recep Erdoğan obiecuje rychłą poprawę sytuacji i pomoc ze strony państwa, które, jak stale zapewnia, nikogo nie pozostawi własnemu losowi. Oryginalnym – zapewne autorskim – wkładem prezydenta jest jednak warunek, jakim obwarowuje możność jej uzyskania. Otóż na wsparcie, np. w sprawach mieszkaniowych, będą mogli liczyć tylko ci, którzy posiadane waluty zechcą zamienić na tureckie liry. Nietrudno dostrzec tu zakamuflowany szantaż: owszem, pomożemy ci, jeżeli ty pomożesz swemu państwu, którego waluta dramatycznie słabnie.

Przy tym wszystkim trudno nie dostrzegać, że plan pomocy istnieje jak dotąd raczej w sferze życzeń i zapowiedzi. Bo o żadnych konkretach, poza podniesieniem płacy minimalnej, nie słychać. Zainteresowani muszą zadowolić się wygłaszanymi przez prezydenta ogólnikowymi deklaracjami, takimi jak ta: „Wiemy, co robimy. Wiemy, jak to zrobić. Wiemy, dokąd zmierzamy. Wiemy, co osiągniemy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

Urzędniczy interes

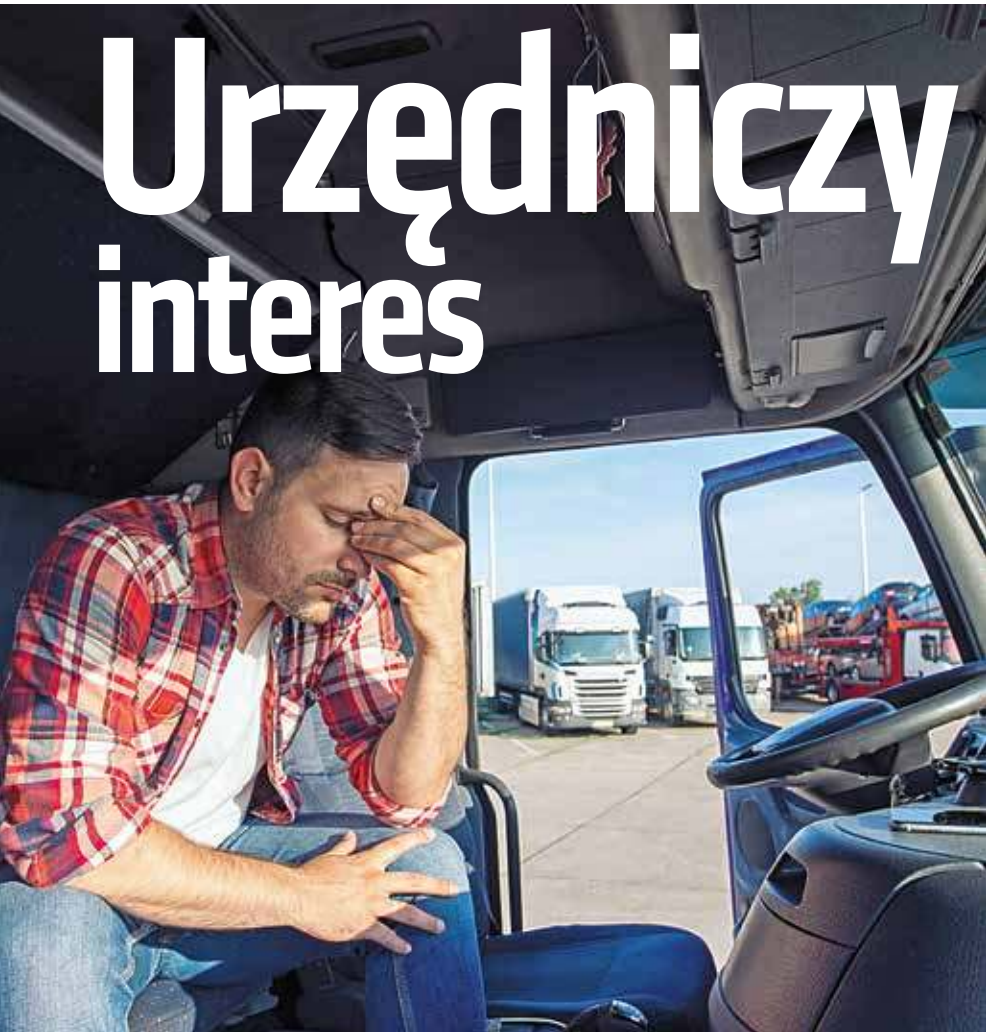

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Dlaczego w Polsce przepisy są skomplikowane, a od przedsiębiorców wymaga się więcej niż w innych krajach UE? Bo często korzystają na tym prywatnie urzędnicy, którzy tworzą prawo. Pracownicy Ministerstwa Infrastruktury właśnie zmusili transportowców do certyfikatów, na których wydawaniu sami dorabiają do pensji

W ubiegłym tygodniu weszły w życie nowe przepisy Ministerstwa Infrastruktury dotyczące przedsiębiorców, którzy oferują przewóz towarów samochodami do 3,5 tony. To firmy przewozowe wykorzystujące busy i tzw. dostawczaki, które wożą towary na terenie Unii Europejskiej.

Polska została zmuszona do wprowadzenia nowych regulacji, bo cała UE postanowiła trochę ucywilizować ten rodzaj transportu. Nie bez potrzeby. W porównaniu z firmami przewożącymi towary samochodami ciężarowymi, właściciele dostawczaków mogli pozwolić sobie naprawdę na wiele. Do tej pory np. kierowcy takich pojazdów nie muszą rejestrować czasu pracy. Tajemnicą poliszynela jest, że wysyłani są często w kilkunastogodzinne trasy. W ten sposób stanowią niezdrową konkurencję dla bezpieczniejszego przewozu.

Rozporządzenie zawarte w unijnym Pakiecie Mobilności wymusiło nakaz dla firm busiarskich na uzyskiwanie zezwoleń na wykonywanie zawodu przewoźnika drogowego oraz posiadania licencji wspólnotowej. Dziwnym trafem polskie przepisy, które zaczęły obowiązywać od ubiegłego tygodnia (21 maja), poszły dużo dalej niż musiały. I tak się składa, że osobiste korzyści odniosą z tego urzędnicy z Departamentu Transportu Drogowego, który w resorcie infrastruktury przygotował zmiany w prawie.

KOMISJA URZĘDNIKÓW DOROBKIEWICZÓW

Żeby uzyskać zezwolenie na wykonywanie zawodu przewoźnika drogowego, trzeba zdać egzamin na Certyfikat Kompetencji Zawodowych Przewoźnika. Unijne rozporządzenie (1071/2009 zmienione Pakietem Mobilności) dawało możliwość zwolnienia sporej części zarządzających busami z takiego egzaminu – tych, którzy mieli takie firmy co najmniej od 10 lat. W Polsce przepis zobowiązał do uzyskania certyfikatu wszystkich. Takich firm według szacunków resortu jest ok. 20 tysięcy.

– Od wielu lat prowadzę małą firmę transportową i teraz oni chcą mnie zmusić do egzaminów na jakieś certyfikaty? Ja tego już nie zrobię. Mam tak blisko do emerytury, że po prostu zamknę biznes – mówi „Do Rzeczy" pan Adam, przedsiębiorca ze Śląska. Jego zdaniem przez urzędniczy przymus zniknie więcej małych firm przewozowych. – Najbardziej boli mnie to, że Niemcy swoich przedsiębiorców, którzy już długo działają na rynku, nie zmusili do tego, ale polscy urzędnicy nas już owszem. Dlaczego? – pyta.

Można spróbować odpowiedzieć na to pytanie, gdy wyjaśni się, jak działa zdobywanie certyfikatu. Przedsiębiorca musi stawić się na egzaminie w Instytucie Transportu Samochodowego. Płaci tam 800 zł. Z tego 500 zł to koszt samego egzaminu. Z tych pieniędzy płaci się członkom komisji egzaminacyjnej, w tym pokrywa się także koszty ich delegacji czy nawet noclegów. Ile dokładnie? Nie wiadomo. Reguły płac ustala dyrektor ITS i gdy prowadziłem w tej sprawie śledztwo dziennikarskie w ubiegłym roku, Instytut odmówił ujawnienia wynagrodzeń.

Tymczasem właśnie w tej komisji zarabiają od la urzędnicy Departamentu Transportu Samochodowego. Wśród 43 urzędników resortu infrastruktury, którzy zasiadali w tych komisjach, aż 31 osób było z tego departamentu. Z moich informacji wynika, że za zmianę prawa

eprasa.pl 340eab0e61

dla busiarzy – zmuszającą ich bez wyjątków do takich egzaminów – odpowiadał w DTD urzędnik, który sam zasiadał w komisji ITS. Rzecznik Ministerstwa Infrastruktury przez kilka dni nie odpowiedział mi jednak na pytania o to, kto dokładnie pracował nad zapisami prawa. Nie odpowiedział też, dlaczego Polska nie zwolniła z tego obowiązku części przedsiębiorców, choć mogła to zrobić.

Ten interes kosztem polskich przedsiębiorców kręci się zresztą od lat i ci sami urzędnicy niejednego ministra przeżyli. Już w 2004 r. media ujawniły, że urzędnicy resortu zrobili sobie z tej komisji maszynkę do zarabiania pieniędzy – i już wtedy zarabiali na tym od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy złotych rocznie. Ówczesny minister transportu Marek Pol kazał wówczas zwolnić dwóch dyrektorów.

Głowa tej urzędniczej hydry odrosła w 2017 r. Wówczas urzędnicy Departamentu Transportu Drogowego przygotowali rozporządzenie, które stało się gwarancją, że znów będą mieli posady w komisji na certyfikaty dla przedsiębiorców transportowych. Zapisali bowiem w prawie, że: „Komisja egzaminacyjna składa się z przewodniczącego wyznaczanego przez ministra właściwego do spraw transportu spośród osób zatrudnionych w komórce właściwej do spraw transportu drogowego urzędu obsługującego tego ministra".

GRUPA TRZYMAJĄCA PYTANIA NA PRAWO JAZDY

Pisanie prawa, które gwarantuje dorabianie do pensji w resorcie infrastruktury, jest wręcz metodą stosowaną przez urzędników – bo obejmuje więcej obszarów, które nadzorują. Stało się tak na przykład ze sferą szkolenia i egzaminowania kierowców w Polsce. Urzędnicy wykorzystali moment, gdy dekadę temu postanowiono uporządkować sprawę pytań do państwowego egzaminu na prawo jazdy. I znów byli to pracownicy Departamentu Transportu Drogowego.

W 2013 r. pracownicy DTD pracowali nad nowelizacją ustawy, która nakazała ministrowi transportu utworzenie komisji do spraw układania i recenzowania pytań na egzamin na prawo jazdy. I już w jej zapisach sami zagwarantowali sobie zarobek, bo zgodnie z nowelizacją w takiej komisji jako przewodniczący i sekretarz musieli się znaleźć przedstawiciele ministra do spraw transportu.

W tym projekcie ustawy, który przesłano wówczas z ministerstwa do Sejmu 3 grudnia 2013 r. (druk 1957), w metadanych pliku odkryłem, że autorem dokumentu był urzędnik Tomasz P. To pracownik Departamentu Transportu Drogowego, który po utworzeniu komisji został jej szefem.

Mało tego, ten sam urzędnik – i potwierdził to w ubiegłym roku rzecznik ministerstwa Szymon Huptyś – pracował nad rozporządzeniem, które określiło regulamin wynagradzania członków komisji. Czyli – jak się okazało – opracowywał system płac dla samego siebie i kolegów. A system ten zaplanowano wspaniale. Za przygotowanie jednego scenariusza pytania na prawo jazdy przewodniczący komisji kasował 10 zł, a sekretarz – 4 zł. Za każdy opis pytania, wchodzący w jego skład – takie same kwoty. Tyle samo za jedną wizualizację. I – co najlepsze – szef komisji i sekretarz kasowali też 10 zł i 4 zł za „recenzję", czyli obejrzenie każdej propozycji pytania, które ktoś wyśle do resortu. A pytań są tysiące. Ustaliłem, że w ciągu zaledwie pięciu lat członkowie tej komisji zarobili ponad 733 tys. zł.

Tymczasem pytania, które od lat układa ta komisja w Ministerstwie Infrastruktury, są często źle sformułowane, niejasne, podchwytliwe. Zamiast sprawdzać, czy przyszły kierowca rozumie przepisy i będzie bezpiecznie poruszał po drogach, stanowią pułapkę egzaminacyjną opartą na prawnych niuansach. Wszyscy od lat w Polsce wskazywali na dziwne pytania i to, że ludziom trudno zdać egzamin na prawo jazdy, ale urzędnicy za nic nie chcieli dać sobie wyrwać tej działki z rąk. I żaden minister tego nie dotykał. Dopiero Andrzej Adamczyk został zmuszony do działania, gdy w ubiegłym roku urzędnicy z komisji doprowadzili do tego, że na egzaminach pojawiły się pytania na prawo jazdy z błędnymi odpowiedziami. Wówczas pracę stracił Bogdan Oleksiak, szef Departamentu Transportu Drogowego, a Adamczyk zawiadomił też prokuraturę (śledztwo trwa). Jednak komisja od pytań działa i zarabia nadal w takim samym składzie – wymienili się tylko urzędnicy na funkcjach szefa i sekretarza.

Na jaw udało mi się wydobyć i inne powiązania urzędników z DTD. Udowodniłem, że naczelnik Tomasz P. – ten sam od komisji z pytaniami – od lat oferował odpowiadającym za egzaminy na prawo jazdy wojewódzkim ośrodkom ruchu drogowego prywatne wykłady. Opowiadał tam o swojej pracy – bo o zapisach prawa przygotowywanych w resorcie. Z danych, które przekazały mi WORD-y, wynika, że w ten sposób dorobił do pensji co najmniej 100 tys. zł (niektóre ośrodki odmówiły podania kwot).

WORD-y opłacały więc prywatnie urzędnika, w którego rękach było m.in. to, jak wyglądają pytania na prawo jazdy i jak wygląda praktyczny egzamin. Tymczasem zdawalność egzaminu na prawo jazdy za pierwszym podejściem w Polsce to ok. 28 proc. (w innych krajach UE – 50, 70 proc.). A na każdej powtórce WORD zarabia.

Kiedy zacząłem dociekać, czy urzędnik jako pracownik służby cywilnej miał zgodę na takie prywatne dorabianie i czy w ogóle etyczne jest pobieranie prywatnych pieniędzy za opowiadanie o tym, co robi ministerstwo, znów rzecznik infrastruktury uchylił się od odpowiedzi. Kilka dni temu Tomasza P. po cichu wyrzucono z pracy w ministerstwie.

A przecież to niejedyny urzędnik DTD zamieszany w tego rodzaju sprawy. Jego koledzy niedawno przygotowali inną zmianę prawa – zmuszającą wszystkich kierowców zawodowych do uzyskania elektronicznego Profilu Kierowcy Zawodowego. Efekt? System, który obsługuje Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych (odmówiła mi odpowiedzi, jaki podwykonawca i za ile go wykonał), od początku miał awarię i tygodniami polskie firmy miały kłopot z kierowcami, którzy bez nowego elektronicznego profilu nie mogli odnawiać swoich uprawnień. Nie mogły też zatrudniać nowych kierowców. Potem system chwilę działał, ale w ubiegłym tygodniu znów miał awarię.

Przy tej zmianie znów ta sama komisja w resorcie przechwyciła dla siebie układanie pytań na tzw. kwalifikację wstępną (to dodatkowy egzamin, który kierowca zawodowy oprócz uzyskania prawa jazdy musi zdać). I nie przekazała tych pytań na czas. Zatem nowi kierowcy nie mogli wejść do zawodu. W dodatku do dziś nie opracowano pytań w innym języku niż polski, więc kierowcy ze wschodu, którymi od lat posiłkują się polskie firmy transportowe, zostali odcięci od możliwości zatrudnienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy antyfoliarze przeproszą?

Jak wiadomo, Putin jednego dnia, 24 lutego 2022 r., w dniu inwazji Rosji na Ukrainę, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – niestety, koszmarnie śmiercionośnej czarodziejskiej różdżki – zakończył w Polsce i okolicach tzw. pandemię COVID-19, choć przecież wywołujący ją wirus SARS-CoV-2 tak samo jak hasał po Polsce, tak hasa dziś i pewnie już zawsze będzie hasał. Ale bzik na jego punkcie został wreszcie sprowadzony do właściwych rozmiarów. Do rozmiarów coraz mniejszych baniek medialnych zbzikowanych antyfoliarzy i antypłaskoziemców.

No i pech chciał – pech dla zbzikowanych antyfoliarzy i antypłaskoziemców, a wielkie szczęście dla wszystkich Polaków – że wymowa napływających od tamtej pory z różnych stron Polski danych jest, delikatnie mówiąc, miażdżąca dla zwolenników przymusowego maseczkowania, izolowania i szczepienia Polaków. Miażdżąca dla zwolenników obowiązkowego noszenia maseczek przez wszystkich, zawsze i wszędzie, zamykania w domach i izolatoriach za pomocą niekończących się lockdownów i kwarantann oraz przymusowego szczepienia wszystkich – i to seryjnego, przeciw koronawirusowi, najlepiej po kolei szczepionkami wszystkich firm, czyli tzw. nową koroną ziemi.

Albowiem, proszę sobie wyobrazić, wraz z uwolnieniem Polaków spod dyktatury zwariowanych antyfoliarzy i antypłaskoziemców, czyli wraz z wypuszczeniem Polaków na wolność z lockdownów i kwarantann oraz uwolnieniem ich od obowiązku noszenia maseczek i przymusu szczepień, którym to wydarzeniom – i to jest w tym wszystkim kluczowe – towarzyszyło „odmrożenie" przychodni i szpitali, właśnie – niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – liczba nadmiarowych (skądinąd, co za koszmarna nazwa!) zgonów Polaków spadła tak bardzo, że niemal się wyzerowała. Innymi słowy: Polacy, wolni od covidowych obostrzeń, przestali padać jak muchy.

W pierwszym tygodniu stycznia 2022 r. umarło – jak podała „Rzeczpospolita" – jeszcze aż 12 tys. Polaków, a w tygodniu pod koniec kwietnia już niecałe 8,2 tys., czyli mniej więcej tyle, ile w tym samym czasie przed tzw. pandemią COVID-19, podczas gdy w analogicznym tygodniu kwietnia 2021 r. – pod butem twardego reżimu covidowego antyfoliarzy i antypłaskoziemców – aż 12,8 tys. Ale niestety to, co się stało, to się nie odstanie. Pamiętajmy, w Polsce, która przez dwa lata pod względem liczby nadmiarowych zgonów była w ścisłej światowej czołówce, zmarło w tym czasie przedwcześnie aż prawie 200 tys. ludzi. Prawie 200 tys. ludzi odeszło z tego świata, choć wielu z nich do dziś mogłoby cieszyć się życiem.

I oczywiście nie ma się co łudzić, że którykolwiek z polityków rządzących wówczas Polską zechce przeprosić bliskich tych nieżyjących dziś ludzi za ich przedwczesną śmierć. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ręce precz od mieszkań

Mateusz Morawiecki zaprzeczył informacjom, jakoby rząd pracował nad podatkiem od pustych mieszkań. Można by oczywiście przywołać tutaj znane powiedzenie księcia Gorczakowa: „Nie wierzę w informacje niezdementowane". Ale załóżmy nawet, że premier mówi prawdę. Nie znaczy to, że w przemądrych rządowych głowach nie powstają jakieś złowrogie pomysły, bo jednocześnie przecież pan premier oznajmił, że trwają rozważania nad tym, co począć z sytuacją, którą szef rządu opisał tak: „Bogata firma z Zachodu, bo to zwykle są firmy z Zachodu, kupuje kilkaset mieszkań i przetrzymuje te mieszkania. Ceny rosną, nikt się do nich nie wprowadza. Czy to jest sytuacja normalna?".

Kto, zdaniem pana premiera, ma napędzać sektor budowlany, jeśli nie owe straszne „bogate firmy z Zachodu"?

A to już zależy, co uznajemy za normalne. Może ktoś powinien panu premierowi zwrócić uwagę na to, że również wskutek poczynań jego własnego gabinetu urosła dramatycznie inflacja (nawet rządowi ekonomiści wskazują, że przynajmniej jej połowa to kwestia naszej własnej polityki gospodarczej), co skutkuje koniecznością podnoszenia stóp procentowych (o wiele za późno), a to z kolei powoduje, że przeciętny Polak błyskawicznie traci zdolność kredytową, a więc nie będzie go stać na kupno mieszkania. Tym bardziej że inflacja napędza z kolei ceny materiałów budowlanych, które i tak drożały już wcześniej. Czyli: możliwości kredytowe Polaków spadają na łeb na szyję, a w tym samym czasie w górę pędzą ceny mieszkań. Kto w takim razie, zdaniem pana premiera, ma napędzać sektor budowlany, jeśli nie owe straszne „bogate firmy z Zachodu"?

Bardzo możliwe, że wkrótce już tylko je – oraz nieliczną grupkę bardzo dobrze zarabiających, w tym beneficjentów obecnej władzy – będzie stać na nowe mieszkania. Owe firmy w końcu będą zaś musiały je zacząć wynajmować, żeby na nich zarabiać. Być może same, przez nikogo nieprzymuszane, stworzą programy najmu długoterminowego, na który będzie sobie mogło pozwolić więcej osób niż na kredyt.

Kiedy widzę, jak druzgocącym „sukcesem" jest program „Mieszkanie Plus", mam do rządzących tylko jedną prośbę: trzymajcie się jak najdalej od deweloperki. A najlepiej – jak najdalej od gospodarki w ogóle. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

Co dalej z cenami nieruchomości?

Anna Mojsiuk
– dział nowych inwestycji
Poznań

Czynniki, takie jak aktualna sytuacja gospodarczo-ekonomiczna czy napływ uchodźców, już znacznie oddziałują na rynek mieszkań. Najbardziej odczuwalne jest to w sektorze mieszkań przeznaczonych na wynajem długoterminowy. Raporty z portali ogłoszeniowych jednoznacznie pokazują, że podaż mieszkań na wynajem bardzo zmalała. Poprzez spadki liczby prezentowanych ofert wynajmujący mają świadomość, że mogą sobie pozwolić na znaczne podwyżki cen. Co więcej, młodzi ludzie, często ci nieposiadający zdolności kredytowej, zostali wypchnięci z rynku kupna nieruchomości poprzez wysokie ceny oraz zatrważająco wysokie stopy procentowe, co również przekłada się na wzrost popytu na nieruchomości z sektora wynajmu.

Niewątpliwie stwierdzić należy, że zaciągnięcie kredytu hipotecznego na swoje wymarzone „M" jest coraz mniej realne dla zwykłego Kowalskiego. Opierając się na raporcie BIK, zauważyć można drastyczny spadek zainteresowania kredytami hipotecznymi. Dodatkowo, poprzez nową procedurę przeliczania zdolności kredytowej, co powoduje jej ewidentny spadek, duża część obywateli nie będzie mogła pozwolić sobie na zakup wymarzonego mieszkania. Warto wspomnieć o tym, że w Polsce mieszkanie jest uznawane jako dobro wyższego rzędu, jako jedna z najważniejszych rzeczy w życiu człowieka, zaobserwować można, że nasi rodacy często rezygnują z dóbr luksusowych, konsumpcji na poczet dobra pierwszego rzędu. Zatem czy warto decydować się na zakup mieszkania teraz?

Przy szalejącej inflacji zakup nieruchomości jest uznawany jako najbezpieczniejsza z form lokaty kapitału. Niewątpliwie zatem warto rozważyć tę możliwość i bez zbędnej opieszałości podjąć decyzję, ponieważ czas działa tutaj na niekorzyść. Dlaczego? Poprzez wzgląd właśnie na rekordową inflację, drożejące materiały budowlane, ich niską dostępność, wydłużające się procedury administracyjne związane z inwestycjami mieszkaniowymi ceny ofertowe stale rosną, a tendencja ta będzie się wciąż utrzymywać. Mimo że rynek nieruchomości na wszelkie zmiany gospodarczo-ekonomiczne reaguje ze swoistym opóźnieniem – absolutnie nie można spodziewać się spadków cen nieruchomości. Rynek deweloperski nie będzie w przyszłości tańszy, co poparte jest wieloma analizami ekspertów i analityków.

Prognozować można, że koszt wytworzenia „produktu", czyli mieszkania, w przedsięwzięciach deweloperskich rozpoczętych jeszcze w 2020 oraz 2021 r. będzie zdecydowanie niższy aniżeli tych, które są w fazie projektowania. Przyszłe projekty to już nowa cena gruntu, nowe ceny materiałów budowlanych, nowe warunki energetyczne, nowe warunki techniczne oraz nowa ustawa deweloperska. Nie ulega zatem wątpliwości, że ceny nieruchomości nie spadną, a koszt ich wytworzenia będzie coraz wyższy.

Obserwatorzy rynku od kilku lat mówią o tym, że bańka na rynku nieruchomości pęknie. Zatem czy można się tego spodziewać? Aktualną sytuację kredytową poniekąd zbliżyć można do sprawy frankowiczów, a sprawa ta nie wpłynęła w sposób znaczący na rynek mieszkaniowy. Nawet pandemia COVID-19 w dłuższej perspektywie znacznie nie wpłynęła na rynek, aczkolwiek ceny rosły.

Podsumowując, planując zakup nieruchomości, lepiej to zrobić wcześniej niż później. Wartość mieszkania nie zmaleje, a ceny stopniowo będą wzrastać. Atrakcyjne oferty mieszkań z rynku pierwotnego znaleźć można na stronie internetowej: www.grupainwest.pl.

eprasa.pl 340eab0e61

Joanna Bojańczyk

Bójki, szantaże, znęcanie. Proces sądowy ujawnia szczegóły burzliwego związku aktorki Amber Heard i Johnny'ego Deppa. Ona oskarża partnera o przemoc, on twierdzi, że sam był ofiarą. Kto jest winny, rozstrzygnie ława przysięgłych

Johnny w

Sędziowie i przysięgli sądu w Fairfax, w stanie Wirginia, mają niecodzienną okazję podziwiać na żywo spektakl gry aktorskiej Johnny'ego Deppa, jednego z najbardziej znanych aktorów Hollywood. Trwa proces o zniesławienie i przemoc, skutek skargi, którą w roku 2019 złożyła na niego była żona, celebrytka Amber Heard. Para rozwiodła się dwa lata wcześniej. Proces, transmitowany przez amerykańskie telewizje, jest hitem oglądalności. Transmitują go kanał prawniczy Court TV oraz Law and Crime Network. Siedem godzin transmisji dziennie plus codzienne donosy w największych kanałach informacyjnych, o prasie, telewizjach i mediach plotkarskich całego świata nie mówiąc. Amber Heard nie chciała dopuścić do transmitowania procesu, ale Johnny upierał się, żeby kamery były.

W rolach głównych: Johnny Depp, lat 58, Amber Heard, lat 36.

On: wybotoksowany, z makijażem, ufarbowanymi włosami, dwukrotny zdobywca tytułu najseksowniejszego mężczyzny w Ameryce, najbardziej kasowy aktor świata. Osiemdziesiąt dziewięć filmów z perłą w koronie: „Piraci z Karaibów". Dwie byłe żony i dziesiątki romansów, prawdziwych i rozdmuchanych przez media. Zawrotne dochody, nieruchomości kupowane pod wpływem odruchu. Pałac w Wenecji na Canal Grande, wyspa na Bahamach, penthouse'y w Los Angeles, wiejska posiadłość w Anglii... Kłopoty z alkoholem i narkotykami.

Ona: aktorka, twarz koncernu L'Oréal i przede wszystkim działaczka feministyczna, ambasadorka praw kobiet przy organizacji American Civil Liberties Union (ACLU). 18 grudnia 2018 r. w dzienniku „The Washington Post" opublikowała apel: „Zbuntowałam się przeciwko molestowaniu seksualnemu i zostałam za to ukarana przez społeczeństwo". W tej odezwie o Johnnym Deppie nie było mowy, ale on poczuł się wywołany do odpowiedzi. Wytoczył ciężką artylerię: „Przedstawienie mnie jako męża, który bije swoją żonę, jest zbyt niesprawiedliwe wobec mnie i moich dzieci. Nie pozwolę na to". I złożył kontrpozew przeciw byłej żonie.

Ich związek od początku wzbudzał wiele emocji wśród mediów i fanów aktora. Do awantur domowych wzywano policję. Amber Heard oskarżała Deppa o przemoc domową. Serialem o ich problemach żyły media na całym świecie. Rok po ślubie, w 2016 r., para się rozstała.

Oskarżenia Amber Heard spowodowały, że Depp zaczął tracić pozycję w branży. Został zwolniony z kolejnych serii filmów „Piraci z Karaibów", stracił też rolę w serii „Fantastyczne zwierzęta" studia Warner Bros. Z czasem za pośrednictwem prawników Depp zaczął informować opinię publiczną, że to nie Amber, a on był ofiarą w tymże związku. Teraz publiczność procesu miała usłyszeć zeznania ich obojga. Spodziewano się pikantnych szczegółów, zawodu nie było.

W roku 2016 gosposia Deppa znalazła na prześcieradle jego łóżka coś, co wyglądało jak ekskrementy. Zrobiła zdjęcie i za pośrednictwem ochroniarza Deppa wysłała mu. Poprzedniego dnia Johnny pokłócił się z byłą żoną i podejrzewał, że to jej zemsta. Heard przekonywała, że to zrobiły jego psy, on ją wyśmiał. „Znam moje psy. To dwa malutkie yorki, każdy waży 2 kg. Często zbierałem ich kupy, wiem, jak wyglądają. To nie było to".

Aktor twierdzi, że Amber, kiedy wpadnie w szał, staje się potworem zdolnym nawet do tak odrażających rzeczy. Internet w to wierzy, idą prześmiewki i hate. Hashtag #MePoo (kupa Amber – gra słów między #MeToo; poo po angielsku znaczy kupa) w sieci staje się wiralny. A to dopiero początek skandali, bo proces ma potrwać sześć tygodni.

MIŁOŚĆ, ALE...

Historia ich związku jest burzliwa. Spotkali się w roku 2009 na planie wyprodukowanego przez Deppa filmu „The Rum Diary" („Dziennik zakrapiany rumem"). On znajduje się wtedy u szczytu sławy, za film dostaje 40 mln dol., co czyni go jednym z najlepiej zarabiają-

eprasa.pl 340eab0e61

W rolach głównych: Johnny Depp, lat 58 (z lewej) i Amber Heard, lat 36 (w dalszym planie)

FOT. ELIZABETH FRANTZ/REUTERS / FORUM

słabej roli

cych aktorów Hollywood. Ona, dwa razy młodsza od niego, jest zaledwie debiutantką. Każde z nich żyje w związku, on z francuską aktorką Vanessą Paradis, z którą ma dwoje dzieci, ona z fotografką Tasyą van Ree. Całują się na planie filmu, ale i poza nim wytwarza się między nimi elektryczność.

W 2012 r. Depp rozstaje się z Vanessą Paradis, Amber ze swoją fotografką i postanawiają zamieszkać razem. Różnica wieku nie gra roli. Wiele ich łączy. Oboje lubią czytać powieści, mają podobne gusty literackie i muzyczne. W pierwszym roku miłość jest prawie doskonała, choć niektóre zachowania Deppa już mogą być zapowiedzią przyszłych niepokojów.

Na początek drobne incydenty. Gdy on wraca z planu, Amber zdejmuje mu buty i podaje kieliszek wina. Ale któregoś dnia, gdy akurat zajęta jest rozmową przez telefon, on musi zdjąć buty sam. To wywołuje u Johnny'ego złość. „Zdejmować mi buty to twoje zadanie" – wybucha.

Problemów jest coraz więcej, relacja staje się coraz bardziej wybuchowa. On oskarża ją o zdradę i zaczyna dopuszczać się ataków przemocy, szczególnie gdy jest po alkoholu i narkotykach.

Amber skrytykowała jego tatuaż, na którym napisał „Wino forever" – odnosiło się to do byłej partnerki Winony Rider. Trzy plaśnięcia w twarz, aż poszła krew. Dziewczyna jest tym tak zaskoczona, że reaguje tylko śmiechem. To chyba żart... Johnny zaczyna przepraszać, płacząc i klękając przed partnerką. Potem wielokrotnie przeprasza, przynosi wino i obiecuje, że to się nigdy nie powtórzy. Ale to na nic. Wkrótce wściekły przeszukuje ją, sądząc, że ukryła przed nim narkotyki. Rozwala ściany, przewraca Amber na ziemię, bije. „Uderzył mnie otwartą dłonią. Poczułam jego pierścionki na ustach. Polała się krew".

Johnny zaprzecza, twierdząc, że to on był ofiarą przemocy. „Nigdy nie uderzyłem kobiety. To Amber rzucała we mnie przedmiotami".

KTO JEST POTWOREM

Heard: „Był miłością mego życia. Ale był także kimś całkiem innym. W nim siedzą jakby dwie różne osoby. Gdy jest trzeźwy, jest miły, zabawny, hojny. Druga twarz, po alkoholu i narkotykach: potwór".

Johnny: „Przy niej miałem wrażenie, że nigdy nie mam racji. Była zazdrosna i szantażowała mnie popełnieniem samobójstwa. Zupełnie jak moja matka wobec mego ojca. Poniżała mnie, wymyślała mi. Zaprzeczała wszystkiemu, co mówiłem".

Na procesie zeznają adwokaci obu stron. Jak opisuje „The New York Times", w czasie, gdy mówi obrończyni Heard, Elaine Bredehoft, Depp siedzi skulony i od czasu do czasu wybucha ironicznym śmiechem.

Gdy Camille Vasquez, obrończyni Deppa, wysuwa tezę, że wystąpienie Amber Heard w „The Washington Post" było cyniczną promocją filmu „Aquaman", jej pierwszego filmu fabularnego, który właśnie wchodził na ekrany, Heard rzuca Deppowi pogardliwe spojrzenia. Według adwokat Vasquez Amber Heard jest osobą, która kieruje się wyłącznie własnym interesem i ma obsesję na punkcie swego wizerunku w mediach. Potwierdza to asystentka aktorki Kate James, która zgodziła się wystąpić jako świadek oskarżenia. „Wymyśliła te wszystkie historyjki, które z Deppa miały zrobić potwora" – powiedziała James.

Według obrończyni aktora prawdziwą ofiarą przemocy jest on. Podtrzymuje, że przez cały czas ich związku to partnerka robiła mu sceny i upokarzała go. Zarzucała, że nie jest prawdziwym mężczyzną, bo jej nie broni.

Jako spektakularny dowód agresji partnerki Depp pokazuje okaleczony środkowy palec prawej dłoni. I opowiada, jak w roku 2015, podczas kręcenia „Piratów z Karaibów" w Australii, między małżonkami wybuchła awantura. Amber rzuciła w partnera butelką, która rozpryskując się, obcięła mu kawałek palca. Ona twierdzi, że to było samookaleczenie.

Kto mówi prawdę? Na razie przesłuchania trwają, zdecyduje ława przysięgłych. Na Johnnym ciążą ciężkie zarzuty. Obciążają go nie tylko zeznania, dowody rzeczowe: zdjęcia posiniaczonej twarzy Amber, pukiel jej wyrwanych włosów. Są także SMS-y. Na jednym z filmików widać, jak Amber nagrywa iPadem, gdy John próbuje ją uderzyć. On wyrywa jej tablet, obraz zaczyna drgać.

Siedmioosobowa ława przysięgłych jest zbulwersowana. Szala winy na razie przechyla się na stronę aktora. Dowody świadczą przeciwko niemu. Dwa lata temu przegrał proces o zniesławienie wytoczony brytyjskiemu tabloidowi, który nazwał go „damskim bokserem".

Jakby nie było, Deppowi trudno będzie odzyskać dawne dobre imię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 340eab0e61

NASZ TEST: WIDEOREJESTRATOR NEXTBASE 522GW

Dobra jakość nagrań, porządne wykonanie, możliwość podłączenia kolejnych kamer, funkcja „Emergency SOS" oraz prosta obsługa – to największe zalety kamery samochodowej z wysokiej półki brytyjskiej marki Nextbase.

Głównym elementem ważącej 125 g kamery jest dotykowy ekran IPS o przekątnej trzech cali i rozdzielczości 960 x 480 pikseli. Wideorejestrator nagrywa filmy o rozdzielczości 1444 p (QUAD HD) przy 30 klatkach na sekundę lub w rozdzielczości 1080 p przy prędkości 60 klatek na sekundę. Wielkość sensora to 5 Mpix. Jakość obrazu jest dobra zwłaszcza w słoneczną pogodę, choć nawet w dni pochmurne nie jest źle. To efekt m.in. zastosowania przez producenta bardzo jasnego obiektywu f/1.3. Kąt widzenia kamery wynosi 140 stopni. Niestety, w nocy jakość mocno spada, pojawiają się szumy, a numery na tablicach rejestracyjnych stają się praktycznie niemożliwe do rozpoznania.

Plusem testowanego modelu jest to, że podstawową kamerę łatwo można rozbudować o kolejne, np. łącząc ją z kamerką do nagrywania obrazu za pojazdem lub z modułem, który umożliwia nagrywanie tego, co się dzieje za szybami bocznymi, lub obrazu z wnętrza auta (ta funkcja przydać się może zwłaszcza taksówkarzom i kierowcom wszelkiej maści firm przewozowych).

Zaletami testowanego urządzenia są również wsparcie dla Alexy oraz wbudowany akumulator o pojemności 280 mAh, który umożliwia korzystanie z inteligentnych funkcji parkingowych, podczas gdy kamera nie jest podłączona do bieżącego źródła zasilania. Nagrywanie w modelu 522GW uruchomi się więc automatycznie, gdy tylko kamera wyczuje wstrząs – dzięki nagraniu można zaś łatwiej odnaleźć osobę, która uciekła po drobnej stłuczce na parkingu.

Model 522GW, podobnie jak inne droższe kamerki tego producenta, oferuje także funkcję Emergency SOS, dzięki której w razie poważnego wypadku kamerka sama może przesłać sygnał do aplikacji w smartfonie, która z kolei prześle do służb ratunkowych dokładne współrzędne GPS wraz z informacjami wpisanymi wcześniej przez użytkownika (np. o alergii na konkretne leki etc.). Aktywacja tej funkcji wymaga jednak opłacania dodatkowego abonamentu.

Wady? Najmniejszy minus należy się za stosowanie przez producenta standardu miniUSB niemal z przełomu wieków – niby to bardzo nie przeszkadza, ale w kamerce z tak wysokiej półki stosowanie tak starych rozwiązań to jednak trochę wstyd. Dla niektórych istotną wadą może być słaba jakość filmików nagrywanych podczas jazdy w nocy. Trzecia kwestia: co prawda, kamerę można połączyć ze smartfonem za pomocą wi-fi i modułu Bluetooth, jednak aplikację na smartfona, w przeciwieństwie do samego urządzenia, trudno zaliczyć do najlepszych w swojej klasie. Samo łączenie kamery z telefonem wymaga już od użytkownika pewnej dozy pokory, ale ściąganie nagrań z jazdy to już egzamin z anielskiej cierpliwości. Największą wadą tego modelu jest jednak wysoka cena (887 zł), choć i tak w przypadku tak zaawansowanej kamery stosunek ceny do jakości jest w tym przypadku całkiem niezły. ©℗

Jacek Przybylski

OKULARY DLA NIESŁYSZĄCYCH

Voicee Smart AI to prototyp inteligentnych okularów, które mają pomóc w codziennym życiu osobom niesłyszącym. Zaprojektowane na jednym z portali crowdfundingowych urządzenie jest wyposażone w mikrofon z redukcją szumów, wyświetlacz po wewnętrznej stronie jednej z soczewek, procesor, panel dotykowy oraz litowo-polimerowy akumulator. Wszystko po to, aby inteligentne okulary mogły w czasie rzeczywistym zamieniać słowa innych osób na tekst wyświetlany na ekranie jednej z soczewek. Dzięki temu osoby niedosłyszące mogą po prostu czytać, co się do nich mówi. Cena: 512 euro (2,4 tys. zł). Wysyłka pierwszych gotowych egzemplarzy planowana jest na listopad 2023 r.

NOWY ROBOT DO MYCIA OKIEN

12 maja zadebiutował na rynku najnowszy robot Winbot W1 Pro testowanej już na łamach „Do Rzeczy" marki Ecovacs. Nowy model jest wyposażony w krzyżowy system zraszania szyb, co – według zapewnień producenta – ułatwia pozbywanie się wszelkich zabrudzeń oraz plam na szybach. Nowy robot potrafi też lepiej niż dotychczas planować trasę wokół okien tak, aby umyć jak największą ich powierzchnię. Charakterystyczny dla Winbota W1 Pro jest również ośmiopoziomowy mechanizm bezpieczeństwa. Urządzenie ma wbudowaną baterię o pojemności 650 mAh, dzięki czemu nawet w przypadku nagłej przerwy w dostawie prądu nie odpadnie od szyby. Ważący 1,7 kg robot potrafi także ponoć reagować na ostrzeżenia głosowe użytkownika. Cena: 1999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 340eab0e61

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Stawiam na ziemniaka

Ziemniaki – podstawa naszej kuchni i samo dobro płynące zarówno z ich smaku, jak i z wartości odżywczych. Trudno nam się teraz bez nich obejść i aż nie chce się wierzyć, że do ich uprawy dawnych mieszkańców Prus trzeba było niemalże przymuszać. Słynne rozkazy ziemniaczane wydane zostały po raz pierwszy w 1746 r. przez cesarza Fryderyka II, podczas klęski głodu na Pomorzu.

Ziemniak pochodzi z Ameryki Południowej, dokładnie z Andów. Nazwa „kartofel" do języka polskiego trafiła z języka niemieckiego, od słowa „die Kartoffel". W języku francuskim ziemniaki mają poetycką nazwę „jabłek ziemi", czyli pommes de terre. Ich pojawienie się na naszym kontynencie było zbawienne dla głodującej Europy. Szybko podbiły żołądki i serca Europejczyków, gdyż jako bardzo odżywcze źródło witamin, minerałów oraz skrobi sprawiają, że po zjedzeniu czujemy długo przyjemną sytość.

W Wielkopolsce z ziemniaków gotowano zupę nazywaną „ślepe ryby" albo „rzadkie pyrki". W Lubuskiem znana była zupa „niebecz". Ziemniaki są bogate w witaminę C oraz witaminy z grupy B, magnez, potas i żelazo. Są też – wbrew pozorom – niskokaloryczne. Najbardziej bowiem tuczy to, czym ziemniaki polewamy oraz z czym je jemy.

W okresie letnim najpopularniejsze są ziemniaki jako dodatek do dań z grilla albo po prostu jedzone z dodatkiem kwaśnego mleka czy kefiru i ze świeżym koperkiem.

Mamy kilka odmian ziemniaka, popularne w Polsce to irga, irys, lord. Ziemniaki różnią się konsystencją i kolorem i nie każdy nadaje się do wszystkiego.

Naszym ulubionym przepisem na lato jest sałatka z gotowanych ziemniaków z ogórkiem małosolnym, marynowanym zielonym pieprzem, kaparami, dużą ilością wszelakiej zieleniny i sosem jogurtowo-majonezowym. Polecany szczególnie do dań z grilla. Zaletą tej sałatki jest to, że znika do ostatniego ziemniaczanego kawałeczka.

Przepis na sałatkę

• 1 kg młodych ziemniaków • 1 duża łyżka marynowanego zielonego pieprzu w zalewie • 1/2 kg ogórków małosolnych • 1 czerwona cebula • 1/2 kubka jogurtu greckiego • 2 łyżki majonezu • sól i pieprz • 1 łyżeczka musztardy • zielona pietruszka, szczypiorek, cebulka • szczypta cukru

Ziemniaki gotujemy do miękkości, ale uwaga, by ich nie rozgotować, powinny być jędrne.

Kroimy w dwucentymetrową kostkę.

Ogórki kroimy na mniejsze kawałeczki, cebulę kroimy w piórka. Dodajemy pieprz zielony odsączony z zalewy, kapary, pokrojone zioła. Na końcu sos: majonez, musztarda, jogurt, sól, pieprz, szczypta cukru. Wszystko razem mieszamy i dodajemy do ziemniaków.

Podajemy schłodzone.

Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK (2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czar własnej osoby

Wydana książka, upieczone ciasto, zdany egzamin siostrzeńca/syna/wnuczki, wakacje we Włoszech, wystąpienie w telewizji, nowa fryzura, nowa torebka, nowa praca, impreza biurowa…

Oraz dziesiątki innych. Wszystko jest dobre, żeby zaprezentować się na Facebooku. Ale jak by nie był ciekawy czy ważny temat, który poruszamy, to zawsze jest moment, żeby przy okazji podpromować własną osobę. Nie wiem, jak jest na zagranicznych fejsach, ale wiem na pewno, że Polacy są mistrzami autoprezentacji. Nie potrzeba szkół, kursów, sami wiemy, jak to najlepiej zrobić. Sposobów jest kilka.

Pierwszy: intelektualny. Omawiamy temat – powiedzmy – spotkanie czytelnicze lub wernisaż wystawy. Kultura jest ważna! Na zdjęciach sceny wydarzenia, książka/obraz (może być własnego autorstwa), publiczność, która przybyła licznie, ewentualnie podium. A na nim oczywiście główny(a), bohater(ka). Pięknie wygląda, uśmiecha się, choć trochę jakby zażenowany(a), trzyma kwiaty, przyjmuje gratulacje. Pod spodem komentarze, a te, trzeba dodać, są istotną częścią działalności autopromocyjnej. „Pięknie wyglądałaś!", „Było wspaniale!", „Super miałaś sukienkę!", „Dla ciebie czas chyba nie mija" itp., itd.

Drugi sposób: na Znaną Osobę. Niby dyskretnie, bo przecież nie o nas tu chodzi, ale w końcu jeśli jesteśmy tutaj i stoimy obok, bo znamy

tę właśnie Znaną Osobę, to sami też się liczymy, jesteśmy ważni.

Sposób trzeci: gastronomiczny. Restauracje już się opatrzyły, fotografować dań nie wypada. Jednak jedzenie wciąż nie traci na atrakcyjności jako platforma autoreklamy. Kieliszek z szampanem to banał, najlepiej działają nieznane/rzadkie/drogie potrawy czy składniki. One poniosą naszą reputację w świat. Wina także dobrze się sprawdzają w tej roli – najlepiej, jeśli występują przy okazji podróży do miejsca, gdzie powstają.

Sposób czwarty: rodzinny. Najbardziej banalny, ale też sympatyczny, bo w końcu pochwalić się osiągnięciami dzieci, nawet niekoniecznie bezpośrednio naszych, jest zawsze przyjemnie. Poziomy są różne: od narodzin, poprzez osiągnięcia przedszkolne, aż do poważnych zdobyczy: dyplomów, nagród. W roli narzędzia promocji własnej dobrze sprawdzają się wyjazdy dzieci do szkół i na uczelnie zagraniczne. Donosów o tym, że potomek dostał dwóję z matematyki, brak.

Sposób piąty: bezpośredni – autoportret. Jestem piękna! Jestem przystojny! Czyż nie?

W komentarzach potwierdzenie. Zawsze można na nie liczyć. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Krwawy pałac Kazanowskich

JACEK KOMUDA

Historia pałacu Kazanowskich w Warszawie, który znajdował się nieopodal Zamku Królewskiego, przy Krakowskim Przedmieściu, pod dzisiejszym numerem 62, wplotła się krwawo w politykę Rzeczypospolitej. Tuż przed potopem szwedzkim znajdowała się tutaj jedna z najwspanialszych rezydencji magnackich w stolicy. Za czasów Zygmunta III działała w tym miejscu mennica królewska, którą władca przebudował na rezydencję dla pierworodnego syna Władysława. Niespodziewanie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. MART

przyszły król podarował dwór wielkiemu przyjacielowi, towarzyszowi zabaw i uciech, Adamowi Kazanowskiemu. Już wtedy zakończyło się to skandalem, król pogniewał się na syna, ale ponieważ wkrótce zmarł, rezydencja została przy właścicielu. Począwszy od 1637 r., kasztelan sandomierski i późniejszy marszałek koronny rozpoczął budowę pałacu, który już w latach 40. składał się z okazałego skrzydła otwartego na Wisłę, ozdobionego dwoma okazałymi wieżami. Tuż obok znajdował się także dwupiętrowy arsenał. Od strony północnej wzniesiono oficynę dla służby, kierunek zachodni zaś zamknięty był przez fosę i budynek bramny.

Pałac słynął z luksusu: „Włochy, któreśmy potem widzieli, nic tak okazałego nie mają ani pańskiego" – pisał francuski historyk Jean Le Laboureur. Opisywał, że jest zbudowany w czworobok: „Apartament składa się z ciągu pięciu lub sześciu pokojów ciągiem idących i wstęp dających do tyluż pobocznych. Wszystkie są okryte obiciami wschodnimi najrzadszymi w srebrnych i złotych materiach, jeśli się w niektórych znajdują łóżka, to są ze złotogłowiu, którego blask przypomina słońce przy wschodzie. Pokoje zdobią wielorakie szafy najprzedniejszej roboty, jaką widzieć można, i stoły kryte najpiękniejszymi sztukami ze złota, srebra, bursztynu i drogich kamieni". Jeszcze wspanialej wyglądała wielka sala o marmurowej posadzce, gdzie pośrodku znajdowała się fontanna, z której w czasie uczty tryskały wina. Nad drzwiami zaś wzniesiono ganek, na którym przygrywało 12 muzyków. Oprócz tego w pałacu znajdowały się liczne osobliwości. Miał Kazanowski dwie karliczki i dwa karzełkowe pieski: „Nie były większe od myszy, spoczywały w koszyczku białym mało co większym jak ręka, na poduszce atłasowej woniącej". W innym pokoju Laboureur spotkał 12 panien „strojnych bogato w perły i diamenty", które bawiły się z szaloną kobietą, mającą się za mężczyznę i naśladującą go gestami.

Pałac wkrótce stał się widownią dramatycznych wydarzeń. Kazanowski zmarł bowiem w 1649 r., a wdowa po nim, Elżbieta ze Słuszków, kobieta lekkiego autoramentu, wyszła za Hieronima Radziejowskiego, podkanclerzego, który był magnatem na dorobku. Skończyło się to katastrofą, Elżbieta bowiem została kochanką króla Jana Kazimierza, co mąż jeszcze by przebolał, jednak wypędziła go z łożnicy, a w dodatku rozpoczęła starania o rozwód. W Radziejowskiego jakby piorun strzelił – wraz z ręką żony otrzymał liczne włości, a przede wszystkim wspominany pałac podkreślający jego pozycję. Rozwód oznaczałby, że spadłby do pozycji zaledwie posesjonata. Jednak Elżbieta przeniosła się do klasztoru Bernardynek, a kiedy Radziejowski próbował odzyskać żonę siłą – wezwała braci z Litwy – Bogusława i Zygmunta Słuszków. Wykorzystując nieobecność Radziejowskiego, 4 stycznia 1652 r. uderzyli szturmem na dawny pałac Kazanowskich, zdobyli go i wyrzucili, poranili lub pozabijali służbę dawnego pana.

Kiedy do przebywającego w Radziejowicach podkanclerzego doszła wieść o zajeździe, zebrał mazowieckich hultajów, ściągnął kilka armat, po czym przybył do Warszawy i 5 stycznia uderzył na pałac, usiłując wyrzucić z niego Słuszków. W stolicy bito w dzwony, mieszczanie kryli się w piwnicach, kiedy ludzie podkanclerzego ostrzelali rezydencję z dział, a potem próbowali wedrzeć się do środka. Pałac ponoć przelewał się od krwi, rannych i zabitych wyrzucano na ulicę. A wszystko to pod bokiem króla!

Radziejowskiemu nie udało się odzyskać majętności. Wycofał się z miasta. Dopiero wtedy z woli Jana Kazimierza, który podkanclerzego nienawidził, skazano go na banicję i utratę dóbr oraz urzędów. Prawdopodobnie dwór nie reagował na tę awanturę, chcąc jak najbardziej pogrążyć Radziejowskiego.

Pałac został zrujnowany w czasie potopu. To właśnie w ogrodach tego miejsca sienkiewiczowski pan Zagłoba walczył z małpami. Dzieła zniszczenia dopełnił najazd Węgrów Rakoczego. W 1661 r. właścicielami zrujnowanego pałacu zostali Lubomirscy, którzy oddali połowę budynku karmelitankom bosym na klasztor i kościół; ich przebudowy zmieniły charakter rezydencji. W 1818 r. zakon uległ kasacie i budynek przeszedł na własność Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności Res Sacra Miser. Dziś ma tu siedzibę towarzystwo Caritas Archidiecezji Warszawskiej. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sztuczna korona

Ciekawy naukowy artykuł dr. Ah Kahn Syeda. To kolejne badania dowodzące tezy, że wirus nie mógł powstać w sposób naturalny. Doktor obala tezy zwolenników naturalnego sposobu powstania wirusa. Czyli takiego, że się tam łuskowce poobcierały o nietoperze i wyszła dziwna kombinacja, a właściwie rekombinacja. Bo taka jest oficjalna wersja powstania wirusa. Naukowa, rzecz jasna.

A kwestia, czy wirus jest naturalny czy sztucznie stworzony, ma głębokie implikacje. Jeśli to bowiem natura, to cóż – przydarzyło się – może się zawsze w przyszłości pojawić jakaś nowa rekombinacja i wrócimy na stare pandemiczne tory. Ale co, jeśli wirus powstał z woli człowieka?

Mamy trzy wyjścia. Pierwsze – ktoś tam kombinował przy NRA i mu wyszedł przypadkiem nasz koronkowy wariant. Potem się „jakoś wydostał" i nieszczęście gotowe. Druga wersja, że, owszem, eksperymentowano w jakimś Wuhan z nowymi wariantami, ale – uwaga, uwaga! – po to tworząc sztuczne wirusy, by znaleźć na nie antidotum. Taka inwestycja w przyszłość. Mało wiarygodna, dodajmy. Bo po co robić coś, czego natura nie wytworzy, żeby wynajdywać potem przez lata pracy szczepionkę „na wszelki wypadek"? I taki wirus się wymknął z laboratorium.

Trzecia wersja jest hardcore, bo zakłada, że nie tylko specjalnie spreparowano wrednego wirusa, lecz także specjalnie wypuszczono go z labu, by pozakażać świat. Potem miało być to, co widzieliśmy. Panika, oddanie wolności, kryzys ekonomiczny, upadek edukacji i zapaść społeczna wraz z zapaścią publicznej służby zdrowia. W efekcie – realizacja podejrzanych celów globalistów, do których należy depopulacja. Czyli miałaby to być afera początkująca kryzys, który był katalizatorem zmian modelu funkcjonowania świata.

I tu się wersje rozjeżdżają. Ale wszystkie są wymagające reakcji. Bo jeśli wirus się wydostał przypadkiem, to i tak trzeba namierzyć, kto zaniedbał tak ważną sprawę, i poszukać oraz ukarać winnych. I może to być nawet jakiś strażnik albo dziurawa procedura. Ale w przypadku specjalnego wypuszczenia sztucznie stworzonego wirusa to już grubsza sprawa, gdyż zakłada długoletnią intrygę, zrealizowaną w celach zbrodniczych wobec ludzkości. Ciężko więc będzie załatwić sprawę jakimś koziołkiem ofiarnym.

Tak czy siak – wersja o sztucznym pochodzeniu wirusa wymaga znalezienia winnych. Dlatego jest tak niepopularna. Trzeba byłoby bowiem wyciągnąć konsekwencje, szczególnie co do osób, które z premedytacją, nielegalnie, do niewiadomych (lub – co gorsza – wiadomych) celów prowadziły i finansowały ten proceder. Bez względu na wersję muszą być bardzo wysoko, bo – mimo gromadzących się dowodów na sztuczne pochodzenie wirusa – nie pociągnięto do odpowiedzialności nikogo. Nawet stróża. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

IHR jak IRCHa

W niedzielę 22 maja zebrało się 75. Światowe Zgromadzenie Zdrowia, by omówić i przyjąć poprawki do Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych 2005 (IHR). Po tym, co nam zafundowano od marca 2020 r. pod pretekstem walki z pandemią, poczynania WHO (na szczęście) są monitorowane przez niezależne środowiska medyczne, więc wiemy, co się święci. Poprawki zgłoszone przez przedstawicielkę USA, niejaką Loyce Pace, zmierzają do wzmocnienia pozycji WHO wobec rządów krajów członkowskich. Pozornie są to miękkie środki, jednak niedookreśloność zapisów i wynikająca z tego przestrzeń dowolnej interpretacji rodzą poważne obawy.

Po pierwsze, zmiany mają na celu rozszerzenie uprawnień dyrektora generalnego WHO i przyznanie mu kompetencji w nakładaniu obostrzeń i ogłaszania stanu epidemii bez jakichkolwiek procedur i konsultacji na skalę globalną. Po drugie, postulowany projekt zmienia dotychczasowy status WHO z funkcji doradczej na podmiot, który ma realny wpływ na zarządzanie polityką prozdrowotną krajów członkowskich WHO i wydawania wiążących decyzji. Po trzecie, we wniosku zmian IHR znalazł się zapis o usunięciu trybu konsultacji i konieczności wyrażenia zgody przez państwa-strony objęte zdarzeniem potencjalnie wywołującym zagrożenie pandemią. Konsultacje, owszem, będą prowadzone, ale w wewnętrznych komitetach WHO. Nadto WHO i jej biura regionalne będą prowadzić powszechne okresowe przeglądy zdrowia. Jeśli WHO lub jej regionalne agendy stwierdzą, że państwo-strona nie reaguje na potencjalne zagrożenie, wtedy same dokonają oceny poziomu ryzyka, zakaźności i ciężkości choroby.

Zapisy te pozwalają WHO podejmować decyzje dotyczące obostrzeń wprowadzanych na terenie kraju, a także gromadzić i przekazywać innym państwom dane zdrowotne obywateli. Jeżeli WHO np. otrzyma od innego państwa-strony donos o wystąpieniu ryzyka, to ma prawo dokonywać tam działań bez wiedzy i zgody danego państwa. „Działania takie mogą obejmować współpracę z innymi organizacjami ustalającymi standardy oraz ofertę zmobilizowania pomocy międzynarodowej w celu wsparcia władz krajowych w przeprowadzaniu i koordynowaniu ocen na miejscu".

Ponieważ nie doprecyzowano, co to za działania, jakie organizacje i jak mają wyglądać tzw. środki zaradcze, tym samym otwiera się pole do naruszeń konstytucji danego kraju i naruszeń praw człowieka. W stanie wojennym Kiszczak z Jaruzelskim, pod pretekstem walki ze spekulantami i czarnym rynkiem, powołali tzw. Inspekcje Robotniczo-Chłopskie zwane w skrócie IRCHa. Nie podejrzewałem, że dzisiaj podobne bolszewickie pomysły (nie tylko z brzmienia nazwy, lecz także z istoty) zrodzą się w USA. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Jak dorobić 20 tysięcy

Szanowni państwo, udzielę teraz darmowej porady, proszę uważać. Porada co do zasady kierowana jest do emerytek i emerytów, ale może być wykorzystywana szerzej, gdyż kryje w sobie moc potencjału. Któż z nas, szczególnie osoby starsze, nie chciałby, aby jego budżet został zasilony dodatkowymi 20 tys. zł? Proszę podnieść rękę w górę. Nie widzę, więc kontynuuję. Pomysł został przetestowany przez Katarzynę Augustyniak, zwaną też babcią Kasią. Ta znana i niepowszechnie szanowana osobopostać była kandydatką na Warszawiankę Roku. Słodyczą zachwalana była przez samego Macieja Stuhra na stosownej uroczystości. Niestety.

Babcia Kasia ochoczo brała i bierze udział w protestach antyrządowych. Jest nad podziw agresywna, wulgarna, obraża policjantki i policjantów, naruszając ich nietykalność cielesną. Obserwując jej histeryczne wyczyny, człowiek poczciwy może sobie zadać pytanie: „Czy baba owa aby nie ma fiksum-dyrdum?". W czasie jednego z jej wybryków policja zatrzymała babcię i przewiozła na komisariat. Pani uznała, że pogwałcono jej prawa, i poszła do sądu. Badania wykazują ponoć, że część Polaków szanuje sędziów, a część się z nimi zetknęła. Proszę wybaczyć dygresję. W każdym razie sąd przyznał babci Kasi 20 tys. zł zadośćuczynienia. 20 tys. zł. Pozwolą państwo, że powtórzę, żeby nie umknęło: 20 tys. zł.

Nie chciałbym wyjść na zazdrośnika, ale nie są to znojnie zarobione pieniądze. I tu się otwiera rynek, taki small business. Jest przecież popyt na kasę, znajdą się chętni, ale... nie każda emerytka jest jak babcia Kasia, czyli nie każda ma chamstwo naturalne. Pewne rzeczy można jednak wyćwiczyć. Na przykład za 5 tys. zł taki kurs: „Zostań wulgarną chamką w dwa tygodnie. Pieniądze, sława. Warszawianka Roku". Oczywiście firma organizująca monitorowałaby nadarzające się okazje, czyli protesty, i wysyłałaby tam przy pełnym dokumentowaniu filmowym swoich absolwentów. Nawet jeśli odliczyć 5 tys. za kurs, to i tak zostaje 15, a przy obecnych sędziach sprawa jest raczej pewna i rozwojowa. Jakby co, mogę szkolić, biorę cztery tysie, małe 100-osobowe grupy.

Myślę, że trochę za cicho minął nam Międzynarodowy Dzień przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii. Dostrzegam tu konieczność popularyzowania wiedzy, czym jest np. bifobia i jak ją rozpoznać w swoim wrogu. Poza tym wyjaśnienia dla opinii publicznej wymagają kwestie, czy jeśli ktoś jest np. homofobem, to może nie być bifobem? I czy to już są wszystkie fobie? No i jeszcze jedno: Kiedy jest Międzynarodowy Dzień Heterofobii? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Misja: robić za kluczyk

Małgośka, mówią mi, macie anachroniczne poglądy, cała nadzieja w opozycji! Jak widać, nawet wojna nie przywróciła wielu Polakom zgubionej gdzieś piątej klepki, bo wciąż chcą głosować na Tuska et consortes. Opozycja umie schlebiać masom: prawem do zabijania, prawem do bycia wulgarnym, prawem do wyemancypowania się ze wspólnoty, tradycji. Czy ktoś pamięta, że słowo TRADITIO pochodzi z prawa rzymskiego i było aktem przekazania kluczy? Czy wolno nam tak po prostu wyrzec się zobowiązań wobec tych, którzy byli przed nami? Wolno nam splunąć na dom, który po sobie pozostawili? Robić reset z Moskwą, schylać kark przed Berlinem i Brukselą?

Wiele razy wspominałam tu już mojego dziadka, którego zajadły antykomunizm i – jakby to dziś nazywano – „rusofobia" były legendarne i naznaczyły jego charakter barwnym radykalizmem, choć to babcię sanitariuszkę AK zesłano do łagru w Stalinogorsku. Dziadek Aleksander gardził wszystkim, co „bolszewickie", ale położenie ich domu na górkach Wyżyny Lubelskiej zmusiło go do zakupu sowieckiego uaza 69 z napędem na cztery koła, dzięki czemu nawet śnieżne zimy nie odcinały ich od świata. Ten dziwny „jeep", będący jakby krzyżówką wozu bojowego z dostawczym, miał jednak wielką wadę: nie miał zamka i nie można go było zostawić na parkingu bez opieki. Za „kluczyki robiła" więc zwykle babcia, która przyjmowała swój los stróża z wielką pokorą, bo wiedziała, że mężowi pękłoby serce, gdyby jakiś kolekcjoner odjechał ich wyremontowanym gazikiem przejętym od czerwonoarmiejców. Czasem nawet ja dostawałam tę misję, od małego medytując nad ograniczonością technicznej myśli sowieckiej albo znów nad sposobem użycia klucza francuskiego, który pozostawiał mi dziadek pod ręką na tzw. wszelki wypadek, gdyby ktoś próbował ze mną odjechać.

Wspominam to „bycie kluczykiem dziadka" nieprzypadkowo, bo ile razy ktoś w rodzinie przyrównuje mój charakter i poglądy do śp. dziadka, to myślę sobie: To cudowne TRADITIO! Tylko martwi mnie, jak te same wartości przekazać synom, gdy młodych kusi się wyemancypowaniem z tej „bogoojczyźnianej" tradycji, jej odrzuceniem i otwarciem na wszystko. Nikt już z wyborców opozycji nie chce pamiętać, jaką wagę miało pilnowanie granic na jesieni, w kontekście trwającej dziś wojny. A przecież to naprawdę ważne zadanie: być kluczykiem w TRADITIO pokoleń, kluczem we wspólnym domu, zamykać się na intruzów, otwierać się na uchodźców. No i „mieć pogardę dla szpiclów, katów, tchórzy". Nawet jeśli mają mandat europosła. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Mongolska pensja"

Emigracyjny „Trzeci Maj" 20 marca 1847 r. podał następującą informację: „»Le Moniteur« z dnia 18 marca [1847] podaje wiadomość, że pan Kisielew [ambasador Rosji w Paryżu] wszedł w umowę z bankiem francuskim i nabył w imieniu rządu rosyjskiego ilość pewną papierów tego banku, zwanych »inscriptions des rentes francais«, odpowiadającą wartości 50 milionów kapitału. Niektóre dzienniki utrzymują, że część tej sumy ma być wypłacona bankowi francuskiemu w brzęczącej monecie, a część dostawą zboża z Odessy i innych portów".

Co do wielkości sumy wypłaconej przez Rosjan francuskiemu bankowi trwały dyskusje. Mówiono również o 5, a nie 50 mln franków. A i tak cała rzecz bulwersowała wytrawnych „rusofobów", którzy nie chcieli traktować Rosji jako „trudnego, ale odpowiedzialnego partnera". Do tego grona należał Zygmunt Krasiński, który zbulwersowany transakcją między francuskimi bankierami a rządem rosyjskim pisał 30 marca 1847 r. do Stanisława Małachowskiego: „Owe pięć milionów nie mogą mi wyjść z myśli. Zupełnie to samo co u nas: król i pany niektóre pensje brali, sprzedawali kraj; teraz cały »tiers etat« takim samym sposobem, a po nowomodnemu, to jest bankowo, sprzedał interes kraju. […] Wielkie świństwo przyjmować pieniądze i ratunek od nieprzyjaciela!".

Parę dni wcześniej wieszcz zwierzał się na piśmie innemu adresatowi: „Co mówisz o »tiers etat« ratowanym przez pięć milionów moskiewskich? Bank się cieszy, bankiery się radują – krótka radość będzie, ale strasznie się obawiam […]. Bo jużci nie wątpię, że już jest sekretny alians ułatwiający Rosji wzięcie Bosforu, a Francji robienie dalszych podłostek i mszczenie się dziecinno-babskie na angielskich ministrach" (list do Konstantego Gaszyńskiego, 25 marca 1847 r.).

Krasiński sam przyznawał, że „zwykle na wszystko złe ma węch niesłychany". Mówił, że „urodził się psem do truflów, lecz te trufle to klęski i nieszczęścia". Fantastycznie więc pławił się nasz wieszcz w teoriach spiskowych i tropieniu ukrytych mechanizmów dziejów, zwłaszcza przewrotów społecznych i kryzysów politycznych. Autor, który umieścił w swoim sztandarowym dziele „chór przechrztów" („Nie-Boska komedia") jako jeden z czynników sprawczych rewolucji idącej na zagładę ostatniego szańca obrony Zachodu w „okopach Trójcy Świętej", obserwując polityczne realia XIX-wiecznej Europy, co rusz wydobywał na wierzch korzenie, z których wyrastały „trufle klęsk i nieszczęść". A ponieważ był „rusofobem", wszędzie widział wpływy rosyjskie.

Rosja przedstawiająca się jako obrońca ładu politycznego i społecznego („żandarm Europy") finansowała zarówno nobliwych francuskich bankierów, jak i „najwścieklejsze rzeczypospolite" i „małpy 1793 r.". Pod wrażeniem galicyjskiej rabacji wyczuwał, że „coś w tym wszystkim jest nader ukrytego, podziemnego, a bezwzględnie rozpasanego". Domniemywał „jakąś niesłychanie bezecną sprężynę poruszającą tymi marionetkami". Wiemy, że za uderzeniem w polską szlachtę stał inny „obrońca ładu" – austriacki kanclerz Metternich. Jednak podejrzenia naszego wieszcza skierowały się od razu na dysponentów „mongolskiej pensji". Wszak „nieraz i to bywa, że pensjonowani przez Chana wielkiej hordy Anti-Chrystusowej nie wiedzą sami, skąd ten ich żołd pochodzi; mniemają, że od komitetów liberalnych, że od propagand, a tym czasem ostateczny skarbiec, skąd sypie się złoto ono, przez wiele rąk przesuwające się, leży w Krymie!" (17 marca 1846 r. do S. Małachowskiego).

Niemal miesiąc później w innym liście poeta wyznawał: „Powiem ci szczerze, żem przekonany, że wśród owych demagogów gęsty deszcz, jak na Danae, sypany z rubli działa i że kiedyś wyświeci się, że tam istniała zbiorowa zdrada" (14 kwietnia 1846 do K. Gaszyńskiego).

Wieszcz to ten, który trafnie przepowiada. Mickiewicz dojrzał „wojnę powszechną za wolność ludów". Słowacki „papieża słowiańskiego". A Krasiński pisząc o „złocie przesuwającym się z rąk do rąk" i „krymskim żołdzie", jakby widział dzisiejszą pajęczynę rosyjskich wpływów obsypującą gęstym deszczem pieniędzy zarówno „obrońców klimatu", jak i „antysystemową prawicę". Romantyk nie oznacza naiwniaka.

Wieszcz to ten, który trafnie przepowiada. Mickiewicz dojrzał „wojnę powszechną za wolność ludów". Słowacki „papieża słowiańskiego". A Krasiński jakby widział dzisiejszą pajęczynę rosyjskich wpływów obsypującą deszczem pieniędzy „obrońców klimatu"

©℗

eprasa.pl 340eab0e61

DWA WINA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Poszedłeś do doktora. Jakaś dziwna wysypka na lewym pośladku. Doktor zapisuje popularną maść. Kuracja nie działa, a nawet gorzej – wysypka zajmuje już oba pośladki – więc po miesiącu wracasz, a on każe smarować więcej tą samą maścią, bo to bardzo dobra maść stosowana na całym świecie. Hm. Mnie tam cały świat mało interesuje, bardziej mój własny tyłek, ale niech będzie, bo to przychodnia specjalistyczna, a pan doktor ma tytuł profesorski.

Niestety, znów nie pomogło, więc idziesz po raz trzeci i pokazujesz, że wysypka z tyłka weszła na przód. I co byś zrobił, gdyby pan profesor nauk medycznych zaproponował ci jeszcze więcej tej samej maści? Ja bym podziękował i wyszedł.

***

Profesor nauk ekonomicznych Adam Glapiński w walce z inflacją podnosił stopy procentowe osiem razy. Nie dwa, nie trzy, lecz osiem! I nadal się nie zorientował, że ta maść nie działa. Po tylu próbach to żenujące. W dodatku maść nie działa nigdzie na świecie, choć jest rzeczywiście bardzo popularna.

Tacy ludzie rządzą naszym krajem. Bardzo często nie wiadomo, co z nimi nie tak, ale z daleka widać, że nie są fachowi w żadnej branży. I to jest ich wada zasadnicza. Czy Balcerowicz był fachowcem od czegokolwiek? Nie był. Był profesorkiem od teorii. Zero praktyki. Nie cenię takich.

Gdy chodziłem na wykłady z archeologii, uczył mnie prawdziwy profesor, który naprawdę kopał w ziemi, łamał paznokcie na pustyni i stykał się z realnymi przedmiotami, a nie tylko z teorią. A ci, którzy nami rządzą? Czy taki Balcerowicz albo który inny, zanim zabrał się do zarządzania finansami państwa, ćwiczył na czymś mniejszym i własnym? Otworzył własną firmę, stworzył miejsca pracy, zrobił sukces jak Pan Kluska? Nie. A Kuroń był fachowcem od czego? A Mazowiecki? A Morawiecki? A Tusk, Miller, Kwaśniewski, Duda?

Piszę do wszystkich stron politycznych. I nie wybrzydzam, lecz oceniam. Martwię się, że nie ma we władzach państwa fachowców od konkretów. Bo na czym konkretnym zna się premier Morawiecki?

Nie wszyscy oni są źli, nie wszyscy cyniczni – niektórzy są patriotami, a do tego religijni, ale fachowców u władzy brak. We władzach państwa widzę niezorientowanych, zagubionych albo takich, którzy tylko czekają, by decyzje za nich podejmował ktoś inny, najlepiej za granicą, a oni się wtedy przyłączą i zasłonią zdaniem: „Wszędzie w cywilizowanym świecie".

***

Podnoszenie stóp procentowych pogarsza sprawę i nakręca inflację. Podnieśli stopy, czyli oprocentowanie kredytów wzrosło, a w Polsce ludzie są mocno zadłużeni. Kto się z tego cieszy? Banki. Bo mogą kasować więcej w odsetkach kredytowych.

Rząd w związku z tym mówi, że ludziom przeciążonym odsetkami potrzebne są ulgi kredytowe oraz wakacje kredytowe, a także fundusz wsparcia kredytobiorcy – cała masa działań pogarszających sytuację, bo każde z nich oznacza, że władza wyda więcej forsy, której nie ma, czyli albo więcej wydrukuje, albo pożyczy u Chińczyków.

Na inflację rada taka – obniżać podatki, a wtedy wszystko robi się tańsze.

***

Jeden z moich kuzynów niedawno skończył studia, czyli nic nie umie. Nie jego wina – teraz po prostu niczego konkretnego nie uczą. Jedyną jego winą jest to, że poszedł na studia zamiast do zawodówki albo prosto do roboty. Mógł zostać kimś konkretnym, został magistrem.

W jakim celu szedłeś na te studia? – pytam. On mi na to, że chciał dużo zarabiać i dlatego wybrał ekonomię i zarządzanie. Podjął pracę w korporacji.

Ofukałem go za głupotę, wskazałem palcem na własny życiorys ekonomiczny oraz na to, że nasz dziadek był przed wojną milionerem, mimo że żadnej ekonomii nie kończył.

On mi na to, że „cały cywilizowany świat" poszedł do przodu, a ja jestem przestarzałym reliktem. Ale… zainteresował się, skąd właściwie zawsze mam forsę, mimo że mnie ciągle wywalają z roboty. I zadał pytanie o to, gdzie się uczyłem ekonomii.

Zgodnie z prawdą opowiedziałem, że głównie na ulicach. Byłem cinkciarzem i dlatego rozumiem kwestie kursów walutowych oraz wymiany pieniądza. Byłem przemytnikiem, więc rozumiem, jak działają cła. Pracowałem na czarno, rozumiem więc, jak szkodliwe dla pracownika jest prawo pracy, zezwolenia na pracę, licencje i inne takie. Jestem też przedsiębiorcą oraz pracodawcą. A w dodatku przeżyłem bankructwo, więc znam od strony praktycznej ekonomiczne dno, a nie tylko sukces.

Kuzyn osłupiał, ale chwilę potem otrząsnął się, wyrzucił z głowy wszystko, co mu opowiedziałem, bo żadna z tych rzeczy nie pasowała do wiedzy wyniesionej z uczelni, i pochwalił się, jaki to jego szef jest dobry, bo w związku z inflacją dał mu wysoką podwyżkę.

W tym momencie zapytałem, czy kuzyn ma w domu jakieś dobre wino, a najlepiej dwa, bo nasza rozmowa chwilę potrwa.

***

Przyniósł karton zawierający sześć flaszek. Zapisał się do klubu i mu przysyłają karton wina raz na miesiąc. Wytłumaczyłem, że dał się oszukać i przepłaca. A skąd ja to wiem bez otwierania kartonu? Wiem, bo umiem liczyć w pamięci. Płacisz 200 zł za karton, czyli 30 zł za flaszkę, no to tam w środku jest jedno dobre wino, jedno zwyczajne i cztery sikacze. Na tym dobrym oni nie zarabiają nic, na średnim też nic, czyli mogłeś je kupić w dowolnym sklepie za tyle samo, a za cztery pozostałe przepłacasz.

***

Na temat jego zarobków po podwyżce zrobiłem mu następujący wykład:

Zarabiasz coraz mniej. Nawet jeżeli szef dał ci podwyżkę. Bo skoro 1 kwietnia dał ci podwyżkę w wysokości 10 proc., a oficjalna inflacja w kwietniu wyniosła 12 proc., to znaczy, że w kwietniu zarobiłeś o 2 proc. mniej. Jeżeli inflacja w ciągu roku wynosi 30 proc., a szef da ci w tym roku podwyżkę kolosalną, wynoszącą 20 proc., to zarobiłeś o 10 proc. mniej, pomimo tej kolosalnej podwyżki. To, co opisałem, to nawet nie jest ekonomia, lecz zwyczajne rachunki na poziomie domowego portfela. Niestety, ludzie nie rozumieją wielu rzeczy prostych, bo władza opowiada w taki sposób, by nikt nie rozumiał, ale żeby wszyscy się cieszyli lub uspokajali, że będzie dobrze i jeszcze nam starczy na wino. ©℗

eprasa.pl 340eab0e61

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK

KS. P. GLAS, J. PULIKOWSKI: „OSTATECZNA BITWA O RODZINĘ", **OJCIEC PIO:** „SŁOWA ŚWIATŁA. NAJPIĘKNIEJSZE LISTY", **KARD. G. MÜLLER:** „JEDNOŚĆ WIARY. ODPOWIEDZIALNOŚĆ RZYMU ZA KOŚCIÓŁ POWSZECHNY" I **ABP. G. GÄNSWEIN:** „NA ROZDROŻU. JAKA JEST PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ WIARY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~948~~ ZŁ

348,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 598 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 340eab0e61

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

NBP na straży stabilności makro-ekonomicznej Polski

Dzięki dbałości o solidne fundamenty gospodarki i silną pozycję finansową banku centralnego, Polska weszła do elitarnej ligi gospodarek, które nie tylko relatywnie dobrze przetrwały globalny kryzys finansowy z lat 2007-2012 i pandemię COVID, lecz także kreatywnie wykorzystały oba te wyzwania do zwiększenia swojego potencjału.

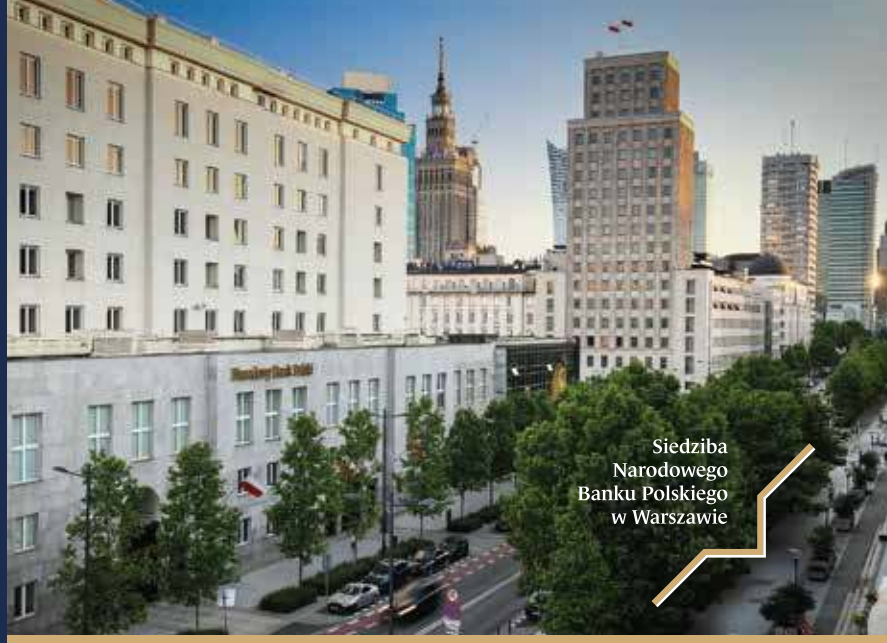

Siedziba Narodowego Banku Polskiego w Warszawie

Jednym z obszarów działalności NBP, w którym ten awans się zmaterializował, stanowi zarządzanie rezerwami dewizowymi, których wartość przekroczyła już 144 mld euro, zwiększając się w ciągu ostatniej dekady niemal dwukrotnie. To niezwykle istotne, gdyż aktywa rezerwowe zapewniają wiarygodność płatniczą polskiego państwa, w tym pośrednio także sektora prywatnego.

144 mld euro

WARTOŚĆ REZERW DEWIZOWYCH NBP NA KONIEC 04.2022 R.

Mimo niesprzyjających warunków na świecie NBP uzyskuje bardzo dobre wyniki inwestycyjne. Suma wpłat z zysku NBP do budżetu państwa dokonanych w latach 2016-2022 wynosi 43,3 mld złotych.

43,3 mld zł

SUMA WPŁAT Z ZYSKU NBP DO BUDŻETU PAŃSTWA W LATACH 2016-2022

Jednym z filarów strategii inwestycyjnej NBP jest sukcesywne zwiększanie zasobów złota, które jako tzw. *safe haven asset* skutecznie dywersyfikuje ryzyko związane z pozostałymi inwestycjami. W latach 2018–2019 bank centralny zakupił 125 ton złota, zwiększając zasób kruszcu do blisko 230 ton, co stanowi ok. 8% oficjalnych aktywów rezerwowych NBP.

230 ton złota

W ZASOBACH NBP

ok. 8%

AKTYWÓW REZERWOWYCH NBP

Wysoki poziom rezerw umożliwił NBP udostępnienie Narodowemu Bankowi Ukrainy linii swapowej na parze dolar amerykański/hrywna do kwoty 1 mld USD. Środki te mają ograniczyć ryzyko dalszej destabilizacji sytuacji polityczno-gospodarczej Ukrainy, co miałoby negatywny wpływ na stabilność systemu finansowego w Polsce.

1 mld USD

WARTOŚĆ LINII SWAPOWEJ DLA NARODOWEGO BANKU UKRAINY

nbp.pl

eprasa.pl 340eab0e61